ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XV.—OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVIII.

TOM II.—ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.

1890.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

Druk ukończono dnia 10 Maja 1890 r.

SEMITYZM I ANTYSEMITYZM.

W ostatnich tygodniach roku ubiegłego i na początku bieżącego, niektóre pisma nasze poruszyły nanowo tak zwaną sprawę żydowską. Równocześnie dzienniki ruskie zajmowały się i zajmują dotychczas tym samym przedmiotem, z powodu rozmaitych środków prawodawczych i administracyjnych, skierowanych do ograniczenia elementu żydowskiego bądź w szkołach, bądź w sferze prawniczéj i handlowéj. Niektórzy z publicystów, widząc trudność rozwiązania kwestyi, lub nieskuteczność przedsiębranych środków, uciekają się do bardzo radykalnych, lubo fantastycznych pomysłów. Czytaliśmy np. w petersburskim „*Graždaninie*“ ze stycznia r. b. pomysł jakiegoś przygodnego turysty, który dla rozcięcia kwestyi, gotówby był Żydów wysiedlić bądź do Ameryki, bądź w granice Królestwa. Wspominamy o tém dlatego, żeby stwierdzić, iż sprawę żydowską nanowo podnieśli chrześcianie, a w małéj cząstce i sami Żydzi.

Jeżeli jaką sprawą ludzie się zajmują więcéj niż innemi, możnaby to uważać za dowód, że nie jest ona rozstrzygniętą i załatwioną, skoro od czasu do czasu wypływa na powierzchnią rozpraw dziennikarskich. Gdy się zaś dowiadujemy, że nie w jednym kraju, lecz w wielu budzi ona często namiętne dyskusye, témbardziéj przekonywamy się, że sprawa taka jest żywotną. Czy, kiedy i jak będzie rozstrzygniona, to inne pytanie; na obecną chwilę dość, że się nią ludzie zajmują. I my także chcemy sprawie żydowskiéj w naszym kraju poświęcić niniejszy artykuł i jaknajbezstronniéj rozważyć ją, *sine ira et studio partium.* Nie mamy wprawdzie żadnego pomysłu, ani radykalnego, ani konserwatywnego, któryby ją jeżeli nie rozwiązał, to przynajmniéj zbliżył rozwiązanie; wszakże spokojna dyskusya może się w części przyłożyć do lepszego rozumienia spornego przedmiotu.

Zaczniemy od sprostowania używanych dotychczas terminów: semityzm i antysemityzm. Wiadomo, że Biblia wywodzi rozrodzone plemię ludzkie od trzech synów Noego: Sema, Chama i Jafeta. Taki podział rodu ludzkiego na trzy wielkie rodziny nie znajduje uznania pośród etnografów i filologów; jednakże w popularnéj mowie utrzymuje się dotychczas. Otóż, do rodziny semickiéj zaliczają dawnych Babilończyków, Syryjczyków, Arabów, Fenicyan, Chananejczyków, Żydów i t. d. Tymczasem publicyści europejscy stosują nazwę Semitów tylko do Żydów. Właściwie tedy stronnicy Żydów powinniby się nazywać judofilami a przeciwnicy judofobami. Cóżkolwiekbądź, wyrazy: semityzm i antysemityzm tak się już utarły, że przez wprowadzenie nowych, właściwszych, niewielebyśmy zyskali do rozjaśnienia kwestyi. Niechaj więc sobie zostaną, a my zobaczmy, co one znaczą i czego chcą ci, którzy są za Semitami lub przeciw Semitom t. j. Żydom.

Alboż są, czy może przynajmniéj byli tacy, coby Żydów miłowali, coby się mogli nazywać judofilami? Rzeczywiście, takich po wszystkie czasy, jak historya zapamięta, było bardzo mało, z wyjątkiem samych Żydów, którzy siebie miłują i jak przypuszczam, żaden chrześcianin za złe im tego brać nie będzie. Nie jest to przecież wcale grzechem, że każdy szczep siebie i przedewszystkiém siebie miłuje. Semityzm zatém wyraża nietyle jakieś stronnictwo, ile raczéj pewien kierunek myślenia, postępowania, właściwy Żydom. Jeżeli ktoś wygłasza najradykalniejsze teorye społeczne, jeżeli nie przebiera w środkach, gdy chodzi o dopięcie celu, jeżeli honor mniéj ceni od zysku, jeżeli bez względu na terytoryalną przynależność, stopień kultury, spólność interesów z wyznawcami innych miar, czuje się solidarnie złączonym z ludem żydowskim—antysemici widzą w tych rysach cechy semityzmu i pod tę kategoryą podciągają w s z y s t k i c h Żydów. Takie rozumowanie, potępiające w czambuł cały naród, jest sofizmatem, który słusznie światlejszych i uczciwych Żydów oburza. Wszystko to bowiem, co na niekorzyść plemienia żydowskiego w wyrazie semityzm chciano objąć, może być w większéj lub mniejszéj mierze zastosowane do wszystkich narodów. Dzielić narody, uważane w całości, na dobre i złe, moralne i niemoralne, waleczne i tchórzliwe, stanowi gruby błąd i historyczny i etyczny. Egoizm narodowy ciągle i wszędzie ten błąd popełnia. Owszem, widzi w tém dowód patryotyzmu i wszystkich, którzy chcą oddawać sprawiedliwość ludziom i narodom, którzy jednakową miarą mierzą i swoich i obcych, posądza o kosmopolityzm i obojętność. Świadczy to, że z historyi i etnografii tacy wielbiciele swoich, a surowi sędziowie obcych nie wynieśli żadnéj nauki.

Nie trzeba nawet być historykiem; dość jest poznać swoje otoczenie i żyjących swojaków, ażeby się przekonać, iż we wszystkich narodach są źli i dobrzy, próżniacy i pracowici, mądrzy i głupi. Nie inaczéj bywało od początku świata, a zapewne i do jego skończenia nie inaczéj będzie.

Ale może na te ogólne potępiające sądy o narodach wpływa większość znajdujących się wpośród jednostek złych, przewrotnych, po za któremi znikają lepsze, giną niejako i tym sposobem potępienie ma podstawę. Sąd wprawdzie nie jest ścisły, nie uwzględnia wszystkich jednostek potępionego narodu, ale jest wielce przybliżony do prawdy, ponieważ większość temi ujemnemi wyróżnia się cechami. Otóż i na takie rozumowanie zgodzić się nie można. Nikt dotychczas nie obliczył i obliczyć nie zdoła, ilu w pewnym narodzie jest ludzi rozumnych, uczciwych, pracowitych, cnotliwych, ponieważ zaledwie maleńka ilość czynów ludzkich dochodzi wiadomości publicznéj w tak zwanych wykazach statystycznych, lub opisach i doniesieniach przygodnych. Jest-to więc niesprawiedliwe i tém samém niemoralne, gdy całe narody, stany, klasy potępiamy. Lekkomyślność nasza pod tym względem jest kolosalna. Żydzi są szachraje, lichwiarze, Niemcy samoluby, szlachta spróchniała, kapitaliści pijawki, chłopi niewdzięczni i t. p. Tylko piszący, lub conajmniéj kmotrowie jego są wzorami wszystkich cnót pogańskich i chrześciańskich.

Nie może to być nikomu przyjemne, gdy słyszy lub czyta ryczałtowe potępienia narodu lub klasy, w których go losy umieściły; nie poczuwa się do żadnéj z tego powodu winy, a tymczasem objęto go potępiającym wyrokiem za grzechy popełnione przez innych. Dziwi się, jakim sposobem ludzie niby ukształceni, piszący i drukujący swoje pisanie, mogą tak zapominać o najprostszéj zasadzie etycznéj: nie czyń drugiemu tego, czego nie chcesz, żeby tobie czyniono. Nie rzucaj kamieni do cudzego ogrodu, i nie żal się, gdy ci je odrzucą. W tém właśnie leży cała niekonsekwenkcya i nieuczciwość polemiki skierowanéj do narodów i klas społecznych, płacą one sobie pięknem za nadobne.

Ażeby wyjść z tego zaklętego koła wzajemnych szkalowań, należałoby może z innego, niż dotychczas punktu oceniać znaczenie sprawy żydowskiéj w naszym kraju. Jako taki punkt nasuwa się nam interes i sprawiedliwość. Innemi słowy, sąd o Żydach powinienby się opiérać na ich znaczeniu pod względem interesów ekonomicznych kraju, oraz na poczuciu sprawiedliwości.

Jeżeli ludność obcoplemienna stanowi, jak u nas Żydzi, przeszło siódmą część zaludnienia ogólnego, a więc przeszło milion; to w żaden

sposób nie można jéj lekceważyć, chociażby tylko ze względu interesów ekonomicznych. Milion ludzi po większéj części obrotnych, zabiegłych, ruchliwych, zdolnych, nie może stanowić tylko ujemnéj ilości nawet w wielkiém państwie. Są pomiędzy nimi bankierzy, kupcy, uczeni, adwokaci, rzemieślnicy; jest wprawdzie dużo proletaryatu i nicponiów, szachrajów i t. p., ale gdzie ich, w jakim kraju, zwłaszcza cywilizowanym po europejsku, nie ma? Jako czynnik produkcyi i zamiany, Żydzi nie są do pogardzenia i zalecanie wysiedlenia ich trąciłoby barbarzyństwem, gdyby mogło być na seryo brane. Miliona ludzi zdawien dawna osiadłych, mających interesa ze wszystkimi mieszkańcami kraju, władających dziś już znaczną przestrzenią własności nieruchoméj i pokaźnym kapitałem ruchomym, żaden kraj bez wielkich strat ekonomicznych pozbywać się nie może, czyli innemi słowy, godzić się z nimi musi. Ten mus jest argumentem decydującym w rozważanéj sprawie: uczuciowe wstręty, rasowe niechęci, towarzyska nietolerancya, wszystko to musi ustępować przed koniecznością. Był wprawdzie czas, kiedy owi starzy przodkowie nasi, Żydów zaledwie może z imienia znali, a przecież nie zginęli; ale historyi cofnąć nie można, i skoro historyczny bieg rzeczy sprowadził ich nad Wisłę, a wieki obficie rozmnożyły, trzeba uczynić cnotę z musu i o nowym Exodzie nie myśléć chociażby tylko w imię i z powodu interesów ekonomicznych kraju.

W tém miejscu zaraz należy zabieżéć mylnemu mniemaniu, że Żydzi pod względem ekonomicznym nietylko nie są czynnikiem produkcyjnym, a więc pożytecznym, ale przeciwnie—wprost szkodliwym, albowiem odliczywszy małą stosunkowo garstkę rzemieślników-partaczów i tak zwanéj inteligencyi, reszta, może milion, żyje głównie pośrednictwem w wymianie usług, a więc wekslarstwem, faktorstwem, handlem, lichwą, a istotną produkcyą dóbr ekonomicznych wcale się nie trudni. Otóż, pomijając błędne twierdzenie, jakoby pośrednictwo w wymianie dóbr ekonomicznych było pracą nieprodukcyjną, faktem jest, że Żydzi w produkcyi rolniczéj bezpośrednio, jako pracownicy obrabiający ziemię, prawie wcale udziału nie biorą. Stąd w oczach naszéj ludności uchodzą za istoty nieprodukcyjne. Ten wstręt ich do roli objaśniano rozmaicie. Mówiono: nie wzięli się do roli, bo im prawo dawniejsze zabraniało nabywać ziemię. Tymczasem chociaż dzisiaj prawo pozwala im nabywać ziemię i coraz więcéj jéj nabywają, jednakże sami na niéj nie pracują, lecz uważają za korzystną lokacyą kapitału. Być to bardzo może, ale gdyby i tak było, korzystniejszém zdaje się być dla kraju, gdy kapitał poruszy ręce do pracy około ziemi, niż gdyby ta leżała pustką i odłogiem. Zysk stąd osiągnięty wpadnie

oczywiście do kieszeni żydowskiéj, powiększy środki dalszego zakupu ziemi, wywłaszczy stopniowo większych i mniejszych właścicieli, zamieni ich w parobków żydowskich. Widoki na przyszłość, co prawda, nie wesołe, ale co przeciw temu prądowi postawić? Krzyk i *judenhecę*? Zdawałoby się, że tylko własną energię, wielką oszczędność, pracę nieugiętą, niezmordowaną, zaniechanie karciarstwa, próżnéj włóczęgi za granicę i wielu a wielu wad naszego plemiennego charakteru. Dziesiątki, może setki takich ludzi znajdują się już pośród większych i mniejszych właścicieli ziemskich; tym Żydzi ziemi nie odbiorą, żyją oni z nimi na stopie pokojowéj, czasami nawet przyjaznéj, jako nabywcy ich produktów rolnych. Wyzyskiwanym jest ten, kto się zadłużył, a zadłużyło się wielu, jedni z ostatniéj potrzeby, drudzy na przyjemności życia. Tych ściga nieubłagany kapitał czyli wierzyciel, którego ani morał nie wzrusza, ani ruina starych i nowych rodów, bo kapitał jest bez narodowości, religii i etyki; on się chce własną mocą rozradzać w nieskończoność i nie zmienia swojéj natury, stosownie do żydowskiéj lub chrześciańskiéj kieszeni. Procesu tego nic nie zdoła powstrzymać póki istnieje obecny system produkcyi ekonomicznéj i dzisiejsze prawa. Że zaś lepszego systemu dotychczas nie wynaleziono (chyba, żeby ktoś za lepsze uważał komunizm lub brata jego, kolektywizm); dlatego zdaje nam się, iż, nie uciekając się do powszechnego wywłaszczenia, pozostaje rolnikom jedynie własna obrona przeciw żydowskim kapitałom: wcale, lub jaknajmniéj tych kapitałów potrzebować. Większéj nad taką, krzywdy nikt i nigdy nie potrafiłby im wyrządzić.

Ale gdyby tak jakim cudownym sposobem zwrócić lud żydowski do uprawy ziemi, uczynić go w przeważnéj liczbie rolniczym; możeby wówczas nie nazywano dzieci Izraela pasorzytami. W istocie, myśl ta krążyła po głowach naszych prawodawców i publicystów przeszłego i bieżącego wieku [1]). W tych radach i projektach, dyktowanych obywatelskim duchem, znać rozum i życzliwość dla Żydów, nie widać jednak znajomości natury tego ludu. Popularna śpiewka brzmi u nas dawno: „Nie orali Żydzi roli i orać nie będą.“ Czemu jednakże orać nie będą? Przecież śpiewki nie są wyrokami Opatrzności. Oto dlaczego orać nie będą.

Praca około roli sprzeciwia się ich wiekami wyrobionéj naturze. Jak historya zapamięta, byli oni głównie pośrednikami w wymianie wszelkiego towaru, martwego i żywego. Z początku nomadzi, w Egipcie niewolnicy, potém w Chananei, niby na stałe osiedleni, trudnią się

---

[1]) W. Smoleński, „Stan i sprawa Żydów polskich w XVIII w.“ Warsz. 1876.

nieco rolnictwem. Domyślamy się tego z ksiąg mojżeszowych i przepisów dotyczących rolnictwa tamże zamieszczonych. Nie było to jednak główne ich zajęcie, lecz uboczne, o ile skalista ziemia na nie pozwalała. A im się daléj w historyi ku naszéj erze zbliżamy, tém bardziéj widzimy Żydów pędzanych to do Assyryi, to do Babilonii, rozproszonych po całym starożytnym świecie, a głównie w wielkich ogniskach handlowych. Takie koleje, trwające wieki, nie mogły w nich wyrobić zamiłowania do ziemi, jako warsztatu produkcyjnego. Więc też czasy chrześciańskie znają ich tém, czém byli przedtém: przeważnie handlarzami, lichwiarzami, arendarzami, szynkarzami, wekslarzami.

Więcéj jednakże, niż ta natura koleją zdarzeń wiekowych nabyta, budziła w Żydach wstręt sama praca około roli. Praca to jedna z najcięższych i najmniéj przynosząca profitu. Nikt tyle, co rolnik, nie jest zależny od zmian klimatycznych, niszczących w okamgnieniu mozolne jego trudy i nadzieje. Żydzi to dawno zrozumieli i dlatego nie okazywali nigdy ochoty do uprawy ziemi. O maleńkich wyjątkach nie wspominamy, bo one nie przeczą ogólnemu faktowi t. j. wstrętowi Żydów do roli. Tu gospodarz musi prawie rok czekać nim się doczeka owoców swojéj pracy; gdy tymczasem w handlu grosz obrócony dziesięć razy dziennie, rodzi dziesięć lub dwadzieścia innych. Nie dzieje się to oczywiście bez pracy, zabiegów, czasami i strat, i dużego zaparcia samego siebie, zawsze przecież prędzéj się dochodzi do rezultatów, niż przewracając ziemię. Dlatego Żyd, nawet rzemieślnik, rzadko tylko rzemiosłem się trudni: on musi handlować, pośredniczyć, od obu stron zarabiać, bo to leży w jego naturze, bo tak się wiekami wyrobił. Téj natury paragrafy kodeksu nie zmienią, a na apostrofy zwracane do siebie przez swoich i chrześciańskich pisarzy, albo jest głuchy, albo się ironicznie uśmiecha. Niech tam *goimy* grzebią w ziemi; ty Izraelu handluj wszystkiém, choćby starzyzną, choćby szczeciną, ale szczególniéj pieniędzmi. Ten ostatni rodzaj handlu miał szczególniejszy pociąg dla Żydów. Jeszcze w Ewangelii, pan wyjeżdżając zostawia sługom: jednemu pięć, drugiemu dwa, trzeciemu jeden talent. Gdy wrócił, pierwszy zarobił drugie pięć, drugi dwa, a trzeci zakopał swój talent w ziemię. Tamci uweselili serce pańskie, ten dostał naganę, że nie oddał swojego talentu bankierowi. Bankierstwo to ideał Izraela; chrześcianie konkurują gdzieniegdzie z Żydami na tém polu, ale to nie główne ich rzemiosło.

I to zamiłowanie do bankierstwa, ten handel pieniędzmi także nie od dzisiaj cechuje Żydów; już w przedsionku świątyni jerozolimskiéj zmieniają oni pieniądze i zapewne nie darmo je zmieniali. Han-

del pieniędzmi, to szczyt handlu. Nie potrzebuje on ani stodoły, ani wozowni, ani młocarni, ani owczarni, ani holenderni. Wartości, któremi obraca, nie wołają ani pić, ani jeść; łatwo je ukryć, przenieść. Więc też dopiéro wzrost teraźniejszego kredytu umożliwił tworzenie tych olbrzymich fortun ruchomych, zamkniętych w portfelu i kasie ogniotrwałéj. Dopiéro wielkie wojny i wielkie na nie kredyta, wielkie przedsiębiorstwa publiczne i prywatne przygotowały grunt pod ten handel pieniędzmi i powołały do bytu królów giełdowych. Izrael w tych operacyach znalazł swój przyrodzony niejako żywioł, urósł, zmężniał, ale téż przez to obudził przeciw sobie niechęć, a miejscami nienawiść. Potęgowanie się téj nienawiści idzie *pari passu* ze wzrostem pieniężnego znaczenia Żydów. Zachęcanie do uprawy roli tego, kto codziennie tysiącami lub milionami weksli, akcyi i rozmaitéj nazwy efektami obraca, zarabiając na nich drugie tysiące i miliony, przypomina szyderstwo lub naiwność. Mógł Gedeon jak jaki Cyncynnat orać, ale to bardzo dawne dzieje i chyba się z Rothschildami nie powtórzą. Słowem, wszelkie zachęcania, rady, ulgi obiecywane przez prawodawców Żydom-rolnikom, okazały się bezskutecznemi i prawdopodobnie takiemiż się okażą w przyszłości. Teoretycznie zdaje się taki zwrot możliwym, bo dlaczegóżby jeżeli nie milion, to pół miliona Żydów nie mogło się wziąć do uprawy ziemi; w praktyce jednak widzimy, że się do tego nie biorą, a im teraźniejszy system produkcyi ekonomicznéj, na kapitale głównie opartéj, daléj i szerzéj się rozwija, tém mniéj jest widoków, ażeby Żydzi chcieli sami w ziemi pracować. Oni wolą pracować „w cukrze, w pożyczkach rządowych, w grze giełdowéj“, ażeby zdobyć kapitał. Ten cudotwórca zaprzęgnie innych do roboty i na roli, i w fabryce i w warsztacie. Dodać jedynie trzeba, iż tego talizmanu niemniéj pożądliwie pragną chrześcianie jak i Żydzi, tylko że nie umieją go tak jak Żydzi zdobywać.

Skoro tedy Żydzi do rolnictwa się nie biorą, a prawodawstwa nowożytne coraz stają się liberalniejsze i o przymusowéj pracy ludzi wolnych nie myślą; zdawałoby się, że należy ich pozostawić w spokoju pod tym względem. Uobywatelić ich, to jest zamienić na szlachciców-rolników nikt nie potrafi, bo oni sami tego nie chcą; a zaś właścicielami ziemi powoli i bez pomocy publicystów zostaną, chyba, że dotychczasowi właściciele zaniechają u nich pożyczać, co znów do nieprawdopodobieństw zaliczyć trzeba.

Inni mówią: ażeby Żydów uczynić nieszkodliwymi, należy ich zasymilować, a wówczas zniknie antagonizm rasowy, religijny, towarzyski i stanie się jedno społeczeństwo. Jest to mrzonka, jak wiele

innych na świecie. Jednostki mogą się asymilować; ale, żeby milion ludności zwartéj w sobie i wiekami wyodrębnionéj, mógł się roztopić w sześciu, dajmy na to milionach innéj ludności, tego chyba nikt seryo myślący nie uważa za prawdopodobne. I pod tym względem również prawodawstwa nowożytne zostawiają ludziom swobodę, albowiem przymus mógłby zasymilować odzież, ale serc i umysłów nie zdołałby zespolić. Takie zespolenie różnych plemion, rodów, z jednego gniazda pochodzących, wspólnemi tryumfami i wspólnemi klęskami zjednoczonych, odbywa się drogą pokojową pod wpływem potrzeby wspólnéj obrony, wspólnych dążeń i ideałów; ale gdy plemiona różnorasowe, z innemi tradycyami okoliczności historyczne na jeden grunt sprowadzą, wówczas i wieków nie starczy do wytworzenia asymilacyi wewnętrznéj. Dlatego myśl o asymilacyi Żydów *en masse* trzeba uważać za mrzonkę.

A zatém co robić z Żydami? Do uprawy ziemi sami się nie biorą i nie ma widoków, ażeby ich prawodawstwo nowożytne do tego zmusiło; zasymilować takiéj masy, różniącéj się religią, językiem, tradycyami, nie zdoła społeczeństwo stosunkowo nieliczne, słabe, nie mające w swoich ręku żadnych środków prawodawczych. Wyrzucenie miliona ludzi nie byłoby ani ludzkie, ani polityczne, ani pożyteczne, dlatego téż nieprawdopodobne. Odjęcie monopolu handlowego także nie do wykonania, ponieważ ludność miejscowa ani zamiłowania, ani tradycyi do takiéj pracy nie okazuje: stanowisko zostało już zajęte i wiekami umocnione. Pozostają tedy środki ograniczające, które złemu bardzo nieznacznie i powoli zaradzają; w nich téż rządy i społeczeństwa widzą jedyny sposób ocalenia swojéj ludności od natarczywéj konkurencyi Żydów na wszystkich polach życia zbiorowego. Ale ograniczenia takie obrażają poczucie i pojęcie sprawiedliwości, która dla wszystkich mieszkańców kraju powinna być jednakowa. Wprawdzie szowinizm i egoizm narodowy przyklaskują podobnym ograniczeniom, nie można wszakże powiedzieć, ażeby to była droga do zbliżenia téj obcoplemiennéj ludności ze swojską i tubylczą. Nowa to podnieta do nienawiści, która w dotkniętych może usprawiedliwiać odwet w postaci wyzysku, niesumienności i cichéj wzgardy.

Wobec tylu i takich trudności, nikt się nie poważy na seryo wskazywać jakiegoś specyalnego programu rozwiązania sprawy żydowskiéj ku zobopólnemu zadowoleniu: czas będzie ją rozwiązywał drogami, których przewidzieć nie można. Oprócz czasu są przecież i ludzie: możnaby im zatém doradzać jakiś tryb postępowania, któryby nie jątrzył, ale zbliżał do siebie żywioły wprawdzie różne, jednakże skazane historyą na życie wspólne. Możnaby obu stronom, t. j. chrze-

ściańskiéj i żydowskiéj przypominać, że interesa materyalne są identyczne dla ludzi wszelkich wiar, języków i narodowości; że zatém szkodzenie sobie wzajemne musi prowadzić do ruiny całe społeczeństwo. Daléj, możnaby wdrażać w umysły to przekonanie, że sprawiedliwość jest najlepszą polityką w rozwiązywaniu trudnych zagadnień społecznych. Nie czyń drugiemu, czego sobie nie życzysz.

Kto się tego ma podjąć? Oczywiście, rozumniejsi i lepsi obywatele stron obu. Oni téż winni pracować nad towarzyskiém zbliżeniem wrogich sobie żywiołów, a to powściągając szykany i wskazując obustronne wady. Zbliżenie towarzyskie powinno być pierwszym krokiem, ażeby obudzić wzajemne poważanie; nie będzie to asymilacya, bo téj religia nie dopuści, ale będzie to droga do słuszniejszego wzajem cenienia siebie. Idealna, doskonała zgoda między ludźmi nietylko różnego pochodzenia plemiennego, ale nawet tego samego szczepu, nie jest do osiągnienia: interesa, namiętność, przesądy zawsze ich dzielić będą. Więc nie o doskonałą jedność chodzić powinno, ale o zrozumienie, że wzajemna tolerancya, szacunek między chrześcianami a Żydami nakazane są koniecznością. Konieczność tę widzimy we wspólném na jednéj ziemi pożyciu, w interesach ekonomicznych kraju, nareszcie w poczuciu sprawiedliwości.

— Aha, pewnie wziął od Żydów pieniądze, albo wziąć się spodziewa.—Tak u nas mówiono pod koniec zeszłego wieku, gdy kto w téj materyi bezstronny głos zabierał.

K.

ZAMACH NA OSTROROGA.

Nie istniał Jan Ostroróg. Ów głośny statysta polski XV wieku nie istniał jako twórca projektu naprawy rzeczypospolitéj za króla Kazimierza Jagielończyka. Ten, którego dzieło pierwszy wydał Jan Bandtkie, któremu takie obszerne studyum poświęcił Leon Wegner, którym się tak pilnie po dwakroć zajmował prof. Bobrzyński, o którym piszący te słowa całą poświęcił rozprawę, to nie był wcale Ostroróg. Daremnie trudził się nad wyrozumieniem jego pomysłów prof. Jakób Caro, niepotrzebnie zaprzątał się nim Rembowski, zbytecznie zagłębiał się w jego myśli Świeżawski, napróżno profesorowie Małecki i Liske brali udział w gorącym sporze co do roku powstania samego dzieła. Jan Ostroróg, którego prof. Tarnowski pomieścił na czele swéj pięknéj pracy o świetnéj plejadzie naszych pisarzy politycznych, nigdy nie układał przypisywanego mu powszechnie „Monumentu“. Ci wszyscy zgoła, co dawniéj i obecnie, pilniéj lub pobieżniéj, samodzielniéj lub w zależności od innych, wystawiali w swych podręcznikach do dziejów polskich wogóle, albo w szczególności do dziejów literatury ojczystéj postać Jana Ostroroga, jako autora „pamiętnika o naprawie rzeczypospolitéj“, a więc Bartoszewicz, Szujski, Zeissberg i wielu innych, ci wszyscy byli w wielkim błędzie. I wogóle, ktokolwiek dziś jeszcze na katedrze lub w szkole głosi, że ów znany za Kazimierza Jagielończyka Jan Ostroróg, był twórcą programatu reform przez siebie zalecanych, że to jego pismo jest źródłem tak nieocenioném do zbadania stosunków publicznych Polski w XV wieku, niech się wstrzyma od szerzenia błędnych wiadomości, niech zatrze w swéj pamięci te wszystkie rysy, jakiemi zbogaciła oblicze przed-zygmuntowskich czasów nowsza a głębsza nauka dziejów naszych.

Zaszła pomyłka, pomyłka wielka, tak gruba, że wobec niéj zbledniećby powinno to imię, jakiém u siebie i u cudzych cieszyć się

zaczyna zbudzony u nas duch krytyki naukowéj. Powinnaby zachwiać się wiara w to, że ostatniemi czasy myśl badawcza u nas zmężniała, że bystrość jéj i przenikliwość się zaostrzyła, na mocniejszym gruncie stanęła metoda umiejętna. To co tylu historyków z powołania brało za pismo Ostroroga z XV wieku, nie jest jakoby pismem Ostroroga, nie jest podobno dziełem znanego męża stanu, nie jest źródłem współczesném, ale ma być jakoby pracą o wiele późniejszą, dopiéro z połowy XVI wieku, a co najważniejsza, ma być pracą jakiegoś bezimiennego sekciarza, który się podszył pod nazwisko znakomitego statysty, dawno zmarłego, Jana Ostroroga, wojewody poznańskiego. Jeżeli tak jest istotnie, zachodziłby więc błąd, błąd niepomiernie wielki i co do osoby i co do czasu, w następstwach swoich tak doniosły, jak każde *qui pro quo*, które się staje źródłem najdziwaczniejszych pomyłek. Takiego zasadniczego błędu co do Ostroroga stać się miała winną krytyka dziejopisarska polska według zarzutu, jaki jéj czyni autor naczelnego artykułu w „Przeglądzie Katolickim“ (Nr. 46 z d. 14 listopada 1889 r.) pod napisem: „Czy Jan Ostroróg jest autorem pisma o Naprawie Rzeczypospolitéj“. Rzuconą w nagłówku wątpliwość rozstrzyga już na samym wstępie oświadczenie, że przytoczyć się mające dowody nietylko kwestyonują autentyczność pisma Ostrorogowi przyznawanego, ale nawet „zupełnie i stanowczo jéj zaprzeczają“.

Wobec tak kategorycznie wyrażonego wniosku, mamy więc do czynienia z zarzutem błędu, jakiego są dopuścili badacze wszyscy, zarówno nasi jak i niemieccy, korzystając ze źródła, które wiarogodném nie jest, które wydaje się za coś innego, czém w istocie nie było, t. j. nie było ani utworem Ostroroga, za co je miano dotychczas, ani dziełem z XV wieku, za jakie powszechnie jest poczytane.

Rzuconą rękawicę jako wyzwanie do walki chętnie podejmujemy i stajemy w szranki z przeciwnikiem, aby skruszyć z nim kopią w obronie nietylko Ostroroga i wiarogodności jego pisma, ale w obronie zarazem zasadności téj metody badania naukowego, która w umiejętném zastosowaniu zarówno gdzieindziéj u obcych, jak i w nowszych czasach u nas ustrzedz może i ustrzedz powinna historyków od takich elementarnych uchybień i błędów, jakim w istocie jest nierozpoznanie źródła, korzystanie ze świadectw fałszywych i niewiarogodnych. Badaniu historycznemu nie można cięższego zarzutu uczynić nad ten, że za podstawę do swoich wniosków naukowych bierze nieoględnie źródło nieautentyczne, które na wiarę nie zasługuje. Można w sposobie wyrozumienia danego pomnika dziejowego lub świadectwa historycznego dopuścić się błędu, można opacznie tłómaczyć myśli, cele i dążności autora, można podsuwać mu pobudki, jakie nie spoczywały na dnie

jego relacyj, można tym sposobem odbiedz daleko od ścisłéj prawdy: przynajmniéj jednak punkt wyjścia pozostanie pewnym i niewątpliwym. Ale skoro podstawa rozumowania i wniosków okaże się fałszywą, błędną, zgoła niewiarogodną, już nie sam sposób odbudowania i odtworzenia przeszłości ulegać będzie zarzutom, lecz gmach cały wzniesiony na téj zasadzie runąć musi zupełnie.

Była wszędzie we wszystkich literaturach epoka niemowlęctwa krytyki historycznéj, trwała u nas dłużéj może niż gdzieindziéj, kiedy wiarogodność pomników i świadectw nie stanowiła przedmiotu roztrząsania badawczych umysłów dziejopisów. Wincenty Kadłubek i Długosz zażywali wielkiéj powagi zarówno co do zdarzeń współczesnych, kiedy sami żyli i pisali, jak i co do opowieści o czasach zamierzchłéj przeszłości, o których dokładnéj wiadomości nie mieli lub mieć nie mogli. Ale od dość dawna już stosowana jest u nas ustalona powszechnie w badaniu naukowém zasada, według któréj pierwszy obowiązek każdego, kto ze źródła danego korzystać zamierza, polega na tém, że stwierdza wiarogodność pisma mającego służyć za podstawę wniosków, że roztrząsa pytanie, o ile pomnik dziejowy może służyć za niewątpliwe świadectwo zaszłych w danéj epoce wypadków. Co do Ostroroga i przypisywanego mu memoryału, jeżeli nikt dotychczas „autentyczności jego nie podejrzéwał,“ to nie dlatego, iżby zaniedbał dopełnić pierwszego obowiązku, jaki na każdym badaczu ciąży, ale dlatego, że odbywszy w swym umyśle cały proces śledczy, nie znalazł nic takiego, coby go skłaniało do wypowiedzenia jakiéjkolwiekbądź wątpliwości w przedmiocie jego pierwszéj i najważniejszéj cechy, t. j. wątpliwości azali jest źródłem współczesném, azali jest pismem pochodzącém od osoby, która sama i bezpośrednio o współczesnych stosunkach składa zeznanie. Ponieważ w samym pomniku, mającym za treść naprawę państwa, nie masz dokładnie oznaczonego roku, w którym był napisany i na jakim sejmie podobny przedmiot miał być roztrząsany, na wstępie zaś jest tylko wzmianka, że autor pisma występuje ze swym projektem za rządów Kazimierza Jagielończyka, powstał więc między badaczami żywy spór o to tylko, do jakiego roku panowania wzmiankowanego króla odnieść należy powstanie samego pomnika. Z długiego szeregu lat rządów Kazimierza Jagielończyka, na podstawie wskazówek zawartych w samém piśmie i co do osoby autora i co do treści zmian projektowanych, wybrano lata od 1455 do 1477, jako najprawdopodobniejsze, do których przypadać może swą osnową memoryał Ostroroga.

Czy mają słuszność za sobą ci, którzy twierdzą, że pismo Ostroroga powstać mogło już około 1455 lub 1456 roku, czy raczéj owi, co

je odnoszą dopiéro do roku 1477-go, albo wreszcie inni, którzy pośrednie wyszukują lata między temi dwiema ostatecznemi granicami, rok 1459, 1462, 1464—to w obecnym stanie badań naukowych nad Ostrorogiem spór ten zgodnie załatwionym jeszcze być nie mógł. Ale pomimo te różnice w zapatrywaniach, pomimo to wahanie w obrębie czasu dwudziestu jeden lub dwu lat, panuje przecież jednostajne między badaczami zdanie, że tak czy inaczéj, czy wcześniéj czy późniéj nieco memoryał był napisany, jest on w każdym razie utworem tego, który się za autora we wstępie pisma podaje, t. j. pismem Jana Ostroroga, jest niewątpliwie pismem współczesném, napisaném w celu oddziałania na zmianę stosunków, jakie zachodziły w chwili układania projektu przekształceń, a przeto jest pismem i źródłem, które, jak każdy projekt zmian, może być wiarogodném odbiciem zarówno istniejącego stanu rzeczy jak i zamierzonéj odmiany. Za takie też pismo powszechnie jest uznany przez badaczy polskich i niemieckich utwór Ostroroga. Bez względu na doniosłość zawartych w nim rad, przestróg, wskazówek, uważane jest pismo Ostroroga za jedno z najcenniejszych źródeł do poznania wewnętrznych stosunków Polski w połowie XV-go wieku.

Jakim więc sposobem stać się mogło, że źródło to, tak cenne pod względem swéj wartości jako świadectwo historyczne, uznane przez badaczy z powołania jako dzieło niepośledniego umysłu, stanowiące bądź co bądź ozdobę piśmiennictwa politycznego u nas w tak wczesnéj dobie, uważane jako dzieło z wyraźném piętnem swego czasu, t. j. piętnem połowy XV-go wieku, odpowiadające swą treścią jak najściśléj wewnętrznym stosunkom ówczesnym, spojone z niemi jak najmocniéj, że źródło to dało powód do wystąpienia przeciwko jego wiarogodności? Jakim sposobem stać się mogło, że taki liczny poczet badaczy nie dostrzegł tego, co dziś wytacza jako zabójczy cios przeciwko wszystkim ich wnioskom autor artykułu w „Przeglądzie Katolickim,“ zaprzeczający autentyczności pisma Ostroroga, a stojący, jak sam wyznaje, po za cechem specyalistów. Zgadzamy się na to chętnie, co ma służyć na usprawiedliwienie do wystąpienia przeciw Ostrorogowi, że „przeciwko prawdzie przedawnienia nie ma“ i że „niespecyaliście zdarzyć się może, iż dojrzy to, czego specyaliści nie spostrzegli.“ Taki wypadek istotnie zajść może, zwłaszcza w obec trudności ściślejszego oznaczenia, kto w danym razie powinien być za specyalistę uznany. Co rozstrzygać będzie spór co do kompetencyi głosu w pewnym przedmiocie naukowym? Oczywiście, że nie sam tytuł. Siła argumentacyi naukowéj w danym przedmiocie spornym zapewni pozornemu niespecyaliście poczesne miejsce między specyalistami. Ona stanowić powinna o charakterze każdego szermierza, wstępującego w szranki

naukowe. O specyalném jego powołaniu stanowić będzie to przygotowanie naukowe, z jakiém on stanie do walki z przeciwnikami. Nie widzimy więc żadnéj zasady do zamykania szranków naukowych tym wszystkim, którzy ukazują są z przyłbicą spuszczoną, zasłaniającą ich piętno specyalisty lub nie-specyalisty. Byle tylko z odpowiednią występowali siłą, a jeśli nie siłą, to z odpowiedniém wyrobieniem techniczném. Tymczasem autor artykułu sam czyni, nie wiadomo o ile szczere wyznanie, że jego wystąpienie „wydać się musi dziwném, tém dziwniejszém, że występuje człowiek nie mający ani tytułu, ani pretensyi do specyalnéj znajomości dziejów.“

Istotnie, zdziwienia ukryć niepodobna, zwłaszcza kiedy ten, co zamierza rozstrzygnąć wątpliwą sprawę, sprawę dość subtelną, do któréj rozwiązania należy zastosować wszelkie wymagania umiejętnéj metody badania historycznego, sam się przyznaje, że „nie ma pretensyi do specyalnéj znajomości dziejów“, a tém samém nie rości sobie prawa do znajomości zasad postępowania krytycznego. Nie bierzmy jednak téj deklaracyi w ścisłém jéj znaczeniu. Ta skromność, która autorowi każe tak mało rozumiéć o sobie, może właśnie tu jest uwydatnioną, aby tém silniéj upokorzyć zwyciężonych przeciwników. Cokolwiekbądź, zaznaczyć tu w każdym razie wypada, że metoda historyczna w badaniu cech wiarogodności źródeł dziejowych ma swą teoryą postępowania wyrobioną, ustaloną, ma swe zasady i reguły ściśle oznaczone, jak je ma teorya dowodów sądowych. Niestosowanie się do ustalonych reguł postępowania prowadzić może do mylnych wniosków. W rocznikach ogólnéj krytyki historycznéj zachodziły już nieraz wypadki podobne, jak dotknięta tu sprawa autentyczności Ostroroga, kiedy wiarogodne źródło podawano w wątpliwość przez uczonych, zbyt pohopnych do przeczenia, zbyt skłonnych do podejrzewania najoczywistszych świadectw [1]). Jak ślepa wiara w to, co się podaje za pomnik historyczny, bez sprawdzenia jego autentyczności, wytwarza źródło błędnych pojęć i sprowadza stan nauki, że tak powiem, niekrytyczny, tak i przesada w krytyce jest również szkodliwą w swych następstwach i prowadzi do tego, co się w metodzie badań historycznych nazywa ogólnie hyperkrytycyzmem. Ten hyper-krytycyzm, czyli ten nadmiar krytyki, odrzucający oczywiście bezzasadnie wiarogodne świadectwa historyczne,

---

[1]) Znane jest wystąpienie Aschbacha przeciwko autentyczności utworów poetycznych Hrotswity z Gandersheim z X wieku. Dowodził on mianowicie, że miały to być utwory humanisty Konrada Celtesa. Po obronie Koepkego w 1869 r., już nikt wywodom Aschbacha nie przypisuje żadnego znaczenia naukowego. Podobny wypadek miał miejsce z utworem poetycznym t. z. Ligurina z czasów Fryderyka I-go Barbarosy.

może tak samo szkodzić nauce, jak jéj czyni ujmę brak krytyki rozpoznawczéj.

Niedość jest wskazać, że niektóre szczegóły zawarte w danym pomniku historycznym nie odpowiadają temu pojęciu, jakie sobie badacz wytworzył o stosunkach, do których się one odnoszą. Niedość jest na podstawie wynikłéj w umyśle naszym wątpliwości, co do współczesności tego lub innego rysu, źródło historyczne nazywać sfałszowaném. Nie można poprzestawać na stronie formalnéj, na dowodach częściowych, trzeba proces oskarżenia przeprowadzić we wszystkich kierunkach, należy wykazać nietylko sprzeczność formalną, ale fałsz w saméj istocie tkwiący. Trzeba wreszcie wykazać, o ile to możliwe, kto był fałszerzem, w jakim czasie i dla jakich celów dopuścił się fałszerstwa, jakie były zamiary autora i o ile one odpowiadały stosunkom, wśród których powstało dzieło sfałszowane. Ta ostatnia część czynności badawczéj jest niby owo sprawdzenie rachunku w arytmetyce, jest jakby sprawdzeniem reguły fałszywego założenia.

Zlekka tylko podajemy tu zarys postępowania, którego się trzyma metoda umiejętna i która tém samém położyła pewien kres jednostronnemu unoszeniu się szkodliwéj w nauce negacyi i krańcowemu duchowi krytycyzmu. Przejdźmy więc do rozbioru zarzutów, przytoczonych przez autora artykułu w „Przeglądzie Katolickim“ przeciwko autentyczności pisma Ostroroga, a następnie do sprawdzenia dowodów, mających przekonać, że pismo, nie będące jakoby utworem z połowy XV-go wieku, powstać miało podobno około połowy XVI stulecia i wyszło z pod pióra bezimiennego sekciarza, który się podszył pod nazwisko Ostroroga, zmarłego o kilkadziesiąt lat wcześniéj na początku XVI-go wieku (1501 r.).

II.

Zarzuty przeciwko autentyczności pisma Ostroroga zebrane są w sześciu punktach. Opiérając się na nich, przychodzi autor do wniosku, że nie mogło ono powstać w XV-ym wieku, że nie mogło powstać przed r. 1517-ym, ani przed rokiem 1524-ym, a skoro tak jest, to nie mogło téż być utworem Ostroroga, który umarł już w 1501-ym roku. W krótkości streszczone tak się przedstawiają wskazówki i oparte na nich dowody.

1. Wzmianka o bulach jubileuszowych przysyłanych do Polski, z których dochód papież podobno obracał, jak twierdzi Ostroróg, na budowę nie wiedzieć jakiego kościoła, może się jakoby odnosić nie do wcześniejszych jubileuszów tylko do bul jubileuszowych, jakie rozsy-

łano z Rzymu, wraz z odpustem, celem pozyskania funduszów na budowę kościoła św. Piotra za Juliusza II-go i Leona X-go. Przeciwko tym odpustom powstał Luter dopiéro w 1517-ym roku, a echem tego głosu i protestu ma być owa wzmianka u Ostroroga. Więc Ostroróg jakoby nie mógł pisać przeciwko bulom jubileuszowym przed 1517 r.

2. W piśmie swém Ostroróg nazwał pogardliwie księży sakramentnikami (*sacramentarii*). Ponieważ w tém samém znaczeniu Luter podobno pierwszy użył tego wyrazu około 1524 r. w polemice przeciwko Carlstadtowi, nie mógł więc jakoby Ostroróg wyprzedzić Lutra. Autorem przeto musiał być pisarz, który pisał swój traktat po 1524 r.

3. Mowa, jaką miał prawdziwy Jan Ostroróg do papieża w 1467 r., posłany z obedyencyą od króla Kazimierza Jagielończyka tak różną jest co do swego ducha uległości, poważania i uwielbienia dla naczelnika kościoła, od zjadliwego występowania autora przeciwko papieżowi w piśmie przypisywaném Ostrorogowi, że niepodobna przypuszczać, aby autor i mówca był jedną i tą samą osobą.

4. Długosz, współczesny świadek wypadków za Kazimierza Jagielończyka, który w swém dziele historyczném, doprowadzoném do 1480 r., po kilkakrotnie wspomina o Janie Ostrorogu, o jego działalności publicznéj, milczeniem zupełném pominął fakt — ułożenia przez niego memoryału w sprawie reform, jakiemi miał się zająć jeden z ówczesnych sejmów.

5. Nie masz autografu Jana Ostroroga, nie masz żadnego rękopisu z XV-go wieku. Najdawniejsze pochodzą dopiéro z połowy XVI-go stulecia.

6. Wreszcie jedyną jakoby wskazówką, że memoryał jest dziełem Ostroroga, ma być „nadpis nad tém pismem“ jakiegoś męża, który dziełko to pragnął ogłosić./

Oto wszystkie dowody w porządku, w jakim je autor ustawił. Więcéj ich nie masz. Oczywiście, nie liczba stanowi o ich sile przekonywającéj. Zastanawiając się nad ich treścią, nie trudno odróżnić formalne od istotnych. Trzy ostatnie dowody należą do rzędu „dowodów z nieobecności,“ które jak w procesie sądowym, tak i w dochodzeniu badawczém za podstawę do popierania oskarżenia służyć nie mogą. W wyjątkowych wypadkach okoliczność nieobecności może być wziętą za poszlakę. Poszlaki atoli nie są dowodami, a tropy przez nie wskazane często prowadzą śledztwo na manowce. Nieobecność osób w domu w pewnym czasie nie może przecież służyć za dowód uczestniczenia ich w przestępstwie dokonaném jednocześnie w danem miejscu. Dowód umieszczony pod n-rem 3-im polega na rozumowaniu, które jest warunkowém. Za bezpośrednie zaś dowody mogłyby być uważane dwa

pierwsze, o ileby na tych pozornych podstawach mógł się utrzymać cały ciężar gmachu oskarżeń przeciwko autentyczności pomnika historycznego.

Uprzątnijmy najprzód z drogi przeszkody formalne.

Twierdzenie autora, umieszczone w punkcie szóstym, jest jakby konkluzyą ze wszystkich poprzednich dowodów. „Jedyną tedy wskazówką, że *Monumentum* jest dziełem Jana Ostroroga, pozostaje nadpis nad tém pismem jakiegoś niby dbałego o dobro publiczne męża, który ustępując, jak zapewnia, życzeniu wielu osób, rzecz tę zamierzył ogłosić... (poprzedziwszy ją wstępem i dodawszy do niéj intytulacyą... *Clarissimi baronis Joannis Ostrorog itd. monumentum... pro reipublicae ordinatione...*). Twierdzenie to pozbawione jest podstawy. Tak się bynajmniéj rzecz nie przedstawia. Nie „nadpis nad tém pismem“ osoby postronnéj jest jedyną wskazówką, że memoryał jest dziełem Ostroroga. Są inne ważniejsze dane, w samym tekście pisma zawarte. We wstępie swoim autor sam wymienia swe nazwisko *Ego itaque Joannes Ostrorog... vitia... in hoc regni collegi...* Ja przeto Jan Ostroróg... zebrałem wady... i t. d. Skoro więc w samym tekście dzieła w przemówieniu wstępném, mieszczącém pobudki, które skłoniły autora do zredagowania memoryału, podaném jest w pierwszéj osobie imię i nazwisko jego, nie można twierdzić, iżby zewnętrzny napis służył za jedyną wskazówkę autorstwa. Jeżeli na monecie, mającéj wyraźnie stempel z nazwiskiem króla, czytamy np. *Stephanus rex Poloniae*, nie możemy twierdzić, iż jedyną wskazówką, że moneta odnosi się do czasu panowania króla Stefana, jest zaregestrowanie jéj w katalogu danego zbioru, jako monety z epoki Stefana: ona ma sama na sobie piętno swoje własne. To piętno może być także zwodne, mylne, fałszywe—to rzecz inna. Ale to piętno jest, istnieje i jego istnienia przemilczéć nie można. Nie można zamykać oczu na fakt podania nazwiska swego przez samego twórcę lub sprawcę. Schwytany na gorącym uczynku złoczyńca podaje się przy badaniu sędziego za tego lub innego z imienia i nazwiska. To nazwisko przychodzi nie z zewnątrz. Ono jest cechą istotną, podaną przez samego sprawcę. Więc twierdzenie, że jedyną wskazówką autorstwa Ostroroga jest nadpis nad pismem osoby postronnéj, ostać się nie może. Jeżeliby zaś utrzymać się miało w swéj sile dowodzenie, że fałszerz, który się podszył pod nazwisko Ostroroga, oczywiście nietylko na tytule „w nadpisie“, ale i w tekście pomieścił złałszowane nazwisko, wtedy okoliczność ta wymagałaby wyjaśnienia szczegółowego i zaznaczenia, czego popierający oskarżenie przeciwko Ostrorogowi nie uczynił. Gdyby zaś w tym względzie uzupełnił swoje śledztwo, pomnożyłby tylko trudności dowodzenia fałszerstwa.

Co do braku rękopisów współczesnych z XV wieku, to „okoliczność ta, jak autor artykułu sam bardzo trafnie uznaje, sama przez się nie jest żadnym argumentem“, ale zestawiona z argumentami innemi, jakoby „przewybornie się zgadza z niemi i przemawia na ich korzyść“. Na pierwszą część deklaracyi każdy się chętnie zgodzi. Dzieło Liwiusza nie przestaje być wiarogodném, choć nie posiadamy współczesnego rękopisu. Tyle dyplomatów średniowiecznych nie podlega żadnéj wątpliwości, lubo się dochowały tylko w późniejszych odpisach. Co do drugiéj części oświadczenia, że brak współczesnego rękopisu może popiérać zarzut fałszerstwa, to traci ono siłę przekonywającą ze stanowiska teoretycznego z téj przyczyny, że odwrotnie przytoczyć można okoliczność, iż istnienie współczesnego rękopisu nie wyłącza bynajmniéj możności zfałszowania dokumentu lub pomnika historycznego. Są bowiem przykłady, czerpane z dziejów dyplomatyki, że współcześnie nawet z wydaniem prawdziwego aktu fałszowano dokumenty czyli dyplomaty. W danym zaś wypadku co do Ostroroga, brak rękopisu z XV wieku mógłby pośrednio być użytym za niejaką wskazówkę i zgadzać się z argumentami przeciwko, gdyby owe argumenta wogóle nie ulegały żadnemu zarzutowi i były tak przekonywające, jak dwa razy dwa cztery. Ponieważ zaś zdaniem naszém takiemi nie są, możemy przeto trzymać się oświadczenia autora, że brak rękopisów współczesnych sam przez się nie jest żadnym argumentem.

Trzeci dowód, przytoczony w artykule jest, jak już nadmieniono, także „dowodem z nieobecności“ czyli dowodem, który z punktu widzenia teoryi, nie posiada siły przekonywającéj. Długosz nie wspomina ani jednêm słówkiem o radach i wskazówkach, podanych na piśmie przez Ostroroga. Milczenie współczesnego historyka ma przeto służyć za dowód, że takie pismo nie istniało wcale. Długosz, jak to uwydatnia autor artykułu, pięć razy poświęca wzmiankę Ostrorogowi, mówi „o tak drobnym nawet fakcie jak jego zaślubiony z księżną raciborską“. Wspomina także o jego poselstwie do papieża w r. 1467, tymczasem nigdzie ani jednêm słówkiem nie natrąca o jego dziełku. W memoryale podobnież ani wśród wiadomości o rok rocznie odbywanych zjazdach panów, ani wśród wiadomości o sejmach nie masz żadnéj o nim wzmianki, ani z powodu poselstwa do papieża nie ma śladu jakiegokolwiek zdziwienia, któreby przecież Długosz wyrazić był powinien, gdyby istotnie tenże Ostroróg występował był poprzednio w takim nieprzyjaznym dla głowy kościoła duchu. Obalenie zarzutu, wyrażonego w przytoczonych tylko co ustępach, uchylenie tego

dowodu przez wykazanie braku w nim istotnéj podstawy, nie przedstawia zdaniem naszém żadnéj trudności.

Gdyby Długosza „Dzieje Polski“ były bibliografią XV wieku, gdyby były katalogiem rękopisów, bo właściwie druki jeszcze nie istniały w naszym kraju, możnaby w danym razie co najwyżéj zarzut uczynić znakomitemu dziejopisowi, że jego bibliografia nie odznacza się należytą ścisłością. Dzieło Estrejchera poświęcone wyłącznie bibliografii, grzeszy niekiedy niedokładnością. Wykazane przez bibliografów szczerby bywają uzupełniane przez ukazujące się od czasu do czasu suplementa. Bibliograf posiadający druk, niewymieniony w dziele Estreichera nie da się zbić z tropu brakiem o nim wzmianki. Długosz nie pisał nadto dziejów literatury. Jego księgi polityczne nie są rocznikami piśmiennictwa polskiego. Układ jego dzieła, osnowa w nim zawarta wyłączały niejako wszelką wzmiankę o utworach pióra współczesnych ludzi. Milczenie w tym względzie Długosza jest jakby regułą prawie bez wyjątku. Wszak samego Kalimacha zbywa tak krótką wzmianką, że o nim w kilku zaledwie słowach nadmienił. (Dług. Hist. Pol. ed. Przezd. V. 654). Głęboki krytyk i znawca Długosza— Zeissberg, podnosi w swém dziele (*Die poln. Gesch. des Mittelalters* str. 359) tę okoliczność, czyniąc trafną uwagę, iż to nikogo dziwić nie powinno, gdyż nasz dziejopis wogóle, albo nie wspomina o wielkościach literackich swojego czasu, albo krótką o nich tylko wzmiankę czyni. Długosza łączył stosunek znajomości osobistéj z zawołanym humanistą Filipem Kalimachem, z którym się spotkał na dworze królewskim przy wspólnéj pracy nad kształceniem młodych synów Kazimierza Jagielończyka, a jednak o politycznéj oraz literackiéj jego działalności, któréj był świadkiem, zupełnie zamilczał, krom wzmianki treściwéj o żywocie Grzegorza z Sanoka. O poselstwach dyplomatycznych Kalimacha do Wenecyi, do papieża, odbytych jeszcze za życia Długosza (1478. Zeissb. 361. 62) nie podają również „Dzieje Polski“ żadnéj wiadomości. I tyle innych jeszcze spotyka się opuszczeń świadomie uczynionych, z czego jednak nie płynie dowód, aby opuszczenia, stwierdzone jako wiarogodne na podstawie innych źródeł współczesnych, na wiarę nie zasługiwały. Żałować można, że Długosz uskąpił nam swych wiadomości o wielu i nader ważnych zdarzeniach, ale że o nich przemilczał z tego lub innego powodu, nie obala ich rzeczywistego istnienia. Możnaby przeciwko nam podnieść tę okoliczność, że w księdze Długosza, podającéj rok za rokiem w kronikarskim sposobie wiadomości o sprawach publicznych, o zjazdach panów, o walnych sejmach, znaleśćby się przecież powinna wzmianka o tym zwłaszcza sejmie, na którym miano rozprawiać o zamierzonych zmianach i napra-

wach, a z powodu tego sejmu powinienże był Długosz natrącić choć słówkiem o przygotowanym dla tegoż zgromadzenia memoryale Ostroroga. Trzeba jednak zważyć charakter samego dzieła Długoszowego, i mieć na pamięci to, jak się nasz dziejopis wywiązuje ze swego zadania przy podawaniu wiadomości z zakresu ustawodawstwa i wogóle rozwoju działalności sejmowéj państwa. O ustawach nieszawskich z 1454 roku, które przecież stanowią kamień węgielny nowego gmachu swobód i wolności, a doniosłością swéj osnowy górują nad całym wewnętrznym rozwojem Polski w XV wieku, podał nam Długosz tak pobieżną, ogólnikową wzmiankę (*aliquibus libertatibus et praerogativis de novo adjectis*. Hist. Pol. V. 194), że gdyby nie były ocalały same ustawy tak rozległy zakres obejmujące stosunków wewnętrznych, tobyśmy żadnego nie mieli pojęcia o tych głębokich zmianach jakie wskutku nich zaszły w wewnętrznem życiu Polski. Jeżeli więc dziejopis nasz, który przecież był świadkiem naocznym w owym czasie, gdy statuty nieszawskie weszły w wykonanie, nie uznał za stosowne przytoczyć choćby jedno postanowienie z wielkiego szeregu tylu niepomiernie ważnych uchwał, to z tego łatwo wyrozumieć, jaką miarą mierzył historyk polski działalność zgromadzeń ustawodawczych. Prześlizgnął się po wierzchu takich statutów jak nieszawskie, zaregestrował je poprostu tylko pod rokiem 1454. Na tém poprzestał. Skoro tak się zachował względem wielkiego aktu prawodawczego, to oczywiście sprawy mniejszéj wagi pomijał milczeniem. Nie jest to bynajmniéj regułą. Są także wyjątki w dziele Długosza w téj mierze. Tu tylko chodziło o to, aby na przykładzie oczywistym przekonać, że relacye Długosza co do spraw sejmowych bywają skąpe niekiedy. Jeżeli zaś szczupła ich osnowa tak się kurczy czasami, że przychodzi do zera, że się tak wyrażę, czyli, że jéj nie masz zupełnie, to z tego żaden nie płynie dowód, aby nie istniał dany w téj mierze wypadek. Tém mniéj zdarzyćby się to mogło, skoro nie chodzi o akt prawodawczy, o uchwałę sejmową. Wszak memoryał Ostroroga nie był ustawą, nie był statutem nieszawskim. Był głosem prywatnym jednostki, głosem, podanym na piśmie, był memoryałem przygotowanym na sejm, co się miał zająć rozważeniem różnych wad rządu. Trzeba wziąć ściśle na uwagę znaczenie formalne tego głosu piśmiennego, jego stosunek do sejmu, żeby wiedzieć, czego żądać od Długosza, jak oceniać to, że w jego dziele o tym głosie wzmianki nie masz. Ostroróg tedy wiedząc, że ma być sejm walny wyłącznie poświęcony rozważeniu wad rządu i różnych złych zwyczajów, układa piśmiennie program reformy czyli tych zmian i ulepszeń, które zaprowadzić należy. Tak sam we wstępie cel swojego pisma określa. Czyni to dlatego, że jest wolniejszym od zajęć aniżeli inni mężowie, wpływa-

jący do rady królewskiéj i ma na celu tylko przypomnieć, o czém radzić należy, na co zwrócić uwagę wypada. Zamiary więc autora są nam znane, jego cele i pobudki wiadome, osnowę całego pisma mamy przed sobą. Mamy przed oczyma memoryał, mamy program polityczny Ostroroga wygotowany dla sejmu, który miał się zgromadzić i obradować nad sprawą zmian i ulepszeń wewnętrznych. Ale co się z nim daléj stało, jakie spotkały go losy, wśród jakich warunków i okoliczności oddziałał na przebieg zamierzonych rozpraw i roztrząsań, tego znikąd wyrozumieć dla braku wskazówek nie potrafimy. Może były i inne memoryały przygotowane. Jak się ścierały zdania przeciwników, tego nie wiemy. Prof. Małecki (Kwart. hist. 1887, str. 404) twierdzi nawet, że memoryał Ostroroga wcale pod rozprawy nie przyszedł i tylko „szacownym materyałem" pozostał, pozostał „rozprawą akademicką". W tych właśnie okolicznościach szukać należy, między innemi, przyczyny milczenia Długosza, który gdy o statutach nieszawskich pobieżną uczynił wzmiankę, tém mniéj uważał za stosowne podawać szczegółową wiadomość o przebiegu dyskusyi sejmowéj, bo „Dzieje Polski" przez niego spisane nie miały na celu w szczupłych ramach pomieszczać dyaryuszów sejmowych. Dla dzisiejszéj nauki dziejów naszych, choć nie mamy wskazówek co do losu, jaki spotkał w dalszym ciągu memoryał Ostroroga, wartość jego, jako bardzo cennego źródła do poznania wewnętrznych stosunków Polski w połowie XV wieku, bynajmniéj przez to się nie zmniejsza. Pozostanie ono na zawsze świadectwem stanu opinii publicznéj pewnéj części umysłów, dążności i aspiracyj, pozostanie wyrazem krytyki stosunków wewnętrznych i światłem, co pozwola spojrzeć na dno prądów, jakie nurtowały społeczność polską w połowie XV wieku. Milczenie o niém Długosza z przyczyn szczegółowo wyżéj przez nas wyłuszczonych, żadnéj nie daje podstawy do powzięcia choćby najsłabszéj wątpliwości co do rzeczywistego téj rozprawy istnienia.

III.

Po uchyleniu zarzutów ze strony formalnéj poczynionych, przejdźmy do rozważenia siły przekonywającéj dowodów, dotyczących istoty samego pisma Ostroroga. Dwa naczelne, które się mieszczą pod numerami 1-ym i 2-im, mają na celu wykazać, że w memoryale Ostroroga znajdują się dwa anachronizmy, które stanowią sprzeczność z epoką, w któréj sam memoryał miał powstać. „Jeżeli—powiada autor artykułu w „Przeglądzie Katol."— w jakim pomniku przeszłości, podawanym za twór pewnego wieku, znajdują się wzmianki i wyrażenia, od-

noszące się do faktów zaszłych w czasach późniejszych, pomnik ów oczywiście późniejszego, niż podawano, jest czasu". Co do zasadności tego twierdzenia dwóch zdań być nie może. Chodzi tylko o to, żeby wykazać w danym pomniku podobne anachronizmy, żeby dowieść, że istotnie są w nim wzmianki i wiadomości, ściągające się do zdarzeń, które jeszcze nie zaszły w chwili mniemanego jego powstania. Jeżeli dokument, podający się za akt autentyczny, wydany przez Kazimierza Wielkiego, mieści w rzędzie świadków, zwykle wyszczególnianych w tego rodzaju pomnikach, osoby z imienia i nazwiska i dostojeństwa, które żyły i działały o jakie sto lat później, dajmy na to, za Władysława Warneńczyka, to akt taki grzeszący pewnym anachronizmem, nie będzie mógł być przyznany za wiarogodny. Jakże się ma rzecz z Ostrorogiem?

W XIV-ym paragrafie jego pisma czytamy o bulach jubileuszowych, co następuje: „I to nie jest bez oszustwa, że papież, kiedy mu się podoba, pomimo woli króla i panów, nie wiedzieć jakie bulle, jubileuszowemi zwane, posyła do Polski, dla wydrwienia pieniędzy, pod pozorem odpuszczenia grzechów. Zmyśla papież, że gotowizna tak zbierana, ma być obracana na budowę nie wiedzieć jakiego kościoła, gdy tymczasem skarby te idą, co jest pewném, na potrzeby prywatne krewnych i powinowatych, na dwór, stajnie, że nie powiem co gorszego."

Otóż autor artykułu jest tego zdania, że w powyżéj przytoczonym ustępie tkwi anachronizm. Okoliczności, o których tam mowa, nie mogą się jakoby odnosić do XV wieku, gdyż podobno odpowiadają tylko zdarzeniom, jakie miały miejsce w XVI stuleciu, już po śmierci Ostroroga. Fałszerz więc jakoby się sam tu zdradził, przeniósłszy zdarzenia swojego czasu na tło epoki wcześniejszéj, kiedy te zdarzenia miejsca jeszcze mieć nie mogły, jak w owym dokumencie, gdzie świadkowie żyjący za Władysława Warneńczyka nie mogli być obecnymi przy akcie zdziałanym za Kazimierza W. Fałszerz w tym razie jakoby nie spostrzegł się, że bule jubileuszowe na budowę kościoła w Rzymie, powstały dopiéro za jego życia, a wcześniéj wydawanemi nie były. Czyżby istotnie tak biegły w prawie kanoniczném autor, tak obeznany dokładnie ze stosunkami kościelnemi, mógł się dopuścić takiego grubego błędu, gdyby istotnie pisał swój memoryał nie w XV, lecz w XVI wieku?

Autor artykułu mniema, że bule jubileuszowe, przeciwko którym powstaje Memoryał, przysyłane przez papieża do Polski, „dla wydrwienia pieniędzy pod pozorem odpuszczenia grzechów", mogły być tylko owemi, które od czasu Aleksandra VI od 1500 r. wydawano wraz z odpustem. Odpusty zaś *ad instar jubilaei*, t. j. w roku, kiedy ju-

bileusz wcale nie przypadał, były udzielane od czasu Juliusza II (1503—1512) a po jego śmierci przez Leona X, celem pozyskania funduszów na budowę kościoła św. Piotra. Ponieważ zaś przeciwko tym odpustom wystąpił w 1517 r. Luter, więc jakoby echem głosu Lutra był ów ustęp w memoryale Ostroroga.

W całém tém nieporozumieniu, które dało pohop autorowi artykułu do wykazania mniemanego anachronizmu, chodzi naprzód o jubileusz, a następnie o użycie odpustowych pieniędzy na niewiedzieć jaki kościół, jak wspomina Ostroróg. I jedno i drugie da się jak najlepiéj pomieścić na tle dziejów nie XVI, ale XV wieku, kiedy mianowicie żył i działał Ostroróg.

Jubileusze, jak wiadomo, zaczęły się w 1300 r. Pierwszym papieżem, co wydał bulę odpustową *Antiquorum*, był Bonifacy VIII. Jubileusze w Rzymie miały się odtąd co lat sto odbywać. Za Klemensa VI skrócono zbyt długi termin. W roku 1350 odbył się drugi jubileusz — już po upływie tylko lat pięćdziesięciu. Papież Urban VI skrócił 1389 r. peryód jubileuszowy (Encykl. kościel. tom 9, str. 249) do 33 lat, poczem następca jego Bonifacy IX ogłosił jubileusz 1390 r. W skutku tego dalszy jubileusz był odprawiony w 1423 r. po upływie ustalonego wyżéj terminu. Ale gdy nadszedł rok 1450, już nie krępowano się ostatnią datą, według któréj na rok 1456 jubileusz przypaść był powinien, lecz zatrzymano się na liczbie 50 w szeregu liczenia lat, jako na téj, która wyrażała połowę upłynionego wieku. Odbył się więc w Rzymie jubileusz za papieża Mikołaja V w pomienionym roku. W Polsce zaś „rok łaski" uległ pewnéj zmianie. Papież za staraniem kardynała Zbigniewa, jak o tém donosi Długosz (Hist. pol. V. 99) ogłosił dla całego Królestwa Polskiego i W. Ks. Litewskiego od grudnia (1450) do końca sierpnia (1451 roku) jubileusz pod tym warunkiem, aby każdy pragnący dostąpić odpustu, złożył w kościele krakowskim, gnieźnieńskim, albo lwowskim lub wileńskim do skarbony na ten cel urządzonéj, połowę tych tych kosztów, któreby prawdopodobnie wydał na podróż do Rzymu i na powrót stamtąd, oraz na pobyt tamże w ciągu dni piętnastu... Co zaś do podziału zebranych tym sposobem pieniędzy postanowił papież, aby połowa z nich była ustąpioną królowi Kazimierzowi, na obronę katolików przeciwko Tatarom, jedna czwarta aby oddana była królowéj Zofii na jéj potrzeby przy wyposażaniu biednych panien, a druga (t. j. ostatnia) czwarta część, aby przypadła na rzecz samego papieża Mikołaja n a n a p r a w ę k o ś c i o ł ó w w Rzymie...

Otóż jesteśmy już na tropie myśli, którą się kierował Ostroróg, jesteśmy też już na drodze do uchylenia mniemanego anachronizmu. Mamy tu już poniekąd wyjaśnienie krytyki, która się ukrywa w sło-

wach Ostroroga co do nieustalonéj peryodyczności jubileuszów. Właściwie jubileusz powinien był przypaść w roku 1456, jeżeli miał, w myśl postanowienia Bonifacego IX obowiązywać, jak w poprzednim wypadku, t. j. w 1423 r., okres 33-ch lat. Tymczasem właśnie papieżowi podobało się wrócić znów w 1450 roku do okresów 50-cio letnich, ale z umniejszeniem okresu poprzedniego, bo od roku 1423 upłynęło tylko lat dwadzieścia siedm. Nie wchodzę tu w roztrząsanie sprawy *in merito*, podnoszę tylko okoliczność, że ze stanowiska Ostroroga, tak nieprzychylnie usposobionego dla strony finansowéj odpustów, mogło to dać powód do wyrażenia się, „że papież kiedy mu się podoba... posyła do Polski bulle jubileuszowemi zwane...“ Tego jednak jubileuszu w r. 1451, który był przez papieża dla Polski wyznaczony, nie mógł Ostroróg mieć na myśli, tak twierdzi autor artykułu, gdyż jubileusz ten nie był udzielony „pomimo woli króla i panów“, jak twierdzi memoryał, lecz właśnie na ich prośby — czyli jak Długosz donosi, na wstawienie się o to kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Moglibyśmy w danym razie odpowiedzieć, że Ostroróg rozminął się tu poniekąd z prawdą, że może miał na myśli rokowania, jakie się toczyły między kuryą rzymską a królem co do podziału wpływów pieniężnych, że król wraz z panami był zrazu niechętnym, ale ostatecznie uległ naleganiom Oleśnickiego i znaczniejszy udział sobie zastrzegł. Ostroróg mógł w swém stronniczém zapatrywaniu na stosunek stolicy apostolskiéj do Polski pod względem ofiar pieniężnych, tak się naprzód wysunąć, że uwydatnił tylko jednę i pierwszą część rokowań, zamilczawszy o ostatecznym ich rezultacie. Ale to przecież nie ulega wątpliwości, co Długosz przytacza i co podnosi Ostroróg, że pieniądze zebrane z odpustu (tylko w czwartéj części) szły na budowę „niewiedzieć jakiego kościoła“. Wprawdzie mógłby nam autor zarzucić, że według doniesienia Długosza, pieniądze odpustowe z r. 1451, przeznaczone były na odbudowę kościołów, *ad ecclesias Urbis reficiendas*, nie zaś na budowę; ale tenże Ostroróg w dalszém rozwinięciu swéj myśli dodaje właśnie, że łupione są żywe kościoły Boga, *ut mortua reficiantur*, aby martwe kościoły odbudowywać. To samo wyrażenie spotykamy więc u Ostroroga, *ut reficiantur.*

Autor artykułu wtrąca tu myśl o budowie kościoła św. Piotra, rozpoczętéj, jak wiadomo, w XVI wieku. Nie widzimy żadnéj zasady, aby można było nasuwać tu ten widoczny anachronizm. Pójdźmy daléj. Rzecz cała co do powtarzanych jubileuszów według „upodobania papieża“ i na rzecz budowy kościoła, ale zupełnie innego, nie katedry św. Piotra, zaraz się wyjaśni.

Mamy przed sobą bardzo ciekawy dokument. Jest to list nie-

jakiego Marini Ponciani, umieszczony w Metryce koronnéj (ks. 11, str. 229) bez daty, w szeregu jednak aktów z roku 1456. Z brzmienia listu, pisanego do jakiegoś dostojnika kościelnego, dowiadujemy się, że autor u króla czynił usilne starania o dopuszczenie w jego państwie rozpowszechnienia indulgencyj, ale bezskutecznie (*in omnibus dominiis et regnis nostrarum indulgenciarum execucionem admitti supplicavimus*). Ponieważ w dalszym ciągu listu wzmianka jest o jubileuszu już dokonanym, czyli odprawionym za czasów Mikołaja V-go, nie może być przeto tu mowy o jubileuszu z roku 1451-go. Gdy nadto wzmiankowana jest okoliczność o wykupnie zamków zdobytych przez zakon krzyżowy, o wykupnie jeńców z niewoli pruskiéj, widocznie rzecz odnosi się do początkowego okresu wojny z zakonem krzyżowym, rozpoczętéj w 1454 r. i zagajonéj klęską pod Chojnicą, gdzie tylu znakomitych jeńców dostało się do niewoli pruskiéj. Jesteśmy przeto w epoce lat od 1454—1455. Autor listu zwraca się do owego dostojnika kościelnego z prośbą, aby swém wstawieniem poparł staranie o wyjednanie pozwolenia *indulgenciarum execucionis*. Więc są indulgencye— inne, jak owe z 1451 roku. Chodzi o to, żeby król pozwolił szczególniéj w W. Ks. Litewskiém głosić indulgencye. Cały dochód, powiada autor listu, moglibyśmy na dwie równe części podzielić: jednę dalibyśmy królowi na wykupno jeńców, a drugą zatrzymalibyśmy dla siebie, dla naszych jeńców.

Mamy przeto fakt ponowienia odpustów i przyniesienia ich do Polski w czasie niejubileuszowym. Mamy także fakt przed sobą, że król odmówił, że nie zgadzał się, że zatém „pomimo woli jego“, jak Ostroróg nadmienia, przysłane były odpusty do Polski.

Pod koniec owego ciekawego listu autor radzi osobie pośredniczyć mającéj, aby nadmieniła, iż się król wzdragać nie powinien przystąpić do połowy zysków z indulgencyj ze względu na to, że za Mikołaja V-go król angielski zatrzymał sobie połowę dochodu z jubileuszu przez papieża ustanowionego, a król francuski za tegoż Mikołaja V-go zastrzegł sobie z góry połowę dochodu, nim dał pozwolenie głoszenia odpustu jubileuszowego, który tenże papież ustanowił celem zebrania pieniędzy *pro reparacione sancti Pauli*...

Widoczna przeto rzecz, że kiedy Ostroróg pisał swój memoryał i kiedy powstawał przeciwko zbyt częstym i dowolnym okresom jubileuszowym lub wogóle przeciwko indulgencyom, szło między innemi o pieniądze na odbudowę kościoła św. Pawła. O budowie katedry św. Piotra mowy jeszcze wtedy być nie mogło. Dlatego téż Ostroróg wspomina o odbudowie martwych kościołów, których w Rzymie było dużo, a wiele z nich chyliło się do upadku i wymagało reparacyi.

W całym zatém ustępie XIV-ym, który miał jakoby zawiérać w sobie anachronizm, żadnéj sprzeczności faktycznéj i chronologicznéj, jak to wykazuje nasz wywód, dostrzedz niepodobna. Że zaś Ostroróg twierdzi na pewne, iż pieniądze jubileuszowe idą na potrzeby prywatne krewnych i powinowatych papieża, na dwór, na stajnie, to téj jego opinii, jako tu do sprawy anachronizmu nie należącéj, roztrząsać nie widzimy potrzeby. Aleć i ona przecież nie staje w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy, jaki zapanował w Rzymie już w XV-ym wieku, jeśli nawet nie wcześniéj.

Drugim mniemanym anachronizmem, na jaki się powołuje autor artykułu, ma być wyraz *sacramentarii* (sakramentnicy), którego użył w swém piśmie (§ XV) Ostroróg, kiedy nadmienia, że pogrzeby, namaszczenia święte, pokuty, chrzty, małżeństwa, położnic wywody, wieczerza pańska wszędze są sprzedajne, chociaż bezpłatnie powinny się odbywać na żądanie; również kiedy zbijając usprawiedliwienie księży, biorących za te posługi pieniądze, oświadcza, iż próżne są słowa, jakiemi się ci sakramentnicy bronią. Autor artykułu twierdzi, że wyraz ten po raz pierwszy jakoby był użyty przez Lutra około 1524 r. w polemice przeciwko Carlstadtowi i jego współwyznawcom, poczytującym sakramenta za proste ceremonie religijne... Autor memoryału, Ostroróg, „nie w tém wprawdzie, co Luter, znaczeniu dogmatyczném użył tego wyrazu, są słowa artykułu, ale tak samo jak Luter użył go jako pogardliwego przezwiska na nienawistnych sobie kapłanów katolickich. Jest tu więc także ślad, że autorem *Monumentu* nie był człowiek zmarły już w 1501 r., t. j. wówczas, kiedy tego wyrazu nie było jeszcze w użyciu.“

Otóż z powyższego wyjaśnienia wypada, że wyraz *sacramentarius* ma różne znaczenia. Najprzód dogmatyczne, a powtóre jest przezwiskiem pogardliwém. Dogmatycznie wiemy, co ma znaczyć. Pogardliwie—to rzecz nieokreślona, zależna od tonu, miejsca i okoliczności. Zewnętrznéj formy odrębnéj w tém ostatniém znaczeniu wyraz ten nie posiada. Gdzież jest więc granica czasu, która oddziela istotnie wewnętrzną treść i osnowę wyrazu? tak, iżby powiedzieć można, że przed Lutrem, przed 1524 r., tego „wyrazu nie było jeszcze w użyciu.“ Morfologicznie, t. j. pod względem swego kształtu, wyraz ten jest bardzo stary, jako wyraz pochodny od pospolitego i dawno używanego słowa *sacramentum*. Znaczenie jego było różne w różnych wiekach. Du Cange (wyd. 1886) w słowniku średniowiecznéj łaciny cytuje wyraz *sacramentarii apud Johannem VIII pp. Epistol. 228*. Zdaje się, że wyrażano w tym kształcie nazwę *juratores* i *conjuratores*, współprzysiężników w procesie sądowym salickim, frankońskim, w kapitularzach VIII

i IX wieku (*Eideshelfer*). Wobec istniejącéj zatém staréj formy, cóż dziwnego, że téj, jako najbliższéj użył Ostroróg, kiedy nazwał sakramentnikami tych, którzy sakramenta sprawują, sakramenta chrztu, pokuty, małżeństwa, eucharystyi, namaszczenia — nie bezpłatnie, ale za pieniądze, nie tak jak tegoby był pragnął autor memoryału. Taka zachodzi ścisła łączność w pojęciu Ostroroga między sakramentami i temi, którzy je sprawują, że księży nazwał tém imieniem, jakie najbliżéj odnosiło się do ich czynności — udzielania sakramentów. Tak samo téż utarł się wyraz *sacramentarius* w znaczeniu obejmującém wszystkich heretyków, którzy sakramenta bądź nieprawidłowo sprawują, bądź wyrazy i określenia do nich się odnoszące inaczéj tłómaczą — *aliter quam par est explicant* (Du Cange: wyraz *Sacramentarii*). A tacy heretycy przecież powstali nie w XVI-ym dopiéro wieku, ale byli już w XV-ym stuleciu w czasie husytyzmu, którego świadkiem był téż sam Ostroróg. Oczywiście więc, wyraz *sacramentarius* nie jest wyrazem tego rodzaju, żeby użycie jego w XV-ym stuleciu za Ostroroga było anachronizmem i datowało dopiéro od 1524 r., od czasu polemiki Lutra z Carlstadtem [1]).

A teraz pozostaje jeszcze do usunięcia jeden zarzut, opiérający się nie na dostrzeżeniu anachronizmu, ale sprzeczności, która podobno zachodzi między dwoma utworami Ostroroga i rolą, jaką on odegrał w różnych czasach na widowni politycznéj. Mowa, którą wypowiedział Ostroróg w Rzymie w charakterze posła królewskiego, wyrażającego obedyencyą papieżowi Pawłowi II w r. 1467, tchnie duchem najgłębszego poważania i uwielbienia dla papieża. Niepodobna przypuścić, jak twierdzi autor artykułu, aby na kilka czy kilkanaście lat przedtém, ta sama osoba w piśmie swém wypowiadała „słowa nienawiści i prawie pogardy dla papieża.“ „Kto odradza królowi pokorne pisanie do papieża (§ 2), to niepodobna, aby sam imieniem tegoż króla upokarzał się przed papieżem.“ Wiemy, że uporczywi i zatwardziali nawet heretycy się nawracają, a Ostroróg błędów żadnych dogmatycznych nie szerzył i nie wyznawał. O ileż łatwiéj zmienić mógł swoje pierwotne zapatrywania na stosunek państwa polskiego do kuryi rzymskiéj. Wszak kościół więcéj się cieszy z jednego nawróconego, jak z wielu sprawiedliwych. W ciągu lat kilkunastu od 1456 r., kiedy naszém zdaniem Ostroróg swój memoryał napisał, mogły zajść zmiany w przekonaniach autora. Nie masz wskazówek przeciwnych.

Przypuśćmy jednak, że Ostroróg obstawał po dawnemu przy

---

[1]) Miejsca, w którém ten wyraz ma się znajdować, autor artykułu w „Przegl. Katol.“ nie cytuje.

swych poglądach na niepomierność wyciąganych przez Rzym opłat pieniężnych pod rozmaitemi postaciami, toć jednak nie był przeciwnym w zasadzie obedyencyi. Chciał tylko, żeby ją nazywano nie obedyencyą, ale wizytacyą i mniemał, że owszem dobrze będzie, wyznanie uczynić, iż król oraz jego państwo wiarę powszechną katolicką zachowują. W rzeczach duchownych Chrystus, jak to wyraźnie podnosi Ostroróg, wszystkim przykazał zachować posłuszeństwo względem papieża. Mamy więc w osobie jego wiernego syna kościoła. Posłuszeństwo w sprawach duchowych dla papieża, uważa on za bezwarunkowo potrzebne. Czyż taki wyznawca nie może szczerze, otwarcie i w retorycznêm przemówieniu z uwielbieniem nawet, uszanować powagi najwyższéj w rzeczach wiary naczelnika kościoła?

Zresztą mowa jego, jaką wygłosił wobec majestatu głowy kościoła powszechnego, wobec licznego grona kardynałów, nie mogła być inną. Wymagała tego sama rola wysłańca królewskiego. Mówca bardzo dyplomatycznie kilka wierszy wstępu poświęcił złożeniu hołdu najwyższemu dostojnikowi kościoła, a w dalszym ciągu rozwiódł się niezmiernie szeroko nad Polską, nad jéj znaczeniem politycznêm, nad walecznością jéj synów, nad religijnością jéj mieszkańców. Te zaś pochwały na rzecz ojczyzny Ostroroga tyle zajęły miejsca w jego przemówieniu do papieża, że je raczéj za odę na cześć Polski, niżeli za hołd głowie kościoła uważać należy. Duma narodowa, która w memoryale Ostroroga tak wybitnie na jaw występuje, odzywa się również głośno i potężnie w oracyi mianéj do papieża. Jest ona tą nutą, która zgodnie brzmi zarówno w jednym, jak i drugim wypadku, i żadnéj nie stanowi sprzeczności.

Dla trafnego ocenienia roli Ostroroga należy także zwrócić jeszcze uwagę i na to, że w 1467 roku przybył on do Rzymu nietylko jako posłannik królewski dla złożenia papieżowi obedyencyi, ale zarazem jako pośrednik dyplomatyczny dla wyjednania zatwierdzenia warunków pokoju z Krzyżakami. Była to sprawa natury politycznéj, dyplomatycznéj, dla załatwienia któréj potrzebne były właściwe zdolności, jakiemi się odznaczał właśnie Ostroróg. Snać dla nich to mianowicie król ten wybór osoby uczynił, nie krępując się żadnemi innemi ubocznemi względami. Zapatrywania na stosunek państwa do kościoła, ostra krytyka zbyt wygórowanych wymagań kamery apostolskiéj, z jaką poprzednio występował Ostroróg, mogły nie stanowić przeszkody do użycia go jako biegłego w sztuce dyplomatycznéj męża. Wiemy przecież o innych osobach z téj saméj epoki, które spełniały obowiązki pośredników dyplomatycznych w Rzymie, choć może nie cieszyły się poprzednio zaufaniem i życzliwością dworu papieskiego.

Tak np. zawołany humanista Kallimach, ścigany był na sejmie piotrkowskim w 1471 r., na którym legat papieski domagał się wydania przybysza za jego mniemany spisek na życie papieża [1]), a jednak tenże Kallimach sprawował wkilka lat później poselstwo z polecenia króla do Wenecyi, oraz do papieża Sykstusa. Liczne inne przykłady z późniejszych czasów mogłyby aż nadto dostatecznie zaświadczyć, że sprawy dyplomatyczne bywały nieraz powierzane osobom, które nie zawsze odznaczały się pożądaną dla dworu papieskiego uległością w rzeczach świeckich, zwłaszcza dotyczących strony materyalnéj, pieniężnéj. Z licznych pobudek, dla jakich Ostroróg mógł być wybranym do Rzymu, wskazać te, które istotnie rozstrzygającemi były, jest oczywiście dziś rzeczą nie łatwą, skoro żadnych stanowczych i i pewnych nie posiadamy wskazówek. Nie zawsze danêm jest historykowi, żeby mógł dotrzéć do głębi sprężyn, które poruszały wypadkami. Nie raz poprzestać mu wypada na wskazaniu prawdopodobieństwa motywów pewnego zdarzenia. A to prawdopodobieństwo co do Ostroroga i jego poselstwa do Rzymu, widocznêm się staje z całego szeregu przytoczonych tylko co wywodów.

Skończyliśmy naszę walkę z zarzutami, jakie autor artykułu poczynił, zaprzeczając autentyczności pisma Ostroroga. Na tych sześciu dowodach, które się w żadnym punkcie ostać nie mogły, wsparło się całe oskarżenie. Po zwalczeniu dwóch czy trzech dowodów, które dotyczyły szczegółów pojedynczych i ściągały się do kilku wyrażeń jakoby anachronicznych, bo o zarzutach formalnych nie ma już potrzeby tu wspominać, wypadałoby z kolei do najwalniejszego przystąpić pytania, t. j. roztrząsnąć i rozważyć, jak autor ocenił osnowę całego memoryału, jakie wytknął w nim sprzeczności z rozwojem politycznym i społecznym Polski w XV-ym wieku, jakich dopatrzył się w jego układzie niezgodności, jak wykazał na wiarogodnych z owego stulecia pomnikach te wielkie różnice, jakie oczywiście uwydatnićby się musiały w dziele, co powstało niby o kilkadziesiąt lat późniéj od epoki czasu, do którêj samo odnieść się chciało.

Oczywiście, na têm polu wypadnie nam stoczyć z autorem najwalniejszą rozprawę.

IV.

Oczekiwania nasze zawiodły nas, niestety. Daremnie szukamy w artykule dalszych dowodów. Autor uznał przytoczone snać za tak

---

[1]) Zeissberg, „Die poln. Gesch.“, 355.

stanowcze, że nie poczuwał się do obowiązku przywiedzenia innych. któreby z konieczności musiały być wynikiem stwierdzonéj nieautentyczności. Uznawszy dwa szczegóły za anachroniczne w piśmie Ostroroga, oparłszy na nich zarówno jak na innych kilku poszlakach wniosek, obalający do gruntu gmach wywodów dotychczasowych badań, trzeba było wykazać, o ile zakwestyonowany memoryał osnową swą całą przypada lub nieprzypada do tła wieku, do charakteru wewnętrznego rozwoju. Trzeba było, przenosząc rozległą i różnorodną treść pisma Ostroroga na pole życia publicznego Polski, jéj urządzeń wewnętrznych, kierunków, dążności, stanu prawodawstwa, wypróbować zasadność wątpliwości lub dowodów przytoczonych w sześciu powyżéj punktach przeciwko autentyczności. Jest to doskonały środek sprawdzenia, o ile domysły lub domniemania, co do niewiarogodności uważać można za uzasadnione. Jest to nadto jeden z najistotniejszych warunków badania metodycznego w nauce dziejów [1]. Kto zadość mu nie czyni, ściąga na siebie zarzut, że postępuje w dochodzeniu prawdy niemetodycznie, że lekceważy sobie środki, jakie są wskazane przez metodologią dlatego, aby ustrzedz badacza od jednostronnych wniosków lub nawet błędów.

W dyplomatyce średniowiecznéj, jeszcze bardzo niedawno, spostrzegać się dawał między uczonymi kierunek krańcowy, sceptyczny. Badacze zaopatrzeni w pewien zasób wiadomości formalnych, podawali za podejrzane, wątpliwe lub sfałszowane te wszystkie dyplomata, w których dostrzegali pewnych niezgodności z formularzami ogólnemi, lub z temi typami czy wzorami, jakie sobie ustanowili w swym umyśle co do pewnego wieku, danéj kancelaryi i t. p. Przeciwko temu hyperkrytycyzmowi rozpoczęło się od pewnego czasu zasadne oddziaływanie. Na wykazaniu pewnych niezgodności z formularzem, pewnych pozornych uchybień formalnych, poprzestawać w takich razach nie wypada. Na nich osnuwać wyroku niepodobna. Nauka dyplomatyki, metoda krytyki dyplomatycznéj wymaga bezwarunkowo, aby dopełniono obowiązku względem saméj treści dyplomatu i wykazano, jakie w nim tkwią sprzeczności, które wiarogodność jego czynią wątpliwą.

Autor artykułu w „Przeglądzie Katolickim“ poskąpił nam swych wskazówek co do osoby fałszerza, sposobu, w jakim mógł prawdopodobnie dopuścić się swojego fałszerstwa. Nie dał nam prawie żadnéj odpowiedzi na cały szereg pytań, które w umyśle badacza powstają

---

[1]) E. Bernheim, „Lehrbuch der histor. Methode.“ Leipzig, 1889, str. 239 i n.

wobec zakwestyonowania wiarodgodności źródła historycznego. Nieubłagana logika rozumowania staje przed nim ze swemi wymaganiami.

Więc oto próbka mała.

Autor mniema, że jakiś nieznany sekciarz około połowy XVI-go wieku podszył się pod nazwisko Ostroroga, wojewody poznańskiego, napisawszy swój traktat o naprawie Rzeczypospolitéj. Używając cudzego nazwiska, przemawiając w imieniu osoby, co działała w poprzednim wieku, musiał oczywiście fałszerz na stosunki wewnętrzne, które stanowią osnowę jego pisma, patrzéć okiem XV-go wieku. Na czém, pytamy teraz, wzorował on swoje dzieło?

Fałszerze dyplomatów średniowiecznych bardzo często brali za pierwowzór jakieś dokumenta autentyczne bliższéj lub dalszéj epoki, i według nich mniéj lub więcéj zręcznie starali się naśladować wzór, aby zmyśleniu nadać wszelki pozór wiarogodności. Na czém oparł się pseudo-Ostroróg, ów sekciarz nieznany, układając nie dyplomat pojedyńczy, nie prosty przywiléj, ale cały traktat, cały programat reform tyczących się kościoła, państwa, wojskowości, sądownictwa, administracyi? Wiemy przecież, rozejrzawszy się pilnie w źródłach XV-go wieku, rozczytawszy się w księgach Długosza, w listach ówczesnych, w pomnikach prawodawczych, że stosunki wewnętrzne rozstrząsane w memoryale, odpowiadają najściśléj stosunkom z połowy XV-go stulecia i przypadają do nich, jak owe kawałki z łamigłówek geograficznych, które swojemi zygzakami przystają do siebie i układają się w całość jednolitą. Skądże więc ów pseudo-Ostroróg dobiérał swoje wycinki i wyrzynki tak umiejętnie, że je potrafił wstawić w owe wykręcone linie stosunków politycznych i społecznych epoki, któréj nie był naocznym świadkiem. Do tego potrzebną byłaby wielka znajomość dziejów i urządzeń wewnętrznych Polski z XV-go wieku, tak wielka, na jaką, o ile nam wiadomo, nie potrafiłby się zdobyć żaden ze statystów, żaden z pisarzy politycznych XVI stulecia.

Przecież taki głęboki znawca dziejów Polski, jak Długosz, co przeorał swym rylcem historyka całą niwę przeszłości swojego kraju, jak niedokładnie przedstawia stosunki organizacyi politycznéj choćby nawet najbliższego siebie wieku, wieku XIV-go, jak często ujawnia nieznajomość wewnętrznych urządzeń Polski. Moglibyśmy przypuścić w danym razie, że ów „nieznajomy sekciarz“ obeznany był ze stosunkami kościelnemi, z prawem kanoniczném, żeby skreślić obraz stosunków państwa do kościoła, ale nigdy zgodzić się na to nie może znawca umysłowości naszéj w XVI-ym wieku, aby był wtedy tak biegły w prawie publiczném pisarz, coby potrafił przenieść się w wiek poprzedni i w jego granicach taką głęboką wykazać znajomość istnieją-

cego wtedy stanu urządzeń politycznych, prawnych, skarbowych, wojskowych, administracyjnych.

Między innemi cechami charakterystycznemi pisma Ostroroga jest i ta, że autor zwraca się głównie i wyłącznie w swych uwagach i napomnieniach do panów rady, do tych, w rękach których jeszcze prawie jedynie spoczywała władza stanowienia wraz z królem o zmianach ustawodawczych. Izba poselska, jéj udział w życiu publicznem, krom spraw wojny i opodatkowania, tak mało, nieznacznie, prawie że wcale się nie uwydatnia w téj niezbędnéj, zamierzonéj akcyi ustawodawczéj, iż niepodobna przypuścić, aby autor nie był podniósł tych wadliwości, jakie w jéj rozwoju już w drugiéj połowie XV-go wieku, a tém więcéj w XVI-ym stuleciu zwracały na siebie uwagę króla i tych, co się sprawami publicznemi zajmowali. Jeżeliby zaś pseudo-Ostroróg układał był swój memoryał około XVI-go wieku, byłby niewątpliwie dla braku dokładniejszéj znajomości stosunków sejmowania dopuścił się bardzo grubych błędów i anachronizmów. Autor artykułu wszak sam nadmienia, że ów pseudo-Ostroróg 43 artykuły pomieścił w swym memoryale, poświęcone pomienionym właśnie stosunkom wewnętrznym [1]). To nie tak drobna rzecz—43 paragrafy, które w całym swym układzie uwydatniają jednę myśl przewodnią, ogarniającą w tylu rozmaitych szczegółach zupełny mechanizm życia wewnętrznego państwa.

Zróbmy inne przypuszczenie wobec tego, że powyższe ostać się nie może. Dajmy na to, że ów pseudo-Ostroróg, któremu pod pióro nasuwają się niepostrzeżenie mniemane anachronizmy (owe bule jubileuszowe, owi sakramentnicy) wzoruje swój memoryał na stosunkach epoki, w któréj żył i działał, że czerpał swoje myśli i poglądy ze stosunków doby współczesnéj: jakżeż wtedy rzecz się przedstawi?

Jakiż więc stan Polski mógł mieć przed oczyma? Chyba ten tylko, jaki istniał za jego życia. Rzucamy więc pytanie doniosłe, rozstrzygające w téj sprawie.

Kiedy żył ów nieznany sekciarz?

Odpowiedzi określonéj nieco ściśléj nie znajdujemy na to pytanie w artykule „Przeglądu Katolickiego.“ O ile jednak wyrozumieć można z napomknień, wnosić należy, że autor przypuszcza, iż pseudo-

---

[1]) W dwóch innych miejscach omawianego tu artykułu owe 43 paragrafy redukuje autor do liczby kilku myśli, „kilku rad“... (bezimienny autor „Monumentu,“ dając w nim kilka publicznych rad naprawy Rzeczypospolitéj). Wątpię, czy ogół 43 różnorodnych paragrafów dałby się zamknąć w granicach szczupłych wyrazu: kilka myśli, kilka rad.

Ostroróg żył około XVI-go wieku, kiedy ruch między sekciarzami w Polsce żywszą piśmienną wywołał u nich działalność. Dla zdania sobie dokładnego sprawy ze stosunku, jaki zachodził między kościołem katolickim a sekciarzami, trzeba nieodzownie bliżej określić granice czasu. Trzeba wiedzieć, w jakim mianowicie stadyum rozwoju znajdowały się dążności reformatorskie w Polsce, których wyrazem jakoby miało być pismo pseudo-Ostroroga, żeby ocenić cel zamierzony przez sekciarza. Wszak bez celu nie byłby się brał do pióra. Jeżeli zaś miał na widoku „cios, jaki swoim memoryałem chciał w niego (t. j. w kościół) uderzyć“, że tu słowami autora uwydatnię cel sekciarza, to w jakiéj chwili i wśród jakich okoliczności miał tego dokonać?

Przychodzą nam tu w pomoc najprzód rękopisy najdawniejsze. Tych wprawdzie jest niewiele i wszystkie nie sięgają wyżéj, jak 1530 —1540 roku, ale co jest najważniejsza, to chyba ta okoliczność, że źródłem ich jest ów zbiór, tak wiele przez historyków ceniony, zbiór aktów, listów, dokumentów publicznych, znany pod nazwą Tomicyanów, ułożony w części przez biskupa Tomickiego, po jego zaś śmierci prowadzony daléj przez kanonika Górskiego. W jednéj z trzech redakcyj, zachowywanéj w cesarskiéj bibliotece w Petersburgu, znanéj pod nazwą akademickiéj, mieści się memoryał Ostroroga, mianowicie w tomie XVII-ym. Górski postanowił dodać do zbioru 13-tu tomów, za życia Tomickiego dokonanego († 1535) dalszy ciąg aktów i dokumentów, który urósł pod skrzętną jego ręką jako zbiéracza tak znacznie, że mógł z tego utworzyć sześć nowych tomów (*in reliquos sex tomos annorum consequentium*). Ponieważ pracę swą redakcyjną zaczął w 1536 roku, a memoryał Ostroroga pomieścił dodatkowo w tym tomie, który obejmuje lata 1542 i 1543, wnosić więc z tego należy, że już około tego czasu, a mianowicie około 1536 roku, był w posiadaniu tegoż pisma, czyli traktatu Ostroroga. Na tę więc okoliczność czasu nie można zamykać oczu, kiedy sprawa toczy się o to, do jakich stosunków ruchu reformacyjnego mogłaby się odnosić praca owego mniemanego sekciarza.

Mamy nadto jeszcze ważniejsze i jeszcze dowodniejsze wskazówko co do wcześniejszego istnienia memoryału Ostroroga. W manuskrypcie łacińskim, który przechowuje biblioteka cesarska w Petersburgu (*Cod. lat.*, F. XVII, str. 57), mieści się cały szereg listów współczesnych z pierwszéj połowy XVI-go wieku, pisanych głównie do Łaskiego. Między innemi, idąc za wskazówką, którą nam dać raczył łaskawie prof. Brückner, w czasie niedawnych naszych poszukiwań w Petersburgu, natrafiliśmy na list, pisany do ówczesnego proboszcza gnieźnieńskiego, (Jana Łaskiego). List datowany jest z Wie-

lunia dnia 10 grudnia 1532 roku przez niejakiego Callígulę, ziemianina z ziemi wieluńskiéj. Pod pseudonymem, zgodnie ze zwyczajem humanistów, tłómaczenia nazwisk miejscowych na greckie i łacińskie, kryje się prawdopodobnie jeden z rodziny Trepków, zamieszkałéj oddawna w téjże ziemi. Autor listu ośmielony przez swego współrodaka Piotra Masłowskiego, sędziego ziemi wieluńskiéj, połączonego stosunkiem znajomości z Janem Łaskim, rozpoczyna piśmienną z nim wymianę myśli. Przejęty jest uwielbieniem dla Łaskiego, dla jego niezwykłego umysłu, powtarza w liście pochwały, jakie z ust Melanchtona słyszał w Wirtemberdze na cześć jego. Do takiego wielkiego luminarza, jak Łaski, zbliża się autor pomienionego listu. Chcąc sobie utorować drogę do jego życzliwości, ofiaruje mu egzemplarz pisma, które niedawno napotkał. Jest to pismo Ostroroga. Autor przypuszcza, że je Łaski prawdopodobnie posiada, ale na wszelki wypadek przesyła mu je, w przekonaniu, że mu wyświadczy przez to usługę. Pismem tém jest utwór „*magnifici Joannis Ostrorog a consiliis regis Cazimiri quondam.*“ Nazywa autora *doctissimus ac prudentissimus vir*, mężem uczonym i roztropnym, który już dawno Polakom otwiérał oczy na wolność chrześciańską.

Nie o kim innym tu mowa, jeno o naszym właśnie Ostrorogu i jego memoryale. Świadectwo więc współczesne, wiarogodne, stwierdza nam dokumentnie to, że już nietylko Górskiemu około 1536 r. znany był traktat Ostroroga, ale i innym wcześniéj, bo w 1532 roku.

Jeżeliby więc ktoś chciał obstawać przy tém, że memoryał Ostroroga jest apokryfem, nie mógłby wbrew wyraźnym wskazówkom dowodzić, że sfałszowany został około połowy XVI-go wieku, w chwili zbudzenia się piśmiennéj działalności między sekciarzami, ale musiałby trzymać się powyższéj granicy czasu, t. j. 1532 roku. Późniéj, po roku 1532-im oczywiście pismo Ostroroga, jako już znane, powstać nie mogło. Skoro więc taki jest ostateczny *terminus ad quem*, należałoby więc na tło ówczesnego ruchu reformacyjnego przenieść intencye autora-fałszerza i zapytać się, czy w ówczesném stadyum reformacyjnych u nas dążności pisano już jakie traktaty polemiczne. A memoryał Ostroroga nie jest przecież polemiczném pismem, ale traktatem politycznym, w którym dotknięte są także stosunki kościelne. Czyżby fałszerz, który chciał uderzyć na kościół, na annaty, na indulgencye, uważał na potrzebne dodawać do swojego pisma 43 artykuły, które dotyczyły już rzeczy tylko świeckich, prawnych, administracyjnych i t. d. Gdyby miał istotnie na myśli podkopanie powagi papieża, ograniczenie swobód kościoła polskiego pod względem ponoszenia ciężarów publicznych, czyżby nie mógł był łatwiéj dopiąć swego zamiaru,

oddziałania na umysły, wprost przytaczając od siebie dowody, aniżeli kazać czytelnikom patrzéć na stosunki przez pryzmat XV wieku. Zresztą jakiżby mógł miéć cel na widoku fałszerz, domagając się, aby dobra duchowieństwa były opodatkowane, aby wraz z królewskiemi i szlacheckiemi ponosiły ciężar podatku pieniężnego, kiedy ta sprawa już była załatwiona za Kazimierza Jagielończyka i należała do rzeczy utartych, przyjętych i praktykowanych stale, ciągle na sejmach za Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta.

Jeżeli Ostroróg rzeczywisty z XV wieku powstaje przeciwko temu, że do wielu klasztorów w Polsce zwierzchność zakonna nie przyjmuje Polaków tylko Niemców, że przez to ubliża Polsce, że zatém taki zakaz, takie ograniczenie powinno być zniesione, to pocóż miałżeby fałszerz wprowadzać do swego pisma takie zadanie, które w XVI wieku pozbawione było podstawy, skoro konstytucyą z r. 1511, wstęp i Polakom był dozwolony.

Zwrócić także należy uwagę na to, skąd mianowicie przychodziły do nas przed 1532 rokiem sekciarskie nowinki i zapędy. Oczywiście tylko z Niemiec. Sam autor artykułu mówi po dwakroć o źródle luterańskiém, które się niby przebija w piśmie pseudo-Ostroroga. Istotnie, Wirtemberga była tém głównném pierwotnie ogniskiem. Wogóle luteranizm, który oczywiście wcześniéj przed kalwinizmem, do nas się dostawał w téj mianowicie epoce 1517—1532 r., jaką na uwadze miéć musimy, bo nie późniejszą, krzewiony był bezpośrednio przez niemieckie usta lub téż pośrednio przez polskie umysły oddane niemieckiéj idei, spowitéj w takie czysto narodowe niemieckie powijaki. Jakim sposobem staćby się więc mogło, żeby sekciarz, przejęty niemieckim luteranizmem, taką tchnął nienawiścią przeciwko Niemcom, jaka się właśnie objawia w piśmie Ostroroga. Wszakżeż on twierdzi (XXII) najwyraźniéj, że między językiem polskim a niemieckim już sama natura niejako zaszczepiła wieczną niezgodę i nienawiść.

Jeżeli po kolei zaczniemy brać wszystkie artykuły w liczbie 67 memoryału Ostroroga i będziemy je przenosili na tło stosunków w okresie przed 1532 rokiem, przekonamy się, że co chwila dokonywać nam wypadnie gwałtu Prokrusta wtłaczania stosunków politycznych, sejmowych, administracyjnych, wojskowych i t. d. w formy i ramy, w których się one bez wielkiego obrażenia prawdy pomieścić nie dadzą. Zupełną zaś swobodę odzyska badacz, kiedy odniesie myśli i uwagi Ostroroga, do stosunków, jakie zachodziły w Polsce około połowy XV wieku. Rozwodzić się tu nad tém nie widzimy potrzeby. Już w poprzednich pracach nad Ostrorogiem zrobioném to było przez

nas, jak i przez innych badaczy, którzy z obowiązku poczuwali się do dźwignięcia na swych barkach ciężaru — *onus probandi.*

Pochwyciwszy wątek nieznanych nam poprzednio dziejów pisma Ostroroga w XVI wieku, postarajmy się jeszcze dorzucić kilka słów, które wyjaśnić nam zdołają okoliczność wydobycia na jaw owego pomnika z XV wieku. Wiąże się ona poczęści z osnową zarzutów, jakie przeciw autentyczności pisma przytoczono w omawianym tu artykule. Posądzono fałszerza o to, że nietylko sam memoryał napisał, ale nadto dodał od siebie wstęp, w którym chciał upozorować zmyślenie, nadmieniwszy, że ulegając życzeniu wielu osób, rzecz tę zamierzył ogłosić. Wstęp zaś kilkunastowierszowy tak ma być co do stylu i ducha podobnym do samego memoryału, iż wątpliwości jakoby ulegać nie może, że po za autorem wstępu i monumentu kryje się jedna i ta sama osobistość. „Pilny i mający więcéj wolnego czasu filolog, są słowa artykułu, łatwo jednolitość formy wstępu i całego pisma w najdrobniejszych szczegółach stwierdzi; każdemu zaś znającemu łacinę, bez szczegółowych zestawień, jednolitość ta rzuca się wyraźnie w oczy“.

Kto istotnie wstęp napisał do owego pisma Ostroroga — tego nie wiadomo. Wszystkie rękopisy mają na czele to zagajenie jakiegoś autora, który poprzedził kilku słowami pracę Ostroroga, wydobywając ją na jaw, w świat ją puszczając i usprawiedliwiając swe zaopiekowanie się tém, że „niegodziwą byłoby rzeczą, gdyby tak sławnego męża przypadek pokrył niepamięcią“.

Przypuszczano bez zasady, że to był Kalimach.

Był kto inny. Kto mianowicie, powiedzieć tego nie potrafimy. W każdym razie nie sam Ostroróg, nie sam autor i twórca, któryby przecież nie pisał dla siebie reklamy, nazywając się sławnym mężem. Jeżeli to zaś ma być zmyślenie i jeżeli tożsamość stylu ma być tego dowodem, to konia z rzędem temu filologowi, który wykaże na kilkunastowierszowéj przemowie wydawcy, że odznacza się ona jednolitością formy tak wyraźną, iż dwóch autorów tak samo pisać nie mogło, tylko że jeden potrafił utrzymać taką zgodność i jednostajność. W epoce wygładzonéj łaciny humanistów Eneasza Sylwiusza z XV wieku i Melanchtona z XVI stulecia, takie panowało zbliżenie stylowe w pismach, że poprawność języka, potoczystość i obfitość mowy, stały się udziałem wielu pisarzy, tak iż kilkanaście zwykłych frazesów mogło wyjść z pod pióra jednego i drugiego. Różnicę między niemi atoli wykazać można szczególniéj na pewnych zwrotach lub wyrazach, których używał jeden więcéj, drugi mniéj.

Ostroróg dla oznaczenia swéj ojczyzny, swojego kraju, ma tylko jeden wyraz *Polonia.* Używa go zarówno w memoryale, jak i w prze-

mówieniu do papieża. Autor wstępu zaś w swojém kilkunastowierszowém zagajeniu, posługuje się w tym wypadku także wyrazem *Sarmatia.* Otóż i różnica mówiąca przeciwko mniemanéj jednolitości. Zauważyć przytém należy i tę okoliczność, że wyraz *Sarmatia* na oznaczenie Polski, *Sarmatae* na oznaczenie Polaków wchodzi u nas w użycie dopiéro w XVI wieku [1]).

Autor owego listu do Jana Łaskiego, Trepka, z ziemi wieluńskiéj, który Ostroroga pismo posyła prałatowi gnieźnieńskiemu, również używa tego wyrazu po dwakroć, kiedy słowem *Sarmatae* oznacza Polaków. Te wspólności są piętnem czasu. Ten wstęp—to jest właśnie echo XVI wieku — a echo to owych lat około 1520—30 r., odzywa się jeszcze i w innym rysie charakterystycznym. Mnie się zdaje, że wstęp wraz z intytulacyą powstał mianowicie w owym tylko co wskazanym okresie czasu wśród okoliczności, w jakich u nas zaczęły kiełkować pierwsze ziarna nauki Lutra. Ów autor listu z r. 1532, co posyła Łaskiemu Monument Ostroroga, zwraca uwagę prałata, który nowinkom wirtemberskim sprzyjał, na to, że owę *libertas christiana*, jaką się tak żarliwie przejęły umysły Niemców, już dawniéj zalecał polski autor (*nescio quo vaticinante animo admonebat nos Sarmatas libertatis christianae, quam quidem nos intelleximus hucusque Germani autem eo pervenere*). Uwydatnia to, że Ostroróg jakby duchem proroczym już wcześniéj przed Niemcami wyłuszczył Polakom jądro „wolności chrześciańskiéj". Owa „*libertas christiana*" staje się hasłem, które wygłasza zastęp tych, co wraz z Lutrem walczą przeciwko kościołowi katolickiemu. Przeciwko téj „*libertas christiana*" występuje właśnie edykt króla Zygmunta z r. 1526 (Tomic. VIII, 146) zabraniający w Polsce drukowania książek, mieszczących w sobie fałszywą naukę. Echem przeciwnego zdania, broniącego *libertatem christianam*, jest oczywiście ustęp końcowy przedmowy do Ostroroga, któréj autor jakby w przeciwstawieniu wytyka „*tyranicam oppresionem*" wywieraną przez kościół i duchowieństwo współczesne.

W tym przytoczonym związku okoliczności, zdaje nam się, szukać należy początku powstania przedmowy, oraz zamiaru ogłoszenia drukiem rozprawy Ostroroga. Zagajenie jej *ad lectorem* wraz z oświadczeniem, że wiele osób pragnie, aby dziełko było ogłoszoném (*ut libellus iste... in lucem prodiret*) pobudza nas do wypowiedzenia domysłu, że tu chodziło nie o rozpowszechnienie pracy Ostroroga przez odpisy, ale za pomocą druku. Do druku wię był przygotowany memoryał Ostroroga przez niewiadomą nam osobę, która oczywiście nie należała do ściśle prawomyślnych pod względem ko-

---

[1]) Maciéj z Miechowa. Tractatus de duobus Sarmatiis. Krak. 1517.

ścielnym. Osoba ta zredagowała i tytuł i zagajenie, czyli przedmowę [1]). Dlaczego zaś zamiar w czyn wprowadzonym nie został? Może dlatego, że spotkał na drodze ku urzeczywistnieniu swemu przeszkodę, któréj przełamać na razie niepodobna było. W r. 1526 bowiem wyszedł edykt królewski, z mocy którego ustanowiono cenzurę rektora uniwersytetu krakowskiego. Bez pozwolenia jego, żadnéj książki drukować nie było wolno (Tomic. VIII, str. 145).

Tak więc mógł Ostroróg utonąć w niepamięci i dopiéro w początkach naszego wieku wypłynął na jaw za pomocą druku i stał się ogólnie przystępnym dla badań nad dziejami naszego życia politycznego i umysłowego. Wartość jego poglądów, doniosłość rzuconych w memoryale jego myśli ulegała krytyce mniéj lub więcéj przychylnéj współczesnych nam badaczy. Pomimo wad i usterek, że tu powtórzymy słowa wypowiedziane przed kilku laty w zakończeniu naszéj pracy nad tym pomnikiem, pismo Ostroroga jako utwór zdolnego pióra i ukształconego umysłu zajmować będzie zawsze poczesne miejsce w rocznikach naszéj oświaty. Jest to w każdym razie jedna z gwiazd świecących, którą tak wcześnie zapalił na dalekiém niebie Polski wschodzący w XV wieku humanizm.

Po tych długich, nawet przydługich wywodach, może zanadto szczegółowych, czyż więc stwierdzać potrzeba, że zamach na Ostroroga uważać należy za chybiony?

A. Pawiński.

[1]) Wyraz *monumentum* użyty w przedmowie dla oznaczenia dziełka występuje także na tytule. Brak wskazówki chronologicznéj na tytule co do sejmu przekonywa, że wydawca czy autor przedmowy nie miał także dokładniejszéj w tym względzie informacyi.

WIELKA BRYTANIA

I JÉJ POTĘGA KOLONIALNA.

(*Problems of Greater Britain*, by the Right Hon. Sir Charles Wentworth Dilke, Bart. London, 1890, 2 vol.).

I.

Przed dwudziestu kilku laty, świéżo z ławek uniwersytetu w Cambridge wyszły młodzieniec, sir Karol Dilke, syn właściciela *Athenaeum* i spadkobierca nietylko literackich, ale szeroko humanitarnych idei swojego ojca, udał się był w podróż po wszech ziemiach, należących do korony brytańskiéj. Po powrocie napisał książkę, zawierającą etnograficzno-polityczny opis kolonii z uwzględnieniem wszystkich najważniejszych zagadnień, jakie były wówczas na porządku dziennym. Nosiła ona tytuł, który już sam przez się wystarczał do zapewnienia jéj wyjątkowego powodzenia: *Greater Britain*, to jest Większa Brytania. Nazwa ta stała się programatem nietylko jednego stronnictwa, ale hasłem narodowém. Bez różnicy politycznego obozu wyznają Anglicy opinię, że po za ciasnemi wybrzeżami tych dwóch wysepek, które się dumnie przezwały Wielką Brytanią, jest niezliczone, niepojęte prawie mnóstwo lądów, wysp, rzek i mórz, na których powiewa brytański sztandar, *Union-Jack* i które, jako składowe części ich całości państwowéj, stanowią Większą Brytanią. Nie potrzeba zapewne dowodzić, iż bezpośredniém następstwem téj przesłanki jest ścieśnienie węzłów pomiędzy Wielką a Większą Brytanią, nadanie kilkuset milionom mieszkańców, do korony angielskiéj należących, jednolitego, narodowego i cywilizacyjnego piętna. Nigdy bardziéj szczytne, bardziéj rozległe, ale większemi trudnościami najeżone zadanie nie było posta-

wione przed narodem silnym, energicznym, do początkowania przywykłym. Dzieje ostatniéj ćwierci wieku dowodnie świadczą, że ani na chwilę Anglicy celu tego z oka nie stracili.

Książka młodego sir Karola Dilke miała powodzenie nadzwyczajne. Natychmiastową nagrodą autora stał się wybór do parlamentu, gdzie go posłała Chelsea, dzielnica londyńska, co od kilku pokoleń zostawała z jego rodziną w stosunkach klienteli do patronatu i która spoglądała teraz na owego Beniaminka izby gmin, jak na wschodzącą gwiazdę narodową. Nie zamierzamy wchodzić w szczegóły jego politycznego zawodu ani dowodzić, jak dalece położone w nim nadzieje usprawiedliwił. Wystarczy przypomniéć, że od roku 1868 nie przestał należéć do najbardziéj naprzód posuniętego hufca stronnictwa liberalnego, że wydany przez parlament w 1878 r. *Dilke's act* był pierwszém ogniwem łańcucha reform demokratycznych, które na wskroś zmieniać zaczęły w ostatnich czasach charakter oligarchii angielskiéj, że w r. 1880 jako podsekretarz stanu do spraw zagranicznych w ministeryum Gladstona, a w roku 1882 jako prezydent *Local Government Board* i członek gabinetu, wzniósł się do rzędu najbardziéj utalentowanych, najpoważniejszych mężów stanu. Młody, wykształcony, popularny, bogaty, szczęśliwy w życiu rodzinném, otoczony podwójną sławą pisarza i męża stanu, zdawał się sir Karol Dilke płynąć pełnym żaglem po gładkiéj fali nieprzerwanego sukcesu do wyżyn, gdy naraz, przed czterema laty tryumfalny jego rydwan się wykoleił. Oskarżony o cudzołóstwo, przeszedł przez biczowanie skandalicznego rozwodowego procesu. Nie jest już dzisiaj tajemnicą, i nie było nią od pierwszéj chwili, że po za kulisami tego procesu działały polityczne sprężyny i że podsycono płomyk i rozdmuchano ogień, aby się pozbyć raz na zawsze przeciwnika politycznego, unicestwić radykała, co się ośmielił w ferworze młodości sprzeciwiać liście cywilnéj rodziny królewskiéj, a stale i ciągle być rzecznikiem postępu, wrogiem przywilejów i nadużyć. Okazya była niespodziewana, jedyna do zdruzgotania przeciwnika i skorzystano z niéj skwapliwie. Odwołano się do moralności publicznéj, do téj, co choć ciasna, jest szczerą, i do téj, co przywykła chodzić w masce hipokryzyi i być właśnie dlatego wrzaskliwszą. W imię uczciwości, w imię czystości obyczajów odsunięto sir Karola Dilke od życia publicznego.

Ale stronnictwo, co tuszyło sobie, iż go maczugą swoją raz na zawsze powaliło na ziemię, spostrzega obecnie, iż się przerachowało zupełnie. Zwalony podstępnie mąż stanu nie dał za wygraną. Pozwolił ostygnąć namiętnościom, rozproszyć się potwarzom, odzyskać bezstronność i równowagę opinii publicznéj, a sam udał się, w ciągłém

towarzystwie lady Dilke, swéj żony, kobiéty równie wysokiego serca jak umysłu, w nowe podróże, w nowe objazdy zamorskich posiadłości brytańskich. W podróżach tych, przyjmowany jako wielkość narodowa przez władze urzędowe, ciała reprezentacyjne, miał sposobność zbadać źródła, wystudyować dokumenta nie każdemu dostępne, zasięgnąć zdania u przedstawicieli wszystkich obozów i zgromadzić materyały do dzieła, któreby się stało zwierciadłem obecném owéj Większéj Brytanii, którą po raz pierwszy objął syntetyczném spojrzeniem przed ćwiercią wieku. Pierwotne jego dzieło, przerabiane już po kilka razy w nowych edycyach, nie odpowiadało zadaniu i zamiast tego, żeby przerabiać je ponownie, autor wolał napisać nowe zupełnie. Mamy je teraz przed sobą, te dwa grube tomy o przeszło tysiącu stronic, pod tytułem „Zagadnienia Większéj Brytanii.“

Osobiście, sir Karol ma prawo winszować sobie dokonanego przedsięwzięcia. Imię jego stanęło znowu przed publicznością jako dojrzałego, wytrawnego męża stanu, który, znając dokładnie najdrobniejsze, praktyczne szczegóły niezliczonych kwestyi ekonomicznych i politycznych, nie gubi się w nich, ale umié je uporządkować, we właściwém postawić je świetle, a jednocześnie nie tracić z oka całości, planu organizującego. Praca jego zdumiewa ogromem studyów, których wymagała i ważnością problematów, które na każdym kroku porusza. Oddają mu hołd bezwarunkowy krytycy nawet nieprzyjaznego obozu. Nie ma drugiego dzieła w całém piśmiennictwie angielskiém, któreby z obecném współzawodniczyć mogło, nie wyłączając nawet znakomitéj pracy J. Roberta Seeley, profesora uniwersytetu w Cambridge *Expansion of England*. Seeley rozumuje w abstrakcyjny sposób, Dilke opiéra się na niezbitym gruncie faktów, liczb, danych statystycznych i dlatego wnioski jego nabiérają znaczenia pierwszorzędnego. Nazwano świéżą jego pracę „Encyklopedyą polityczną imperyum brytańskiego,“ i taki jest istotnie jéj charakter. Nie masz wątpliwości, że ten szmer pochlebny, co się rozchodzi około *Problems of Greater Britain*, zagłuszy do reszty sykanie żmij, nieprzyjaciół politycznych autora, i że przy pierwszych powszechnych wyborach do parlamentu, sir Karol na nowo stanie na arenie politycznéj i że zatryumfuje. W razie powrotu do władzy whigów, który się coraz prawdopodobniejszym staje, ujrzymy go znowu jako członka rządu. Kładziemy nacisk na tę okoliczność, która, na pierwszy rzut oka, może się zdawać obcą wartości dzieła. Nie trudno zrozumiéć, że skoro wartość dodatnia takowego jest uznaną, doniosłość sformułowanego w niém programatu wzmaga się ze względu na stanowisko autora, który był niedawno i który prawdopodobnie będzie znowu ministrem kierującym sprawami Wielkiéj i Większéj Brytanii.

Czyta się poważne dzieło sir Karola z zajęciem, jakiego najświetniejsze utwory fantazyi wzbudziéby nie potrafiły. Potęga kolonialna Wielkiéj Brytanii, rozmaitość składających ją żywiołów, olbrzymia przyszłość ekonomiczna, jaka czeka te kraje zaledwie zaludniać się zaczynające i przechodzące od razu ze stanu dzieciństwa, albo nawet barbarzyństwa, do wyrafinowanéj cywilizacyi,—wszystko to składa się na obraz pełen barwy i życia. Przyczynia się jeszcze do wywołania tego wrażenia i metoda pisarska autora. Jest on daleki od suchéj systematyczności. Nie poprzestaje na rysach etnograficznych, na danych statystycznych, ale daje oprócz tego szkice wybitnych działaczy politycznych we wszystkich grupach kolonialnych, nie wyłącza anegdoty charakterystycznéj, żarciku nawet. Hojnie ofiaruje czytelnikowi wszystkie źródła informacyjne, aby ten mógł sobie zdać sprawę z dążności i głównych prądów istniejących w tych lub owych krajach kolonialnych. Żałować należy, że część statystyczna splata się tak szczelnie z polityczną, iż nie podobna będzie jednéj oddzielić od drugiéj. A przecież znaczenie jéj jest tylko względne, i jeszcze dzieło nie wyszło z pod prasy, a już w wielu punktach stało się ono niedokładném. Zestarzeje się wkrótce nietylko pod względem liczb, ale nawet niektóre z zagadnień, które znajdowały się jeszcze przed kilku miesiącami w chaotycznéj ewolucyi, już obecnie uczyniły ważne kroki naprzód ku organicznemu rozwiązaniu. Przedewszystkiém odnosi się to zastrzeżenie do prowincyi australskich, zawiązujących się w ustrój federacyjny, oraz do prowincyi południowo-afrykańskich, będących w przededniu nader ważnéj reorganizacyi. Ale nawet te zmiany nieuniknione powiększają właściwie tylko zaufanie do autora, gdyż odpowiadają całkowicie jego przewidywaniom i usprawiedliwiają jego sądy.

Gdy dodamy nadto do téj ogólnéj charakterystyki autora, że dzieło swe dedykował generałowi Roberts, najznakomitszemu z wojowników angielskich, co strzeże bezpieczeństwa Wielkiéj Brytanii na jéj kresach indyjskich, to wykażemy w tym jednym rysie patryotyczny nastrój jego. Wystarczy iść teraz w ślad za autorem przez kraje i grupy krajów znajdujących się pod berłem brytańskiém i stanąć razem z nim przed zagadnieniami, od których przyszłość ich zawisła, aby zrozumieć, że zdarza się nam tu pożądana a rzadka sposobność odsłonięcia zasłony, co kryje jednocześnie przyszłe losy ludzkości.

II.

Wszystkie monarchie wszechświatowe, które się ukazały na widowni dziejowéj, aby się rozpaść po krótkim przeciągu czasu na swe

składowe części, nie wytrzymują najmniejszego porównania z współczesném państwem brytańskiém. Najśmielsza wyobraźnia nie marzyła nigdy o podobnym aglomeracie ras i narodowości, o podobnym ogromie terytoryalnym. 9,000,000 mil kwadratowych czyli powierzchnia trzy razy większa od Europy, 400,000,000 ludzi zamieszkujących te ziemie, na których nigdy nie zachodzi słońce, dochody roczne wynoszące już obecnie 210,000,000 funtów szterlingów, połowa handlu morskiego całego świata zagarnięta przez jedno mocarstwo: oto kilka danych, których z oka nigdy spuszczać nie należy, gdy się mówi o Wielkiéj Brytanii naszéj, europejskiéj. Jest tam nietylko rozmaitość interesów i prądów, ale nawet ich jaskrawa sprzeczność czekająca wyrównania i pogodzenia. Rozmyślając nad trudnościami, jakie ten złożony organizm ma do zwalczenia każdodziennie, wypada chyba jednemu tylko się dziwić, iż się dotąd utrzymuje, że kolos ten nie runął i powiedziano ze słusznym sceptycyzmem, że najlepszym dowodem, iż nieprawdopodobne rzeczy się dzieją, jest właśnie owo istnienie Wielkiéj Brytanii.

Nietylko istnieje ona, ale wzrasta ciągle. Nienasycona w swéj zaborczéj i asymiliacyjnéj żądzy, Wielka Brytania stara się zagarnąć, przywłaszczyć sobie wszystko, co jest jeszcze rozporządzalnego na powierzchni ziemi. Nie ma skalistéj wysepki, rzuconéj samotnie wśród fal oceanów, nie ma pustyni afrykańskich, któreby uważała za niegodne zagarnięcia. W chwili obecnéj zdobycze te nie są jeszcze użyteczne, ale stanowią zasób dla przyszłości. Gdy ludzkości będzie już ciasno na ziemi, gdy wyzyskać przyjdzie każdą piędź gruntu i wszystkie spowite w jego łonie bogactwa, wtedy owa przezorność i skrzętność dzisiejszych pokoleń będzie należycie oceniona przez ich dalekich następców.

Rasa anglo-saksońska jest rasą przyszłości. Rodzajność jéj jest większa, aniżeli szczepu łacińskiego, germańskiego i słowiańskiego. Ma ona więcéj miejsca, więcéj przestrzeni przed sobą do życia społecznego. Przed stu laty na całéj kuli ziemskiéj mówiło językiem angielskim zaledwie 15,000,000. W ciągu stu lat ilość ta powiększyła się siedm razy i wynosi obecnie przeszło 105,000,000. Przy takim samym wzroście będzie ich w 1900 roku 120,000,000, a w sto lat poźniéj 800 milionów. Nie ma potrzeby brnąć daléj w tych obliczeniach. Już i te cyfry mogą o zawrót głowy przyprawić. Jakkolwiek-by się nam je zmniejszać podobało, niepodobna zaprzeczyć, że narodowość anglo-saksońska, pochłaniająca w siebie z nadzwyczajną łatwością wszystkie innoplemienne żywioły, jeżeli nie natychmiast, to w drugiém i trzeciém pokoleniu, stanie się dominującą na świecie. A nie trzeba zapominać, że toczy się ona dwoma prądami równoległemi, przez Wielką Brytanią i przez

Stany Zjednoczone Ameryki północnéj, które, wyzwolone już od stu lat, należą plemiennie do rasy anglo-saksońskiéj, kształtują się i wzorują na cywilizacyi brytańskiéj. Nie będzie bynajmniéj zuchwałym wniosek, że gdyby się nawet wielkie kolonie brytańskie, jak Dominium Kanady, albo Australia, wyzwoliły w przyszłości z zależności państwowéj od korony brytańskiéj i stały, tak jak zjednoczona Ameryka północna, państwami niezależnemi, to i one należéć będą szczepowo i cywilizacyjnie do anglo-saksońskiego typu i normy.

Przewaga ta, już dzisiaj widoczna i matematycznie zapewniona na przyszłość, jest węgielnym kamieniem polityki brytańskiéj. Sir Karol ani chwili czasu nie traci do udowodnienia takich pewników. Państwa, jak Niemcy, jak Francya, nie zaważą na szali ludzkości za kilka jakich stuleci i będą miały raczéj znaczenie gwiazd zgasłych w systemacie planetarnym. Obok Wielkiéj Brytanii i obok Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, tych dwóch przedstawicielek rasy mającéj taką wielką przyszłość, widzi on tylko jedno państwo uwzględnienia godne: Rosyę, przedstawicielkę szczepu słowiańskiego. Nietylko że jéj nie lekceważy, ale oddaje jéj hołd, jako jedynéj godnéj współzawodniczce rasy anglo-saksońskiéj. Będziemy mieli w następstwie sposobność, gdy przejdziemy do kolonii azyatyckich Wielkiéj Brytanii, tam, gdzie się z czasem zetrzéć może świat słowiański ze światem anglo-saksońskim, bliżéj scharakteryzować zapatrywania wielkiego publicysty angielskiego na Rosyą. Tu wystarczy, jako wskazówka, ów wiersz Słowackiego z Beniowskiego:

„....A tak się żegnają, nie wrogi,
Lecz na dwóch słońcach, dwa przeciwne bogi.“

Uważając rasę anglo-saksońską jako najdoskonaléj uzdolnioną do prowadzenia człowieczeństwa na coraz wyższe szczeble cywilizacyi, autor jest *ipso facto* gorącym zwolennikiem utrzymania obecnéj całości Wielkiéj i Większéj Brytanii w organicznym, państwowym związku, czyli, jak to w utartéj już obecnie terminologii mówią Anglicy, jest imperyalistą. Należy wyrzec się zupełnie owego błędnego mniemania, które żywią tu i owdzie cudzoziemcy, że tylko torysowie zachowawcy są imperyalistami, jako stojący na gruncie, który im wskazał ostatni z ich twórczych mężów stanu, lord Beaconsfield. Przeciwnie, nie ma żadnego whiga ani radykała, któryby nie hołdował téj saméj polityce. Lord Roseberry, minister spraw zagranicznych, w liberalnym gabinecie Gladstona jest prezesem ligi federacyjnéj, agitującéj za wzmocnieniem węzłów pomiędzy metropolią a wszech-koloniami, a radykalny sir Karol Dilke pod tym samym idzie sztandarem.

Zadzierzgnąć mocne węzły, uczynić kolonie solidarnemi z Wielką

Brytanią, ugrupować je jako dorosłe i dorastające córy około zawsze młodéj i krzepkiéj macierzy: oto ideał, który postawili sobie jasno wszyscy mężowie stanu angielscy i któremu, można być pewnym, pozostaną wiernemi aż do granic możliwości. Ale żaden z nich, a tém mniéj jeszcze taki światły, taki wszechstronnie wykształcony mąż stanu, jak sir Karol, znający świat kolonialny z osobistych, kilkakrotnie powtarzanych objazdów, nie tai przed sobą, że jest to zadanie nadzwyczaj skomplikowane i że należy stąpać naprzód z wielką ostrożnością. Federacya pomiędzy metropolią a koloniami, będąca na porządku dziennym od lat kilku, a szczególniéj od ostatniéj wystawy kolonialnéj w Londynie i od gorliwego poparcia, jakie jéj dał następca tronu, książę Walii, grozi tu i owdzie wywołaniem wprost przeciwnych manifestacyi. Nigdy np. w Australii nie ujawniały się tak otwarcie dążenia do całkowitéj niezależności, jak od chwili, gdy podano myśl składającym ją krajom do powiązania się naprzód z sobą węzłem federacyjnym, a potém z innemi grupami kolonialnemi, oraz z metropolią dla wspólnych środków obronnych w razie niebezpieczeństwa wojennego. Jest tyle różnic rasowych, religijnych, tyle odrębności politycznych, tyle interesów ekonomicznych, pokrzyżowanych pomiędzy rozmaitemi koloniami, że nie było dotąd można zarysować ogólnego planu, coby obejmował całość państwową.

Jeżeliśmy zrozumieli dobrze myśl autora „Zagadnień Większéj Brytanii“, to nie pragnie on przyspieszać akcyi w duchu federacyjnym żadnymi energiczniejszymi środkami, w obawie mogących nastąpić stąd wybuchów niezawisłości narodowéj, lecz zamierza iść powolnie drogą prawie biernéj, neutralnéj polityki, zabezpieczając to, co jest, zdobywając w promieniu okolnym, ile się to da uczynić bez utraty posiadanych krajów, rozciągając protektorat brytański i przekładając takowy nad bezpośrednią zawisłość w pierwszém stadyum rozwojowém. Wszędzie i na każdém miejscu autor zajmuje się brakiem wystarczających środków obronnych, złą organizacyą milicyi i armii kolonialnych, wszędzie doradza szybkie przeprowadzenie i dopełnienie instytucyi wojskowych. Z pomiędzy nie-wojskowych ludzi nie ma w Anglii ani jednego pisarza, którytby tak wytrwale i tak energicznie działał ku wzbudzeniu w pośród swych ziomków ducha wojennego. Kwestye wojskowe od lat kilku stały się jego specyalnością. Nie przestaje on dowodzić, że dla utrzymania swéj potęgi, Wielka Brytania powinna posiadać nietylko flotę, ale i armię lądową silną. Kolonie iść winny tą samą drogą, zmierzać do tego samego celu. Obecnie kolos brytański na glinianych spoczywa nogach i jest, jak otwarcie przyznaje, na łasce pierwszéj wielkiéj europejskiéj wojny, do któréj Wielka Bryta-

nia lekkomyślnie wplątaćby się dała. Nie ma wątpliwości, że straciłaby wtedy Kanadę któraby się przyłączyła do Stanów Zjednoczonych, straciłaby Australią, któraby się ogłosiła niezależném państwem. Zbytecznémby nawet było mówić o Indyach. Jedna wielka bitwa przegrana przez Anglików w początku kampanii, a klęska ta dałaby znak do ogólnego rokoszu.

W przewidywaniu takich katastrof, jakiemi mogłaby być brzemienna wielka wojna europejska, autor przedstawia ją jako największe niebezpieczeństwo, z którém rachować się powinna Wielka Brytania. Jeżeli inne mocarstwa unikają wojny i okazują wstręt ku niéj z powodów czysto humanitarnych, nie chcąc rozlewać krwi i tracić nagromadzonego zasobu ekonomicznego, to dla niéj przyczyny są daleko większéj wagi, gdyż idzie o uniknienie rozbioru państwa, o utrzymanie hegemonii rasowéj, o kwestyą bytu imperyum brytańskiego. Lat, dziesiątków lat rozwoju pokojowego potrzebuje ono, aby zapuścić korzenie, a jeżeli mu się uda przetrwać w ten sposób przez kilka pokoleń, to wtedy, ale wtedy dopiéro, będzie się miało prawo uważać gmach brytański jako stojący na niezachwianych podwalinach. Kluczem do polityki europejskiéj gabinetu londyńskiego jest i będzie zawsze interes kolonialny Wielkiéj Brytanii, a sąd ludzi, którzy tego czynnika należycie nie uwzględniają, jest z natury rzeczy fałszywy.

Autor dotyka tylko wszystkich tych kwestyi w przedmowie, powracając do nich w wielu miejscach samego dzieła. Dzieli się ono na ośm części. Trzy pierwsze traktują o usamowolnionych koloniach Ameryki północnéj, Australii i Afryki południowéj; czwarta o Indyach, piąta o koloniach należących bezpośrednio do Korony i przez nią administrowanych; szósta o zagadnieniach kolonialnych jak o kwestyi robotniczéj, o organizacyi socyalnéj, o oświacie publicznéj i t. d., siódma o przyszłych stosunkach pomiędzy metropolią a koloniami; ósma nakoniec o środkach obrony imperyum brytańskiego. Proste to wyliczenie wystarcza, aby pokazać, jaki wielki interes dla każdego wykształconego umysłu mieć muszą te zagadnienia. Możemy tylko z lekka o nie tutaj potrącić w ślad za autorem.

III.

Pielgrzymka jego rozpoczyna się od kolonii najbliżéj położonych od metropoli: od Nowéj Ziemi (*Newfoundland*) i Kanady. Pięciu dni statkiem parowym potrzeba do przewiezienia podróżnika z Anglii do Montrealu i uwzględniając tę krótkość czasu, trudno nawet pojęć, że kolonizacya Kanady nie idzie pośpieszniéj. Nowa Ziemia, jak wiadomo, chociaż przyczepiona nieledwie do stałego lądu kanadyjskiego, nie chciała do-

tąd wejść jako składowa część do Dominium i zachowuje swą całkowitą odrębność. Kraj ten mający wszystkie żywioły rozwoju ekonomicznego, a przedewszystkiem wielkiéj produkcyi zboża, zajmuje się dotąd prawie wyłącznie rybołówstwem. Spory dyplomatyczne z Francyą, która ma zabezpieczone sobie jeszcze przez traktat utrechcki przywiléj połowu na wybrzeżach Nowéj Ziemi, zwracają na nią od czasu do czasu uwagę świata. Sir Karol jest dotknięty tym przywilejem obcego państwa na terytoryum brytańskiém. Nie przywiązuje on jednak do całéj téj sprawy, drobnéj w gruncie rzeczy, większego znaczenia, niż się jéj należy. Nie ma, podług niego, innego wyjścia z ciągle powtarzającego się zatargu. Trzeba odkupić od Francyi owo prawo połowu.

Wstępując na grunt Kanady, staje od razu przed jedną z pereł korony brytańskiéj, przed jedną z najważniejszych części składowych imperyum i wszechstronny rozbiór, jakiemu autor jéj stan obecny i jéj przyszłość poddaje, świadczy, że całego jéj znaczenia jest dobrze świadomy. Rozległość Kanady równa się rozległości Stanów Zjednoczonych, równa się rozległości całéj Europy. I to jest ów kraj, który posiadali Francuzi, którzy zaczęli kolonizować świetnie i który stracili wskutek niedołęstwa Ludwika XV, lub raczéj wskutek nieznajomości geograficznéj ze względu na ów niedorzeczny koncept Voltaire'a, który drwił z Kanady, jako z k i l k u mórg ś n i e ż y s t y c h s t e p ó w! Taka lekkomyślność opłaca się utratą hegemonii wśród świata. W każdym razie, obecnie żadne odwoływanie się do solidarności narodowéj na nic się już nie zda: sprawa rozsądzona jest w ostatniéj instancyi. Rasa francuska, która się u siebie, przez zbyteczne zamiłowanie dobrobytu i przez niemoralność, dobrowolnie skazuje na rozrost mniejszy stosunkowo, aniżeli innych szczepów, okazuje się natomiast bardzo płodną w Kanadzie. Z owych 60,000 Francuzów, którzy w 1763 zostali zaprzedani Wielkiéj Brytanii, zrodziło się już obecnie 1,400,000 kanadyjczyków francuskich, trzymających się ciągle i stale religii rodzinnéj, mowy i obyczajów. Ale obok nich jest już obecnie 1,800,000 Irlandczyków, 900,000 Anglików i 700,000 Szkotów, a Niemców, Skandynawów i Amerykanów liczą na sto tysięcy, i w przyszłości dalekiéj, ale niemniéj przeto nieuniknionéj, nastąpi na gruncie kanadyjskim zlanie się wszystkich składowych żywiołów w jeden amalgamat anglo-saksoński: żywioł francuski postrada swą odrębność.

Dotąd emigracya z Wielkiéj Brytanii płynęła głównie do Stanów Zjednoczonych, gdyż dawała 70%. Drugie miejsce zajmowała Australia, 20%, a dopiéro reszta, 10%, osiedlała się w innych krajach, a pomiędzy nimi, i w Kanadzie. Obecnie ruch emigracyjny ku

téj ostatniéj jest corok widoczniejszy, a przyczynia się do tego z jednéj strony szybka budowa dróg żelaznych, która całkiem niedostępne przedtém przestrzenie otwiéra odrazu i dla rolników, z drugiéj — bajeczna urodzajność niektórych, nowo pod uprawę rolną wchodzących stanów, jak Manitoby; a nakoniec szczodrobliwość rządu, który każdemu osadnikowi udziela bezpłatnie 160 akrów gruntu ornego. Wątpić nie można o ogromnéj przyszłości ekonomicznéj kraju, który posiada największe rzeki i jeziora, najlepsze przystanie morskie, najurodzajniejszą glebę, lasy nieprzejrzane, kopalnie dotąd prawie nietknięte i któremu brakuje jedynie rąk do wyzyskiwania tych skarbów nieprzebranych. Przypuszczając nawet, że najbardziéj ku północy posunięte części Kanady nie będą nigdy gęsto zaludnione, jest w niéj jeszcze miejsca dość dla 200 milionów mieszkańców. Obecnie jest ich pięć. Nie trudno zrozumiéć, że wraz ze zgęszczeniem ludności, iść będzie jéj wzrost ekonomiczny. Niczego nie zaniedbują rządy miejscowe, aby ułatwić komunikacye. W ciągu sześciu lat, 1880—86, wybudowano między innemi drogę żelazną, idącą na przestrzał całego kontynentu amerykańskiego od Montrealu do Vancoveru i współzawodniczy ona z dwiema drogami żelaznemi Stanów Zjednoczonych, które idą także od Oceanu Atlantyckiego do Wielkiego. Obecnie jest już w Kanadzie 12,000 mil dróg żelaznych i dług państwa urosł wyłącznie z powodu wykonania tych robót, wysoce produkcyjnych w przyszłości. Przeciwieństwo z państwami europejskiemi, zadłużającemi się dla zaspokojenia wydatków wojskowych, jest jaskrawe, a korzyści takiéj operacyi finansowéj łatwo zrozumiéć, gdy się weźmie na uwagę, że cały zachód Kanady budzi się dopiéro do życia wytwórczego.

Kanada ma tedy, bez najmniejszego wątpienia, olbrzymią przyszłość ekonomiczną przed sobą, naprzód jako spichlerz świata, już obecnie rywalizujący ze Stanami Zjednoczonymi co do wywozu zboża, jako dostawca surowców i materyałów potrzebnych dla twórczości rękodzielnéj, a w następnéj fazie swego gospodarstwa narodowego, jako będąca w stanie zaspokoić wszelkie potrzeby przemysłowe swoich mieszkańców. Tak hojnie uposażona od natury, wyrobiła téż już w sobie poczucie swéj samodzielności narodowéj i uważa się za równą największym potęgom świata. Całe terytorya takich krajów, jak Niemcy lub Francya, dałyby się zatopić w jednéj odnodze Hudsońskiéj, co w część ich lądu wchodzi, jak sobie to Kanadyjczycy w rodzaju przechwałki przypominać lubią. Rząd brytański nietylko tego poczucia narodowego nie tłumi, ale przeciwnie, uważa je jako normalne i uwzględnia je na każdym kroku. Dość będzie przypomniéć, że wiele towarów angielskich płaci cła wchodowe na komorach kanadyjskich.

Hołdując u siebie polityce wolno handlowéj, rząd metropolii nie myśli nigdy narzucać jéj koloniom, godzi się na ich teorye protekcyjne i ufa, że z czasem zmniejszą się, a nakoniec znikną zupełnie te sztucznie wzniesione granice. Nauka emancypacyi Stanów Zjednoczonych w las nie poszła!

Ale nietylko w kwestyi handlowéj ujawniła się zdrowa polityka rządu brytańskiego. Dwa inne pierwszéj wagi zagadnienia, narodowościowe i polityczne, rozwiązano w Kanadzie rozumnie, postępowo i żniwo z téj siejby nie kazało długo na siebie czekać.

W kwestyi narodowości rząd brytański stanął na gruncie najszerszego, najliberalniejszego równouprawnienia. Nietylko, że nie ma mowy o uciemiężaniu katolicyzmu wyznawanego z wielkim ferworem przez kanadyjczyków francuskich, gdyż przeciwnie, używa on tam uprzywilejowanego stanowiska, ale wiele starodawnych obyczajów francuskich, obrzędów i form administracyjnych zostało uszanowanych przez rząd. Co się tyczé języka, to posiada on najzupełniejszą swobodę w prasie, w szkole, w sądzie i w parlamencie zarówno pojedyńczych prowincyi jak i całéj federacyi dominialnéj. Pod tym względem szeroka, nieograniczona swoboda nietylko nie wywołuje antagonizmu narodowego pomiędzy rasą francuską a anglo-saksońską, ale odejmując wszelki zaród jątrzący, doprowadzi sama przez się, w ciągu kilku pokoleń do nadania przewagi liczbie, to jest anglo-saksońskiemu żywiołowi. Awanturniczy umysł pisarza takiego, jak słynny Goldwin Smith, podobać sobie mógł w uciskaniu narodowości francuskiéj, co się w jego teoryach zgadzało zresztą z wyrzeczeniem się kolonii; poważni pisarze-myśliciele, jak historyk J. R. Seeley, widzą w ufundowaniu kolonii nietylko tryumf idei wielko-brytańskiego imperyum, ale i tryumf rasy anglo-saksońskiéj i z pewną niecierpliwością, oczekują abdykacyi narodowości francuskiéj na rzecz jéj współzawodniczki uprzywilejowanéj; ale sir Karol nie dzieli tych zapatrywań. Pozwala on ochotnie na to, aby żywioły narodowe francuskie się rozwinęły i nie widzi w nich niebezpieczeństwa. Przeciwnie, zadowolenie obywateli szczepu francuskiego jest rękojmią pokoju wewnętrznego, a lojalizm względem korony nie ulega żadnéj wątpliwości. Bystry umysł męża stanu zrozumiał, że właśnie te wyłączności, te odrębności narodowe Kanadyjczyków francuskich, są dla całości imperyum rodzajem tarczy zabezpieczającéj przeciwko zlaniu się Kanady ze swym potężnym sąsiadem, Stanami Zjednoczonymi. Ponieważ Francuzi, osiedli w prowincyi Quebec, czują się zupełnie u siebie i są o przyszłość swéj narodowości spokojni, zatém nie mogą ciążyć do zlania się z 60-cio milionową rzecząpospolitą amerykańską, która nie miałaby żadnéj potrzeby téj

wyłączności sprzyjać, uszanować i która przeciwnie wprowadziłaby ją pod nóż autokracyi republikańskiéj, nie tolerującéj przywilejów historycznych, narodów znajdujących się w mniejszości. Pod wpływem téj polityki szerokiego uwzględniania narodowości francuskiéj, Kanadyjczycy tego szczepu stali się najbardziéj zachowawczą częścią ludności miejscowéj. Sir Karol, tak jak wszyscy podróżnicy i pisarze, zachwycony jest malowniczą staroświeczczyzną nietylko miasta Quebecu, ale i obyczajami jego mieszkańców. Nie ma rasy pobożniejszéj, uczciwszéj, poważniejszéj, moralniejszéj. Pomiędzy nimi a ich zaoceańskimi współbraćmi po krwi jest istotna przepaść obecnie.

W kwestyi politycznéj taktyka rządu brytańskiego była oddawna wytknięta po szlakach szerokiego samorządu liberalnego. Każda z ośmiu prowincyi składających dominium Kanady, posiada swoją oddzielną ustawę konstytucyjną, którą może zmieniać i przekształcać stosownie dowoli i interesów swych obywateli. Po większéj części ustawy te wzorują się na konstytucyi angielskiéj; władza wykonawcza spoczywa w ręku gubernatora działającego przy poparciu rady wykonawczéj, w pośród któréj wybierani są ministrowie, władza prawodawcza — w ręku dwóch izb wyższéj i niższéj, obu pochodzących z wyborów. Po nad temi rządami prowincyonalnymi istnieje od lat dwudziestu dwóch rząd całościowy, konfederacyjny, wspólny dla wszystkich ośmiu prowincyi. Ustanowiony za ministeryum lorda Derby w 1867/8 roku, mający swą stolicę w Ottawie, rząd federacyjny oddał już Kanadzie i całemu imperyum nieocenione przysługi. Rząd brytański mianuje wice-króla pomiędzy pierwszemi osobistościami urzędowego i arystokratycznego świata. Dość będzie przypomnieć, że królowa posłała tam była swego własnego zięcia, margrabiego Lorne, i że najgenialniejszy z dyplomatów angielskich, margrabia Dufferin i Awa, także godność tę piastował nim go na trudniejsze, indyjskie powołano wicekrólestwo. Korona ma prawo *veto*, ale nie spieszy się z niego korzystać, i jéj zatargi z parlamentem federalnym, składającym się z senatu i ze zgromadzenia prawodawczego, są zawsze do załagodzenia łatwe. Atrybucye tego parlamentu w kwestyach sądownictwa, podatków, ceł i środków obronnych są nieograniczone; ministrowie, mianowani przez wice-króla, są odpowiedzialni przed parlamentem.

Załatwiwszy w sposób odpowiedni życzeniom Kanadyjczyków zarówno kwestyę stosunków jednéj narodowości do drugiéj, jak kwestyę ustaw politycznych dla pojedyńczych prowincyi i dla całéj konfederacyi, metropolia nie ma powodu, jakby się zdawać mogło, obawiać się o przyszłość. Nic jednak nie uprawnia ją do takiego kwietyzmu i autor nasz zajmuje się gruntownie sprawą utrwalenia stosunków po-

między Wielką Brytanią a kolonią, dziś już silną i mogącą liczyć na coraz świetniejszy sił swoich rozwój. Czy istnieją aspiracye do zerwania węzła państwowego, czy istnieją w kierunku związku ze Stanami Zjednoczonymi, czy są i jakie sposoby utrzymania niepodzielności państwowéj? oto zagadnienia, które z kolei roztrząsać mu przychodzi.

Nie można powiedzieć, ażeby istniało w Kanadzie stronnictwo o sformułowanym programie nieograniczonéj samodzielności narodowéj. Związek z Wielką Brytanią nie jest uciążliwy i nie ma téż śladów żadnéj niechęci. Jeżeli są jakie miejscowe zatargi, jeżeli się np. Kanadyjczycy skarżą, że ich rząd brytański nie proteguje dostatecznie przeciwko wszechpotężnym sąsiadom, Stanom Zjednoczonym, to opozycya nie przybrała nigdy charakteru ostrego i nie było do tego powodu. Kanada czuje się częścią Wielkiéj Brytanii, jest dumna z jéj potęgi i cywilizacyi. Pomiędzy nimi a Anglikami jest daleko więcéj wspólności co do obyczajów, zwyczajów, mowy i t. d. aniżeli pomiędzy nimi a Amerykanami. Trzebaby tedy gwałtownéj, nieprzewidzianéj jakiéj okoliczności, aby zmienić ten nastrój i to usposobienie narodowe w Kanadzie.

Jeżeli jednak nie mają powodu dążyć do uformowania się jako samodzielne mocarstwo, to mogą w pewnych wypadkach brać na uwagę korzyści, jakieby im przyniosło połączenie się z wielką federacyą północnéj Ameryki. Połączenie to, jak słusznie wyłuszcza sir Karol, musiałoby przyjąć nieodzownie jedną z trzech form: nieograniczonéj wzajemności, unii handlowéj i unii politycznéj. Unia polityczna nie uśmiecha się Kanadyjczykom; uważają się jako swobodniejsi pod tarczą swoich instytucyi, aniżeli pod instytucyami Stanów Zjednoczonych, i zdają sobie sprawę z tego, że ich wyłączności narodowe, jak się to już wyrzéj rzekło, byłyby narażone na nieochybną zagładę. Ale inaczéj rzeczy się mają co do unii handlowéj, albo co do odporno-zaczepnego sojuszu pomiędzy obu konfederacyami amerykańskiemi. Gdyby nastąpiło pomiędzy nimi zniesienie granicy celnéj i swobodna wymiana, a gdyby obie opancerzyły się wspólnie przeciwko przywozowi towarów europejskich, to Kanada mogłaby odnieść wielkie stąd korzyści materyalne. Podczas gdy Kanada w ciągu dwudziestu lat potroiła swój dług państwowy, potroiła podatki a dodała tylko 30% do swéj ludności, to Stany Zjednoczone w tym samym przeciągu czasu doszły do bajecznegoześrodkowania bogactw. O wiele uboższa Kanada mogłaby tedy korzystać z zasobów swojéj siostrzycy. Ale są i strony ciemne w téj unii. Naprzód nie chcą jéj Amerykanie dla protekcyjnych swych namiętności, chwilowo dostrojonych do patryotyzmu szaleństwa; potém Kanada pozostanie jeszcze przez całe dziesiątki lat przedewszystkiém krajem

produkcyi rolniczéj; nie ma więc powodu wiązać sobie swobody działania przez ustępstwa dla wytwórczości rękodzielniczéj Stanów Zjednoczonych. Nakoniec, jako ostatni ale kapitalny argument wymienić należy ten, że unia handlowa i sojusz między obu konfederacyami byłby tylko początkiem pochłonięcia Kanady przez potężnego jéj sąsiada.

Nie należy tedy tracić téj kwestyi handlowéj z oka, utrzymuje sir Karol, ale nie ma téż powodu mniemać, iżby bezpośrednie niebezpieczeństwo groziło stąd dla Większéj Brytanii.

Ostatniem zagadnieniem, tyczącém się Kanady, jest wypadek wojny zaborczéj Stanów Zjednoczonych. Tutaj niebezpieczeństwo jest niezaprzeczone. Granica, dzieląca obie konfederacye, często matematycznie nieujęta, teoretyczna tylko, a ciągnąca się na linii 4,000 mil, pozwoliłaby im zalać terytoryum Kanady bez żadnego możliwego ze strony jéj oporu. Milicya 37,000 żołnierza wynosząca i rezerwa wprawdzie 650,000 na papierze licząca, ale w istocie znacznie mniéj silna, pokazałaby się bezsilną, gdyby Wielka Brytania, sama w jaką wielką wojnę wplątana, nie mogła pospieszyć na pomoc Kanadzie.

Jedyny ratunek dla Kanady tak samo, jak dla wszystkich innych kolonii i grup kolonialnych, widzi sir Karol w uformowaniu bezzwłocznem armii i floty federacyjnéj. Ale ani ta siła wojskowa federacyjna, ani inne instytucye, wspólne całemu imperyum, nie mają dotąd wśród obywateli Kanady gorących popleczników. Ukołysani do snu w przyjemnym spokoju, nie starają się o wczesne przygotowanie środków mogących zażegnać burze w przyszłości. Autor usiłuje wlać w nich swój ogień patryotyczny, lubo przyznaje otwarcie, że sprawa nie pójdzie łatwo.

IV.

Nie ma bardziéj interesującego rozdziału streszczanego przez nas dzieła, jak ten, który traktuje o Australazyi. Niechaj czytelnik odrazu spostrzeże różnicę: nie jest to już Australia, wielki ale źle zaludniony kontynent, miejsce wysyłania galerników, ale Australazya, kraj olbrzymi, przepełniony bogactwami, czujący swą przyszłość, niezależny, dumny, ambitny, płynący pełnym żaglem ku świetnéj przyszłości. Jest tu tyle żywiołów młodych, po raz pierwszy znajdujących przestronne pole do zamanifestowania swéj żywotności, taka rozmaitość tradycyi, aspiracyi, prawodawstw, systematów rządowych i gospodarczych, taki chaotyczny jeszcze stan przygotowawczy, że się jest wciągnięty, porwany w zaczarowane to koło, że się nadstawia ciekawie ucha i słucha jak wymysłów fantazyjnych rzeczywistéj historyi dnia one-

gdajszego i wczorajszego, że oczekuje od bystrego przewodnika, co tam prowadzi, wskazówek co do sposobu, w jaki rozwiązane zostaną piętrzące się zagadnienia. Czuje się instynktowo, że świat australazyjski gotuje nam niespodzianki. Sir Karol nas uwiadomia, jak się na owe ewolucye inno-biegunowo zapatrują brytańscy statyści.

Stały ląd Australii, bez Nowéj Zelandyi położonéj w znacznéj odległości i która jedynie z braku lepszéj klasyfikacyi do australazyjskiego świata zaliczana bywa, jest tak wielki jak Kanada, albo jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnéj, albo jak cała nasza Europa. Na téj niezmiernéj przestrzeni, co się przez naturę upośledzoną być zdawała, gdzie przed stu laty jeszcze nie było osadników europejskich, żyje już obecnie cztery miliony ruchliwéj, przedsiębiorczéj i pracowitéj ludności szczepu anglo-saksońskiego. Cyfra ta jest godna zastanowienia jedynie ze względu na porównanie jéj z przeszłością. Nie ma wątpliwości, że z czasem miejsca tu będzie dla kilkuset milionów Anglo-saksonów. Dotąd z 600,000,000 akrów gruntu zostało sprzedanych zaledwie 11,000,000, a znajduje się pod uprawą wszystkiego 5,000,000. W kraju nie posiadającym autochtonów, gdyż kilka tysięcy dzikich myśliwców, znalezionych na południowych wybrzeżach, należy już całkiem do świata legendarnego, kwestya agrarna nie przedstawia żadnych trudności i czy Australia będzie się trzymać nadal systemu kolonizacyi systematycznéj Wakefielda i uruchomiania tytułów własności gruntowéj podług aktu Torrensa, czy téż rzuci się, jak się to w niektórych jéj krajach bardzo prawdopodobném być się zdawało, do urzeczywistnienia socyalistycznego planu Henryka George i upaństwowienie ziemi zastąpi tam własność prywatną, zawsze będzie w Australazyi swobodna, niewzruszona podstawa do rozwoju ekonomicznego. Rządy miejscowe z energią i z zuchwałością, o jakiéj my wyobrażenia nie mamy, biorą się do robót publicznych. W Wiktoryi zadekretowano np. zawodnienie kraju cierpiącego na suszę organiczną, i poświęcono jednorazowo 4,000,000 funtów szterl. na to przedsięwzięcie. Rozpoczęte w 1887 roku prace potrwają jeszcze lat dwa, ale po ich ukończeniu urodzajność tego kraju przeniesie najśmielsze oczekiwania. Nie ma kraju, gdzieby budowa dróg żelaznych szła pospieszniéj. A wszystkie należą do państwa, tak samo jak tramwaje, drogi, mosty, telegrafy, porty etc. Australazya jest *par excellence* ziemią koncentracyi państwowéj i socyalizmu państwowego. Rządy nie wahają się zaciągać olbrzymich pożyczek na wszystkie te prace, o których wydatności najmniejszego wątpienia mieć nie można. Porównywając tę drobną ilość mieszkańców z tymi miliardami długu publicznego, zdumieniu oprzéć się nie można, ale nie trzeba zapominać, że się ma tu do czynienia

z krajem w całkiem odmiennych znajdującym się stosunkach. Angielscy finansiści, których nikt zapewne o naiwność nie posądzi, okazują zupełne zaufanie do pożyczek australskich. Nie spieszą się oni ofiarować kapitałów brytańskich narodom europejskim, jak to ongi bywało, są pełni ostrożności nawet, gdy idzie o wewnętrzne brytańskie przedsięwzięcia; ale niechaj tylko który z rządów australskich zażąda setek milionów, to mu ich rynek pieniężny londyński dostarczy ochotnie. Jeżeliby przy przeprowadzeniu federacyi australskiéj długi państwowe zunifikowane zostały, to nie ma wątpienia, że kredyt publiczny na nowych i silniejszych jeszcze wzniósłby się podstawach.

Rozwój ekonomiczny Australii jest wszestronny i bajecznie wielki. Rozmiary jego byłyby jednak daleko większe, gdyby posiadał ręce do pracy: brak robotnika jest szkopułem, o który się dotychczas ten pochód tryumfalny postępu rozbija. Australczycy przecież tak są już pewni swéj przyszłości i tak dbają o czystość swego plemienia pod względem moralności i pod względem rasy, że wolą iść powolniéj, a czystości téj na szwank nie wystawić. Otrzymali oni naprzód od rządu brytańskiego jedno wielkie ustępstwo: już galerników nie przysyłają na osiedlenie tutaj. Kłóje ich nawet w oczy, że Francya wysyła swoich przestępców niepoprawnych do sąsiadującéj z Australią Nowéj Kaledonii i protestują przeciw temu coraz energiczniéj, nie troszcząc się bynajmniéj o międzynarodowe trudności, na jakie narazić mogą Wielką Brytanię przez starcie się z Francyą, która posiada bezwzględne prawo swojéj wewnętrznéj polityki. Sir Karol nie zamyka oczu na to niebezpieczeństwo i wié dobrze, że nie byłoby większego powodu do odstrychnięcia się Australii od Wielkiéj Brytanii, jak wtedy, gdyby ona stanęła po stronie Francyi przeciwko swéj kolonii. Ale łatwiéj było załatwić sprawę Nowych Hebryd, albo znaleźć *modus vivendi* co do połowu na wybrzeżach Nowéj Ziemi, aniżeli narzucić Francyi zmianę polityki swéj co do Nowéj Kaledonii. Jest to czarny punkt na horyzoncie przyszłości.

Czystość rasy zagrożona była przez napływ Chińczyków. Australczycy sprzeciwili się energicznie powiększeniu emigracyi żółtoskóréj i kosookiéj. Prawdopodobnie czytelnicy przypominają sobie wrzawę, jaką niedawno sprawa ta zrobiła i w jak trudném położeniu postawiła rząd brytański. Nie mamy miejsca rozwodzić się tutaj ubocznie nad kwestyą tak wielkiéj doniosłości, ale i tutaj tę samą uwagę powtórzyć można co wyżéj: związek Australii z Wielką Brytanią powinien, podług przekonań Australczyków, zapewnić im przynajmniéj międzynarodową opiekę i interwencyą skuteczną. W braku jéj, idee odrębnego bytu państwowego otrzymają nowego bodźca.

A idee oderwania się, wyzwolenia, utworzenia całkiem niezależnego mocarstwa istnieją już w społeczeństwie australskiém. Nie są one dotąd ani jednakowo sformułowane w różnych krajach, ani też prądy te nie są wszędzie jednakowo silne: lecz samo ich ujawnienie daje do myślenia. W Queensland'zie tendencye do emancypacyi zupełnéj są najbardziéj energiczne, ale mało im ustępuje New-South-Wales; Wiktorya za to mocno obstaje za dotychczasowém utrzymaniem stosunków. Ale Wiktorya właśnie, jako obejmująca w sobie kwiat inteligencyi australskiéj, jako zdążająca do hegemonii w pośród sąsiednich rzeczypospolitych australskich, wywołała przeciwko sobie manifestacye nieprzyjazne i wystarczają już jéj tendencye brytańskie, ażeby wywołać wręcz przeciwne u innych. W miarę, jak stare pokolenia, co przybyły z Wielkiéj Brytanii, wymierają, a ich miejsce zajmują nowe, zrodzone i rozrosłe na ziemi australskiéj, zmienia się dyapazon uczuć, słabną węzły ze swą metropolią, która im się wydaje pigmejem, a któréj wielkości cywilizacyjnéj w swym zapale parafialnym i wyłączności nie pojmują.

Ażeby téj walce jednych rzeczypospolitych australskich z drugiemi zapobiedz i zarazem zniweczyć w zarodzie prąd do wystąpienia z zależności kolonialnéj od metropolii, rząd brytański pragnąłby połączenia ich w jednę federacyą na wzór téj, jaka tak pomyślne rezultaty daje w Kanadzie. Niektóre z krajów australskich są tak wielkie, że wypadałoby je wprzódy podzielić na kilka samodzielnych państw. Z zachodniéj Australii wykroiłoby się ze cztery podług europejskiéj miary. Zanim węzeł federacyjny mógłby spoić te rzeczypospolite, potrzebaby tedy wprzódy przeprowadzić te emancypacye częściowe, ale z drugiéj strony jest nawet dla nich jeszcze w niektórych częściach za wcześnie. Kwestya czy Nowa Zelandya wejdzie do téj Unii także nie jest rozwiązana i żywo zaprząta umysły miejscowe. W każdym razie, rząd brytański sprzyja zawiązaniu się federacyi australskiéj. Już po wyjściu dzieła sir Karola zebrała się w Melbourne konferencya, przygotowująca tę organizacyą wspólną. Duszą tego wiecu jest sir Henryk Parker, najzdolniejszy z mężów stanu tamtejszych. Nie będzie prawdopodobnie natychmiastowego rezultatu, ale po zbliżeniu przedstawicieli wszech rządów australskich przekonano się, że unia nie jest niemożliwa. Jest to już przewidziane przez naszego autora, który dosłownie tak się w téj kwestyi wyraża: „Podług mnie, ścisły związek pomiędzy koloniami australskiemi, chociaż trudny, jest jednak możliwy; związek luźny pomiędzy Australią a Nową Zelandyą jest równie możliwy, ale nie wierzę w możliwość ścisłego związku pomiędzy niemi.“

Ażeby zrozumieć te trudności, jakie wspólna organizacya napo-

tyka, trzeba sobie uzmysłowić, że są to kraje wielkie, jedne jak razem Niemcy, Włochy i Francya, drugie jak razem Niemcy, Francya i Austrya, że najmniejszy ma objętość Wielkiej Brytanii, największy rozmiary Rosyi europejskiéj. A oprócz tych warunków geograficznych, są inne, handlowe i polityczne. Kraje te, niejednakowo zagospodarowane, niejednakowe posiadają taryfy celne i od wolnego przywozu aż do systemu prohibicyjnego stosowane tam są wszystkie metody oclenia towarów. Idee protekcyjne tém naturalniéj przemagają w rzeczachpospolitych australskich, ile że są one politycznie najbardziéj naprzód posuniętemi demokracyami, a jak uczy doświadczenie historyczne, demokracye dążą do ubezpieczenia pracy wewnętrznéj we wszystkich jéj formach. Nie ma wątpienia, że gdy przyjdzie do Unii Stanów Zjednoczonych Australskich, płody rękodzielnicze metropolii będą wysoko oclone. Zgodzi się ona na to chętnie, jeżeli tą ofiarą materyalną okupi jedność państwową. Łatwo pojąć, że przy takim nastroju opinii, kwestya federacyi imperyalnéj, wszech-brytańskiéj, nie znajduje dla swego rozwoju pomyślnych warunków. Myśl, że trzebaby utworzyć armią i marynarkę dla obrony całości państwa, tu i owdzie zagrożonéj, wydaje się awanturniczą dla umysłów australczyków, którzy zgoła pogrążeni w bliskich siebie, miejscowych zagadnieniach, nie mogą nawet wznieść się teoretycznie do tego syntetycznego pojęcia.

(D. c. n.) *Dr. M. E. Trepka.*

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCYA SOCYALNA
W BERLINIE.

„Ogólne stosunki z potęgą sił przyrodzonych pchają do socyalnych przemian i zmian, jakkolwiek niedorzecznością być mogą socyalistowskie mrzonki, że dzisiejszy porządek społeczny jest dziełem ludzkiéj samowoli, że potrzeba tylko „opartéj na niebieskiém powietrzu dźwigni energii woli“ by ten na przyrodzonym rozwoju spoczywający porządek „wysadzić z podstaw i zamienić go w dowolnie wymyślony nowy system“. Kwestya jednak leży w tém, czy dzieło winno i czy może być przeprowadzone przez tłumy zdziczałe, tylko ku ziemi i jéj korzyściom zwrócone, wszelkiéj podstawy religijnéj, narodowéj i moralnéj pozbawione, przez ambitnych przewodników i niejasne głowy owładnięte, czy też przez wszechwładną potęgę monarchii? Nazwijmy tę rzecz jak chcemy, prawem do pracy, praktyczném chrześciaństwem, socyalizmem państwowym albo jak bądź inaczéj, przeprowadzanie tego dzieła dla ludu jest dobrodziejstwem, dla władzców z rodu Hohenzollernów, którzy dziś, jak dawniéj, miecza używać chcą tylko dla czci i obrony całego ludu, przeprowadzanie go jest koniecznością“.

(Otto Hammann Dr. jur w broszurze „*Was nun?*“, w 1889 r.)

„Jakkolwiek konferencya (berlińska) nie osiągnęła żadnego bezpośrednio rezultatu praktycznego, jednak bezużyteczną nie pozostanie. Znasz moje przekonanie o sprawach, jakie tam rozbierano. Na świecie nie ma spraw nad nie ważniejszych. Nie chodzi tu jedynie o pomyślność narodu; życie ludów, przyszłość ras całych zależą od losu, jaki prawa nasze zapewnią robotnikowi i dziecku. Wiem, że ze stanowiska czysto ekonomicznego, to porządkowanie stosunków pociąga za sobą koniecznie ofiary; ale to właśnie objaśnia potrzebę zgody międzynarodowéj co do niektórych punktów. Przypuszczając, że konferencya berlińska osiągnie tylko ten skutek, iż zwróci pilną uwagę Europy ku badaniu tych przedmiotów i zagadnień, że wykaże, iż nie ma nad nie naglejszych, wyższych; sądzę, że filozofowie powinni

być już zadowoleni. Z tego to powodu, w mojém przekonaniu, bez względu, na to, co o niéj myślą sceptycy, Kongres ten jest wielką datą..."

(Juliusz Simon w rozmowie z dziennikarzem 1 kwietnia 1890).

W powyższych cytatach zawiéra się i punkt wyjścia i ocenienie następstw tych konferencyi. Pierwsza objaśnia, dla czego cesarz niemiecki wystąpił ze zwołaniem téj międzynarodowéj narady, druga tłómaczy dla czego „bezpośredni“ wynik tych konferencyi był żaden, pomimo szlachetności ich celów a powagi rządowéj i międzynarodowéj obradujących. Wprawdzie pomysł tych narad nie był oryginalnym. Przed rokiem już rząd rzeczypospolitéj szwajcarskiéj wystąpił do mocarstw z zaproszeniem na narady podobne, które się miały odbyć w maju r. b. Kto wié, czy te narady, w Bernie lub Bazylei odbyte, nie byłyby korzystniejsze, będąc swobodniejszemi i głębszemi. Ale z drugiéj strony J. Simon może miéć słuszność, że te konferencye, odbyte w Berlinie, stanowią wielką datę dla tego właśnie, że się w Berlinie odbyły, że je otoczył blask wielkiéj potęgi najlepiéj zorganizowanego mocarstwa wojskowego. Wojsko zwykle uchodziło za najskuteczniejszego stróża porządku i stanu rzeczy istniejącego. Jeżeli więc monarcha, rozporządzający milionami bagnetów, z których dwa miliony może stanąć każdéj chwili pod bronią, uważa, że to nie dość wobec wielkości i ważności tych społecznych kwestyi, że stal i ołów nie jest żadném lekarstwem na choroby i cierpienia społeczeństw, potężniéj to wstrząśnie umysły, oddziała na nie, każe im pracować i przekona dobitniéj, aniżeli wszelkie argumenta uczonych i filantropów, że świat nasz nie jest wcale najlepszym ze światów, że wiele, i to najważniejszych, rzeczy trzeba naprawić albo nawet nowemi zastąpić. Sama już jaskrawość sprzeczności, zachodzącéj między doprowadzonym do ostatnich granic militaryzmem Niemiec, a owemi konferencyami przez myśl humanitarną czy chrześciańską, co na jedno wychodzi, nasuniętemi, już wielce powiększała efektowność tych narad, chociażby ich wyniki były jak najskromniejsze. *La mise en scene*, jak się Francuzi wyrażają, była doskonale urządzona, a z upokorzeniem wyznać przychodzi, że owe *mise en scenes* są jeszcze bardzo dla naszego świata europejskiego potrzebne.

Ciekawszą wszakże i więcéj znaczącą jest może *mise en scene*, jaką zbieg wypadków historycznych téj konferencyi dostarczył.

Przed laty stu w 1789 wyszła w Paryżu mała broszura pod tytułem *Qu'est ce que le tiers état? Il n'est rien. Qu'est ce qu' il doit être? Tout!* (Czém jest stan trzeci? Niczém! Czém powinien być?

Wszystkiém!). Wiadomo, jakie następstwa wywołała ta broszura Sieyes'a, wydana przy zwołaniu stanów generalnych.

Przed piętnastu laty (w maju 1875) więc w pięć lat po utworzeniu nowego cesarstwa niemieckiego socyaliści niemieccy w pierwszym paragrafie swego programu (gotajskiego) składają takie wyznanie: „Praca jest źródłem wszelkiego bogactwa i wszelkiéj cywilizacyi (*Kultur*), ponieważ zaś praca przynosząca korzyść, możebną jest tylko przez społeczeństwo, zatém cały i całkowity owoc pracy należy się społeczeństwu, to jest wszystkim jego członkom, przy powszechnym obowiązku pracy, wedle równego prawa, każdemu wedle jego zgodnych z rozumem potrzeb. W dzisiejszym ustroju społeczeństwa środki pracy są monopolem klasy kapitalistów; wynikająca stąd zależność klasy robotników jest przyczyną nędzy i niewoli (*Knechtschaft*) we wszelkich formach. Wyzwolenie pracy wymaga uczynienia środków pracy własnością społeczną, oraz zawodowego uregulowania powszechnéj pracy, wraz z użyciem na pożytek powszechny i wraz z sprawiedliwym rozdziałem korzyści z pracy. Wyzwolenie pracy musi być dziełem klasy robotniczéj, wobec któréj wszystkie inne klasy są tylko reakcyjnym tłumem“.

W drugim paragrafie tegoż programu socyalistowskie stronnictwo robotników wylicza podstawy, na jakich, według niego, państwo winno być zorganizowane. Dla zrozumienia rzeczy i dla możności lepszego rozróżnienia socyalizmu demokratycznego czyli rewolucyjnego, od innych socyalizmów (państwowy, kościelny czyli chrześciański, akademicki) przytaczamy to wyliczenie:

„Socyalistowskie stronnictwo robotników wymaga następnych podstaw państwa: 1. Powszechne, równe dla wszystkich, bezpośrednie prawo wyborów i głosowania, z tajemném i obowiązkowém składaniem głosów przez wszystkich obywateli państwa, liczących dwadzieścia lat wieku, we wszystkich wyborach i głosowaniach, tak w państwie jak w gminie. Dzień wyborów i głosowania musi być naznaczony w niedzielę lub w święto. 2. Bezpośrednie stanowienie praw przez lud. Tylko lud rozstrzyga w sprawach wojny czy pokoju. 3. Powszechny obowiązek wojskowy. Wojsko ludowe w miejsce wojsk i armii stałych. 4. Zniesienie wszelkich praw wyjątkowych, mianowicie praw o prasie, o stowarzyszeniach i zebraniach; wogóle wszystkich praw ograniczających swobodne objawianie zdania, wolność myśli i badania. 5. Wymierzanie sprawiedliwości przed lud. Sądownictwo bezpłatne. 6. Powszechne i jednakowe wychowanie ludu przez państwo. Powszechne i obowiązkowe uczęszczanie do szkół. Wykształcenie i bezpłatna nauka w zakładach wszelakiego stopnia. Ogłoszenie religii za rzecz osobistą i prywatną.

„W dzisiejszém społeczeństwie socyalistowska partya robotników domaga się: 1. Jak można największego rozszerzania praw politycznych w duchu powyższych żądań. 2. Jednego i jedynego podatku dochodowego i postępowego dla państwa i dla gminy, w miejsce wszystkich dziś istniejących podatków pośrednich, głównie na ludzie ciążących. 3. Nieograniczonego prawa koalicyi. 4. Normalnego dnia pracy, potrzebom i interesowi odpowiadającego. Zakazu pracy w niedzielę. 5. Zakazu pracy dzieci i wszelkiéj pracy kobiet, szkodzącéj zdrowiu i obyczajom. 6. Praw ochronnych dla życia i zdrowia robotników. Kontroli mieszkań robotników pod względem zdrowotności. Kontroli nad kopalniami, fabrykami, warsztatami i nad przemysłem domowym, sprawowanéj przez urzędników, których sami robotnicy wybiérać będą. 7. Uregulowanie pracy po więzieniach. 8. Zupełny samorząd dla wszystkich kas zasiłkowych i wsparcia dla robotników.

Na ten program odpowiedział ks. Bismarck najprzód znaném surowém prawem przeciw socyalistom, oddającém ich zupełnie pod nadzór i dowolność policyi, następnie zaś owém sławném orędziem cesarskiém z 17 listopada 1881, w którém Wilhelm I objawił światu, że bierze pod swą opiekę klasy dotąd „wydziedziczone". Dziś wiadomo, że to orędzie pisał sam ks. Bismarck, że cesarz tylko je odczytał, i że datująca się odtąd jego państwowo-socyalistowska polityka była jedynie pomysłem i dziełem kanclerza.

Owocem téj polityki były trzy prawa: 1-o przymusowe ubezpieczenie robotników na wypadek choroby; 2-o przymusowe ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków; 3-o przymusowe ubezpieczenie na starość (emerytura robotnicza) i wrazie stałéj niemocy (inwalidzi pracy). To ostatnie prawo zostało zaledwie od roku przeprowadzone przez izbę, ale dopiéro za półtrzecia roku (od daty dzisiejszéj) ma być w wykonanie wprowadzone, prędzéj bowiem roboty przygotowawcze, bardzo trudne i dużo czasu wymagające, oraz cała téj przerażająco-kolosalnéj asekuracyi organizacya nie mogą być gotowe.

Walka jednak socyalistów z rządem i rządu przeciw socyalistom nie ustawała. Na prześladowania rządu, na ciągłe jego oskarżenia, że są stronnictwem buntowniczém, wrogiém państwu i społeczeństwu, socyaliści odpowiadali zaprzeczeniami i dowodzeniem, że są stronnictwem spokojném, prawu posłuszném i tylko prawnemi środkami usiłującém przeprowadzić reformę socyalną, nie myśląc o żadnych gwałtownych wywrotach i rewolucyach, a licząc na czas. Te zapewnienie ściśle sformowali w postanowieniach swego wiecu stronniczego w Schönenwegen pod St. Gallen (w Szwajcaryi), odbytego w d. 2—6 października 1887 r. Oświadczenie to tak brzmi:

„Stanowisko względem anarchistów: Wiec stronnictwa (demokratyczno socyalnego) oświadcza, iż anarchiczne teorye społeczne, o ile te dążą do bezwzględnéj autonomii osobnika, są przeciw-socyalistowskie, iż są tylko jednostronném przetworzeniem podstawowych idei liberalizmu mieszczańskiego, jakkolwiek wychodzą z krytyki dzisiejszego porządku społecznego, przeprowadzonéj ze stanowiska socyalistowskiego. Przedewszystkiém nie zgadzają się one i w nierozwiązalnéj sprzeczności zostają z żądaniem socyalistowskiém uczynienia środków produkcyi społecznemi i społecznego uregulowania téjże produkcyi, jeżeli produkcya nie ma być cofnięta do karłowatéj miary domowego rzemiosła. Wiara anarchiczna i wyłączne dopuszczanie gwałtu, czyli siły materyalnéj, opiéra się na niezrozumieniu roli, jaką siła w historyi ludów odgrywa. Siła bywa równie reakcyjnym, jak rewolucyjnym czynnikiem; pierwszym bywała nawet daleko częściéj, aniżeli drugim. Taktyka indywidualnego używania siły nie prowadzi do celu; ponieważ zaś obraża poczucie prawa panujące w masach, jest bezwarunkowo szkodliwa i potępioną być musi".

Poprzednio już w programie gotajskim, w maju 1875 ogłoszonym, naczelnicy stronnictwa zebrani na narady ogłosili: „Opierając się na tych zasadach, socyalistowskie stronnictwo robotników niemieckich, za pomocą wszelkich środków prawnych dąży do wolnego państwa i socyalistowskiego społeczeństwa, do rozbicia żelaznego prawa płacy zarobkowéj (*Lohn*), do zniesienia wyzysku we wszelkiéj postaci, do usunięcia wszystkich społecznych i politycznych nierówności".

W manifeście ułożonym na zjeździe w Wyden (w sierpniu 1889) spotykamy także następne potępienie rewolucyi: „Dotychczasowe rozważne, celu swego świadome, postępowanie naszego stronnictwa jest rękojmią, że stronnictwo to nigdy niepopadnie w równie dziecinne, jak zbrodnicze bawienie się w rewolucyę i robienie rewolucyi, która przy dzisiejszém, najzupełniéj niedostateczném, przygotowaniu ludu, sprawie naszéj najwięcéjby zaszkodziła, cofnęłaby ją na lat dziesiątki, a drogą krew ludu zmarnowałaby w sposób najbardziéj niesumienny i zbrodniczy".

Do téj pory stronnictwo socyalistowsko-niemieckie wiernie się trzyma zasad wyżéj wypowiedzianych, potępiających anarchizm, gwałt i rewolucyę zbrojną, jakkolwiek w jego szeregach znajduje się odcień myślący przeciwnie, zostający pod kierunkiem głośnego Mosta, dziś bawiącego w Ameryce. Za panowania znanéj Międzynarodówki, chwilowo anarchizm i rewolucya gwałtowna zdawały się przemagać. Ścisłe jednak o tém wiadomości posiadać jedynie może policya niemiecka, która ich nie ogłasza. Głównym środkiem działania i wpły-

wu socyalistów niemieckich jest agitacya i propaganda, przy korzystaniu z wszelkich środków i swobody, prawem dozwolonéj. Owa propaganda wzmocniła się bardzo od czasu wspomnianego wyżéj orędzia cesarskiego, przyznającego, że klasy robotnicze są „wydziedziczonemi“. Ponieważ jednak surowe, chociaż tylko czasowe i co dwa lata odnawiane, prawo przeciw socyalistom-demokratom utrudniło téj propagandy jawność, przybrała ona w ostatnich latach bardziéj tajny, więc niebezpieczniejszy może i skuteczniejszy, charakter. W parlamencie téż i po dziennikach, nawet rządowych, z powodu trzech praw bismarkowskich, kwestya socyalizmu nie schodziła z porządku dziennego, a parlament rzeszy, w którym stronnictwo to posiada przedstawicieli, odznaczających się wielkim talentem, jak np. p. Bebel, dostarczał od lat dziewięciu środków do podtrzymania agitacyi prawnéj.

Prawo przeciw demokratom socyalnym, jakkolwiek wykonywane przez policyą z wielką niekiedy surowością, okazało się bezsilném; przeciwnie zabiegi stronnictwa demokratyczno-socyalistowskiego były bardzo skuteczne. Siła jego wzrastała z szybkością niezmierną, głównie w miastach. Świadczą o tém cyfry urzędowe, jakich dostarczają wybory do sejmu rzeszy, dokonywane, jak wiadomo, głosowaniem powszechném i tajném. Od utworzenia nowego cesarstwa niemieckiego wyborów powszechnych odbyto ośm, w których liczba głosów danych za kandydatami socyalistowskiemi tak się przedstawia: W 1871 r. liczono wyborców socyalistowskich 124,655, — w 1874 r. 351,952, w 1877 roku 493,288, — w 1878 r. 437,158, — w 1881 r. 311,961 (zmniejszenia były następstwem chwilowém prawa przeciw socyalistom) w 1884 r. 549,990, —1887 r. 763,128,—w 1890 r. 1,341,587. W stosunku do ogólnéj cyfry głosujących wyborców, socyaliści w odpowiednich latach w takich wzrastającym przedstawiali się procencie 3,2%—6,8—9,1—7,6—6,1—9,7—10,1; w roku bieżącym procent ten wzrósł do 18 przeszło, to znaczy, że blisko piąta część wyborców cesarstwa niemieckiego należy do demokratów socyalnych. Jeżeli weźmiemy tylko pojedyncze okręgi wyborcze, ten procentowy stosunek jeszcze więcéj daje do myślenia. W Berlinie np. tak on wzrastał w odpowiednich po sobie latach: 21,6% — 27,7—39,2—35,3—18,1—34,8 — 40,2; w lutym r. b. przekroczył znacznie 50%. To znaczy, że przeszło połowa, głosujących w stolicy państwa, wyborców należała do socyalno-demokratycznego stronnictwa. Socyalizm stał się więc w Niemczech siłą i politycznym czynnikiem, z którym trzeba się liczyć, nie bacząc już na inne dla „wydziedziczonych“ względy.

Pewność siebie jest u socyalistów tak wielka, że jeden z ich posłów w sejmie rzeszy, w rozmowie z panem Grad, posłem z Alzacyi i autorem bardzo cennego dzieła p. t. *Le Peuple Allemand*, powiedział:

„Gdy Niemcy liczyć będą 60 milionów ludności, prostém działaniem głosowania powszechnego, rząd przejdzie w ręce robotników.“ Do 60 milionów jeszcze Niemcom dość daleko, ludność jednak wzrasta w tym kraju stosunkowo szybko. W roku 1875-ym liczyła ona 40,852,037 głów, w roku zaś 1885-ym spis rządowy podał ją na 46,855,704. Jeżeli przez ostatnie lat pięć ludność Niemiec w tym samym stosunku wzrastała, to dziś liczyć może około 49—50 milionów. Chociażby nawet liczyła mniéj, to wypadek tegorocznego głosowania nieprzyjemnie objaśnia to przypuszczenie, wróżbę, czy groźbę socyalistowskiego posła, o którym p. Grad wspomina, nazwiska jego nie wymieniając. Przypuszczają, że to był p. Bebel.

Nic więc dziwnego, że w takiém położeniu rzeczy rząd cesarsko-niemiecki, szukając środków zaradczych, przyzywa na pomoc socyalizm państwowy i staje na jego czele, a nawet szybko prowadzić go obiecuje. Zwrot ten rozpoczął książę Bismarck, który przed laty ośmiu sądził, że trzy wyżéj wspomniane prawa wystarczą, że, przy pomocy środków policyjnych, stronnictwo demokratyczno-socyalne rozbiją, część znaczną jego, spokojniejszą, oddając nawet usługi rządu. Z pozostałą gwałtowną, anarchiczną i rewolucyjną, danoby sobie rady. Wypadek ostatnich wyborów wykazał, że wielki kanclerz był w błędzie.

Cesarz Wilhelm II-gi oddawna, a zwłaszcza od czasu wstąpienia na tron, badał podobno pilnie tę wielką sprawę. P. Juliusz Simon, znany francuski publicysta i filantrop, który w marcu kilkakrotnie rozmawiał z nim w Berlinie, zapewnia, że cesarz ten zna sprawę socyalną dokładnie, nawet w szczegółach, że ma wyrobione o niéj i dojrzałe przekonania, a nawet postanowienia i że załatwienie jéj, przynajmniéj na jakieś dłuższe lata, za swój obowiązek monarszy i chrześciański uważa. Sąd tak poważnego i słusznie poważanego człowieka, jak p. J. Simon, zasługuje na zaznaczenie.

Co do samego cesarza Wilhelma, trudno jeszcze mieć o nim jakieś dokładniejsze wyobrażenie. Chociaż bowiem już blisko dwa lata panuje, dopiéro w roku bieżącym w wielkich sprawach państwowych jego osobista działalność silniéj wystąpiła. Gdyby można sądzić o nim z jego mów publicznie improwizowanych, należałoby przypuszczać, że jest pełen dobrych chęci dla swego narodu, że ma wysokie wyobrażenie o swoich prawach, ale zarazem równie wysokie o swych obowiązkach monarszych, przy silnie mistycznym nastroju, że jest pracowity, czynny, a w każdym razie bardzo ruchliwy, że prawie namiętnie chce tego, co chce, ale czy chcenie to ma charakter woli wytrwałéj, opartéj na niezłomnych przekonaniach i postanowieniach gruntownie i wszech-

stronnie rozpatrzonych, o tém niektórzy wątpią. Cherbuliez pisze o nim:

„Imaginacya jego jest latarnią czarodziejską, w któréj obrazy przesuwają się z szybkością zadziwiającą. Spotykamy w nim wszystkie ciekawości, a w zamiłowaniach swych jest bardzo namiętny. Lada dzień może zamknąć się w Wartburgu i będzie odbywał rekolekcye w izbie Lutra, wpatrując się w ścianę, poplamioną atramentem i świadczącą, że któréjś nocy wielki reformator rzucił swój ciężki kałamarz na łeb dyabłu, który mu przeszkadzał. Po takiém duchowém ćwiczeniu pojedzie zaraz polować na cietrzewie, następnie roznamiętni się do jakiegoś zagadnienia politycznego lub socyalnego, sądząc, że on tylko jeden jest w stanie je rozwiązać...“

W inném miejscu znakomity pisarz i publicysta francuski taki robi dodatek do tego portretowego szkicu: „Pan Bryce (pisarz angielski) skreślił znakomity i melancholiczny wizerunek cesarza niemiecko-rzymskiego z ostatnich lat X-go wieku (983—1002, znanego téż i w naszéj historyi, z powodu pielgrzymki odbytéj do grobu ś. Wojciecha za Bolesława Chrobrego). Pewne podobieństwo zachodzi pomiędzy Wilhelmem II-im, a tym młodym mistykiem z X-go wieku, mistykiem z duszą szlachetną, którego umysł jednak, zbyt często nawiedzany wizyami, zanadto olśniewać się dawał wspaniałością własnych kreacyi, by mógł widzieć świat takim, jakim on jest. Otton III-ci był niezmiernie przywiązany do swego nauczyciela sławnego Gerberta, późniéj arcybiskupa w Rheims, który uchodził także za czarnoksiężnika. Otton sam wierzył nieco w magię. Sądził, że jedno uderzenie laseczką, to jest jego berłem cesarskiém, wystarczy do wyprowadzenia z ziemi wszystkiego, co zechce; pragnął wszystko odmłodzić, odnowić, zreformować. Chciał panować nad cesarstwem „zwycięskiém jak cesarstwo Trajana,“ tak w przeróżne regulaminy ujętém, jak było cesarstwo Justyniana, świętém zaś jak cesarstwo Konstantyna. Przejęty wielkością swego posłannictwa, przybierał tytuł „sługi Jezusa Chrystusa.“ Z zaciekaniami antykwaryusza jednoczył on imaginacyą bujną i nieustanne wspomnienia pełnéj sławy potęgi, któréj był spadkobiercą. „Nakazaliśmy to, mówi w jednym z swoich edyktów, aby, skoro kościół boży jest swobodnie i niewzruszenie ugruntowany, cesarstwo nasze mogło robić postępy, a korona naszego rycerstwa tryumfować. Daj Bóg, byśmy mogli w ten sposób, przeżywszy sprawiedliwie w świątnicy świata tego, zostać uznani godnemi do wyjścia z więzów tego żywota i do królowania wielce sprawiedliwie z Panem Wszechmogącym.“

Rozumié się, że Wilhelm II-gi nie pisze swych odezw, orędzi lub gabinetowych reskryptów w tym stylu z X-go wieku, ale podobne mi-

styczne usposobienie bardzo często, jakkolwiek w innéj formie, w jego wystąpieniach publicznych przebija. Niedawno w liście do księcia sasko-wejmarskiego, z jego zapewne wolą ogłoszonym zaraz w dzienniku urzędowym tego księstwa, z powodu dymisyi danéj księciu Bismarckowi, pisał: „Serce moje cierpi, jak gdybym po raz drugi stracił mego dziada. Ale Bóg tak chciał. Muszę więc poddać się, chociażbym miał zginąć.“ Cytując ten list Cherbuliez z trafnością dowcipnego francuza dodaje: „Ze wszystkich wielkich osobistości świata tego, Bóg jest tą, którą najłatwiéj skłonić można do mówienia. Dlatego Europa jest niespokojna z powodu Wilhelma II-go.“ W swych odezwach i reskryptach, nawet mówiąc o armii, cesarz bardzo często używa wyrazów „chrześciaństwo, chrześciański“, a używa tych wyrazów w sposób taki, iż trudno go podejrzywać o jakiś retoryczny zamiar i troskliwość o ozdoby stylowe. W ostatnim swym reskrypcie o oficerach i ich wyborze, oświadcza, że powinni „czcić króla i ojczyznę, kochać rzemiosło żołnierskie i żywić chrześciańskie uczucia.“ To religijno-chrześciańskie usposobienie może być w Wilhelmie II tak dobrze wyrobione jak odziedziczone. Z wyjątkiem Fryderyka II-go, ucznia i, przez czas pewien, wielbiciela Woltera, a przyjaciela i współwyznawcy słynniejszych ateistów XVIII-go wieku, wszyscy Hohenzollernowie tém się odznaczali. Następca Fryderyka II-go, Fryderyk Wilhelm II-gi był najbezczelniéj wyzyskiwany przez rozmaitych mistyków (Wöllner), lub intrygantów mistycyzm udających (Bischofswerder), oraz różne przyjaciółki królewskie (pani Dielz, panna Voss, hrabina Dönhoff). Fryderyk Wilhelm III-ci odznaczał się pewną sentymentalną religijnością, którą zresztą umiał obracać ku najbardziéj ziemskim korzyściom państwa. Fryderyk Wilhelm IV-ty był znakomitym teologiem, który jednak wcale nie odrzucał téj teoryi swego ministra Müllera: że poddani powinni być do swego króla w tym stosunku, w jakim wierni zostają do Chrystusa. Dziad nawet dzisiejszego cesarza, Wilhelm I, jakkolwiek umysł prostszy i natura żołnierska nie nęciły go do teologicznych badań, nie mniéj przeto objawiał silnie pietystyczne usposobienie. Za Fryderyka Wilhelma III-go wyrobił się zwłaszcza ów odrębny rodzaj chrystanizmu, który nazywano „królewsko-pruskim chrystyanizmem państwowym“, nie zważając na dowodzenie opozycyi: że gdzie państwo zrobiono naczelném bóstwem, tam istotna służba boża ustać musi. Nic więc dziwnego, że Wilhelm II-gi pewne mistyczne usposobienie objawia. Czy zaś jego chrystyanizm jest specyficznie pruskim, to jest obowiązanym służyć państwu i jego potęgę podnosić, czy téż istotnym—to czas i czyny wskażą.

Ale jakiegobądź rodzaju jest ten chrystyanizm, zawsze mógł on

oddziałać na cesarza i do badania najprzód, do działania następnie w kwestyach socyalnych skłonić. Wilhelm II-gi jeszcze przed wyborami zrozumiał, że po zatwierdzeniu praw bismarkowskich nie można przystanąć, że trzeba koniecznie iść daléj. Kanclerz był przeciwnego zdania, uległ jednak woli cesarza, może przypuszczając, że ta wola długo trwać nie będzie. Zgodził się więc na wykonanie następnego reskryptu cesarskiego:

„Postanowiłem przyłożyć rękę do poprawy losu robotnika niemieckiego, o ile na to pozwalają granice, zakreślone koniecznością pracy dla utrzymania zdolności konkurencyjnéj przemysłu niemieckiego na rynku wszechświatowym. Upadek przemysłu krajowego, wskutek utraty zbytu za granicą, pozbawiłby chleba nietylko robotników, ale i pracodawców. Wynikające z międzynarodowéj konkurencyi, trudności poprawy bytu naszych robotników, dadzą się, jeżeli nie zwalczyć, to złagodzić tylko w drodze międzynarodowego porozumienia pomiędzy krajami, interesowanemi w owładnięciu rynkiem międzynarodowym. W przekonaniu, że inne rządy także ożywione są życzeniem poddania wspólnemu zbadaniu dążności, co do których robotnicy tych krajów prowadzą już między sobą międzynarodowe rokowania, pragnę, aby przedewszystkiém przedstawiciele moi zapytali urzędownie Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, czy rządy tych krajów skłonne są wejść z nami w układy co do międzynarodowego porozumienia, by w zakresie możności uczynić zadość tym potrzebom i życzeniom robotników, jakie wypowiedziały się w ruchach z lat ostatnich i dawniéj. Jeżeli zgoda na propozycyą w zasadzie osiągnięta zostanie, upoważniam pana do zaproszenia gabinetów tych wszystkich rządów, które w równéj mierze zainteresowane są kwestyą robotniczą, na konferencyę, celem obrad nad rzeczonemi kwestyami.—Berlin, 4 lutego 1890 r. (podpisano) *Wilhelm*, *Imperator*, *Rex*.

Książę Bismarck był podobno przeciwny zwoływaniu konferencyi międzynarodowéj do Berlina, a zachowanie się jego następne, jego ostre przycinki, jakich nie szczędził cesarzowi w rozmowach prywatnych, które to przycinki przez dzienniki podawane były, potwierdzają to przypuszczenie niechęci. Powiedzieć on miał np. że cesarz Wilhelm doczekać się jeszcze może tego honoru, że go jaki kongres socyalnych demokratów obierze swym honorowym prezydentem. Wielki realista i doświadczony ćwierćwiekowemi rządami praktyk, wiedział, że konferencya europejska, jeżeli się zbierze, nie odpowie oczekiwaniom cesarza, że wezwane mocarstwa nie zobowiążą się, ani zobowiązać mogą, wzajemnie, do wprowadzenia w życie za pomocą praw

przymusowych, uchwał, jakie konferencya poweźmie, a które tylko jako *pia desideria* wypowiedziane być mogą. Ani interes, ani nawet godność tych mocarstw żadnego w tym przedmiocie „obowiązującego“ przyzwolenia nie dopuści. Konferencya więc, z takim hałasem zwołana, będzie jednym wiecem humanitarnym więcéj, wprawdzie świetniejszym, efektowniejszym, ale w praktycznych następstwach bardzo do innych, ostatniemi laty odbywanych, podobnym. Ta efektowość zaś, ta aureola międzynarodowości musi tylko podnieść dumę, pewność siebie i siłę demokratów socyalnych, którzy mogą teraz stronnikom swym mówić: patrzcie jaką jest nasza potęga, oto najpotężniejsze rządy czują się już zmuszonemi do słuchania naszego głosu i do naśladowania naszych sposobów walki.

Przez kilka dni podejrzywano nawet, że Wilhelm II-gi, wiedząc, jaki obrót ów jego projekt weźmie, wystąpił z nim na dwa tygodnie przed wyborami niemieckiemi, by stronnictwo demokratyczno-socyalne rozbić, a przynajmniéj rozdwoić i jego część ku rządowi przeciągnąć. Podejrzenie to okazało się bezpodstawném. Wilhelm II-gi napisał swój reskrypt w dobréj wierze. Świadczą o tém następne jego działania.

Reskrypt ten zresztą jednocześnie poparty został innym, zwróconym do pruskich ministrów robót publicznym i handlu, który także musimy podać w całości, podkreślając miejsca, najwięcéj, według nas, na uwagę zasługujące. Cesarz mówi w nim:

„Przy objęciu rządów wyraziłem zamiar popierania dalszego rozwoju naszego prawodawstwa w tym samym duchu, w jakim mój w Bogu spoczywający dziad otoczył pieczołowitością swą ekonomicznie słabszą część ludności, idąc za wskazówkami chrześciańskiéj nauki i moralności. Jakkolwiek cennemi i skutecznemi są podjęte dotąd przez ustawodawstwo i administracyę środki ku polepszeniu bytu klas pracujących, nie wypełniają one jednak w całości włożonego na mnie zadania. Obok dalszego rozwoju ustawodawstwa o ubezpieczeniu robotników, należy poddać istniejące przepisy ordynacyi przemysłowéj o stosunkach robotników fabrycznych nowemu rozbiorowi, ażeby ujawnionym w téj dziedzinie skargom i życzeniom, o ile są uzasadnione, zadość uczynić. Zbadanie to powinno wychodzić z zasady, iż jednèm z głównych zadań władzy państwowéj jest uregulowanie czasu, trwania i natury pracy w taki sposób, ażeby utrzymanie zdrowia, prawo obyczajności, ekonomiczne potrzeby robotników, wreszcie ich prawo do ustawodawczego równouprawnienia zostały odpowiednio uwzględnione. Dla zapewnienia pokoju pomiędzy pracodawcami i pracującymi należy obmy-

ślćć prawem określone przepisy co do formy, w jakiéj robotnicy przez przedstawicieli swych, obdarzonych ich zaufaniem, uczestniczyćby mogli w regulowaniu wzajemnych stosunków, tudzież w obronie swych interesów przy układach z pracodawcami i organami mojego rządu. Urządzenie takie umożliwiłoby robotnikom swobodne i spokojne wyrażanie swych życzeń i skarg, a władzom państwowym dałoby sposobność do stałego zyskiwania wiadomości o sprawach robotników i do utrzymywania z niemi ciągłych stosunków.

„Państwowe zakłady górnicze pragnę pod względem starań o dolę pracujących uczynić wzorowemi; co do zakładów prywatnych zaś życzę sobie zaprowadzenia związku organicznego pomiędzy mojemi urzędnikami górniczemi a zakładami, celem sprawowania kontroli, zgodnéj ze stanowiskiem inspektorów fabrycznych, jaka do roku 1865 była praktykowana.

„Dla wstępnego rozbioru tych kwestyi żądam zebrania się pod mojém przewodnictwem rady stanu, z przybraniem osób fachowych. Wybór ich sobie zastrzegam.

„Pomiędzy trudnościami, jakie uporządkowaniu stosunków robotniczych we wskazanym przezemnie kierunku stoją na przeszkodzie, pierwsze miejsce zajmują warunki, wynikające z potrzeb krajowego przemysłu w jego wszechświatowém współzawodnictwie z zagranicą. Dlatego poleciłem kanclerzowi, aby rządom tych państw, których przemysł, obok naszego, panuje na rynkach świata, zaprojektował zebranie się konferencyi celem ogólnego międzynarodowego uregulowania granicy wymagań, jaką zakreślić należy działalności robotników. Kanclerz udzieli panu mego, wystosowanego doń, reskryptu.—Berlin, 4 lutego 1890 r.

Te dwa reskrypty objaśniają się wzajem i uzupełniają. Reskrypt do ministra robót i handlu mówi najprzód czego cesarz chce. Pierwsza część tego dokumentu, w miejscach podkreślonych, wskazuje te żądania, dowodząc zarazem, jak bardzo cesarz uwzględniał program gotajski stronnictwa socyalistowsko-demokratycznego z r. 1875. Zestawiań tutaj robić nie będziemy, czytelnik sam je zrobić może, porównywając ów wyżéj podany program z ową częścią reskryptu. W drugiéj części reskrypt wypowiada, czego cesarz domagać się zamierza od państw europejskich, zwoływanych na konferencyą, i z jakiego powodu. Pragnie więc „ogólnego międzynarodowego uregulowania“ (zatém obowiązującego wzajemnie) granicy wymagań etc., powodem zaś tego są „potrzeby krajowego (niemieckiego) przemysłu w jego wszechświatowém

współzawodnictwie z zagranicą.“ Ta ostatnia kwestya wymaga chociażby tylko krótkiego objaśnienia.

Przemysł niemiecki rozwinął się niezmiernie w ostatnich dwudziestu latach, robi on silną konkurencyę przemysłom, tak francuskiego jak angielskiemu, które coraz bardziéj na rynku wszechświatowym wypycha. Pewną przewagę w téj konkurencyi daje mu nie wyższa dobroć jego wyrobów, ale większa ich taniość. *Bilig aber schlecht* (tani ale zły, albo raczéj: zły ale tani) już dawno sami, i to najpoważniejsi, Niemcy taką ocenę swych wyrobów stawiali. Taniość tę fabrykanci niemieccy osiągają tém, że robotnik niemiecki jest gorzéj płatny od innych. Że płacę swą uważa on za niewystarczającą, a robotę za zbyt długą i uciążliwą dowodzą tego ciągłe i wielkie bezrobocia. Cesarz chce zmniejszenia, prawem zawarowanego, godzin pracy, chce prawem nakazanego niedzielnego wypoczynku, chce jednak oznaczenia prawem *minimum* dziennego czy godzinnego wynagrodzenia, które to *minimum* prawdopodobnie nie byłoby mniejszém od dzisiejszego przeciętnego zarobku, po największéj części, jak twierdzą socyaliści, zaledwie na życie wystarczającego i wymierzonego wedle owego żelaznego prawa zarobku, jak je nazwał słynny agitator socyalistowski Lassalle. To znaczy, że za ośm lub dziewięć godzin pracy, robotnik niemiecki powinienby, według praw zamierzonych, brać tyle, co dziś bierze za dziesięć godzin, albo nawet więcéj, bo odpoczynek niedzielny byłby przymusowy. Nie chcemy zapuszczać się w rozmaite, chociaż ważne i z wielu, nawet przemysłowych, względów zasadne motywa obrony tego systematu zmniejszenia godzin pracy; w téj chwili chodzi nam tylko o wyjaśnienie pojedyńczego faktu. Podobne, prawnie przymusowe, zmniejszenie godzin pracy, przy ustanowieniu zwłaszcza prawnego *minimum* wynagrodzenia, powiększyłoby wielce koszta produkcyi przemysłu niemieckiego, który już i tak od lat kilku bokami w wielu gałęziach robi, więc zmniejszyłoby jego siłę konkurencyjną z przemysłem angielskim i francuskim na wszechświatowym targu. Gdyby jednak Francya i Anglia zobowiązały się międzynarodową umową zaprowadzić u siebie podobneż, prawem oznaczone, *maxima* godzin pracy i *minima* wynagrodzenia, Niemcy mogliby i daléj korzyści ciągnąć z systemu *schlecht aber billig*. Tak się przedstawiła rzecz po ogłoszeniu owych reskryptów, tak ją pojęły dzienniki angielskie i francuskie, tak nawet, jak się zdaje, pojmowały ją rządy, które dopiéro po dość długich układach i po przyjęciu ich zastrzeżeń, które konferencyą do akademickiego *minimum* sprowadziły, przystały na przysłanie delegatów do Berlina. Delegatów, nie pełnomocników.

Tak angielskie, jak i francuskie dzienniki, przyjęły tę propozy-

cyę berlińską bardzo nieprzychylnie, komentując jeden reskrypt Wilhelma II-go drugim. Angielskie, dla których szkoła manczesterska i zasada wolnego handlu są jeszcze niewzruszonym dogmatem, nienawidzące przytém socyalizmu państwowego, widząc w nim tylko zwiększanie niewoli, a zmniejszenie i krępowanie swobody osobistéj i energii, nie bez słuszności, wystąpiły z dowodzeniem: że gdyby cesarz niemiecki wystąpił z inicyatywą zalecającą państwom europejskim powrót do zasady wolnego handlu, wtedy z pewnością znalazłby środki zaradcze przeciw nędzy w swoim kraju i może zyskał powodzenie dla bieżącego swego projektu. Ministeryalny *Standard* przewidywał nawet, że Anglia nie będzie w stanie uczynić zadość życzeniom cesarza Wilhelma i przyjąć udziału w konferencyi. Przypominał téż, że kwestyami, robotników fabrycznych dotyczącemi, Anglia zajmowała się nieskończenie dawniéj, aniżeli Prusy, że w drodze prawodawczéj zaprowadziła wiele ulepszeń, których pruskie prawodawstwo jeszcze nie zna. Antagonizm ekonomiczny międzynarodowy, zaprowadzony przez politykę księcia Bismarcka, owe cla przesadnie wysokie, represalia i inne środki wojny ekonomicznéj, nie pozwalają na solidarną działalność w kwestyach ekonomicznych. Polityka bismarkowska cofnęla Europę, rozdmuchując nienawiści międzynarodowe, utrudniła swobodę ruchu, zmniejszyła dla robotników możność zarabiania w kraju nie swoim, spotęgowała wszędzie do najwyższego stopnia nietylko współzawodnictwa, ale i nienawiści narodowe.

Paryskie dzienniki zachodziły nieco daléj nawet od angielskich. I one przypominały, że los robotników francuskich jest lepszy aniżeli niemieckich, że w drodze prawodawczéj, równie jak w drodze dobroczynności ogólnéj, nieskończenie więcéj dla nich zrobiono aniżeli w Prusiech, że mają wszelką swobodę ruchu, słowa, zebrań, stowarzyszeń, że posiadają zwłaszcza swoje, prawnie uznawane, syndykaty zawodowe, że nie gniecie ich żadne wyjątkowe prawo, ani mały stan oblężenia, że zwłaszcza rewolucyjny socyalizm we Francyi nie jest tak groźny, jak w Niemczech. Dużo on krzyczy, ale w izbie ma zaledwie kilku przedstawicieli, nie bardzo słuchanych, etc. Położywszy nacisk odpowiedni na cele pruskie, wykazawszy, że Europa nie ma wcale obowiązku tym specyficznie pruskim celom dopomagać, zwracały one uwagę, że wprawdzie do załatwienia tych spraw socyalnych potrzebne jest porozumienie międzynarodowe, ale w takim razie daleko praktyczniejszą byłaby konferencya międzynarodowa, projektowana w roku zeszłym przez skromną rzeczypospolitę Szwajcarską, przyjęta już przez inne państwa, ale odrzucona przez cesarstwo niemieckie, dla powodów zapewne, które wyłażą z reskryptów Wilhelma II-go. Być téż

może, iż Wilhelm II-gi uważał za ubliżenie swéj cesarskiéj godności zadośćuczynienie temu zaproszeniu Szwajcaryi, a przesadzając sobie tak znaczenie swéj cesarskiéj korony, jak następstwa podobnéj narady europejskiéj pod jego prezydencyą odbytéj, sądził, że słowo jego wystarczy, by Europa cała czoło przed nim schyliła. Skutkiem bowiem mistycznego usposobienia odzywają się w nim wspomnienia *sacri imperii romani* Ottonów saskich, a chociażby Hohenstauffów. W Berlinie nie poprzestają na zdobytém już nad Niemcami panowaniu, chcianoby jeszcze hegemonię swą nad całą rozciągnąć Europą. W części to już osiągnęli, jak wskazuje reskrypt do kanclerza, w którym nie wspomniano o Austryi i Włoszech, w przekonaniu, że ci wierni sprzymierzeńcy posłusznemi być muszą woli imperatora niemieckiego.

Rządy angielski i francuski nie mogły przemawiać w takim stylu, jak ich dzienniki; ale oględny ton dyplomatycznych przedstawień i zastrzeżeń mniéj więcéj podobnym niedowierzaniem się kierował, a tak stanowcze zastrzeżenia stawiał, iż w Berlinie musiano dać odpowiednią interpretacyę wyrażeniom ogólnikowym reskryptów, byle konferencye przyszły do skutku. Niedojście ich bowiem byłoby nieprzyjemną bardzo dla cesarza niemieckiego porażką.

Przed zebraniem konferencyi zwołano w Berlinie pruską radę stanu, dla przedstawienia jéj sprawy i ułożenia następnie kwestyonarza, jaki miał być delegatom państw europejskich przedstawiony. Pomiędzy innemi członkami, powołanemi przez cesarza, znajdowało się dwóch socyalistów-demokratów, dla których, a zwłaszcza dla pana Bucholtz'a, majstra ślusarskiego, Wilhelm II-gi był bardzo uprzejmy, prowadząc rozmowy wielce charakterystyczne, a nawet czasami dowcipne. W jednéj z nich np. Bucholtz'owi, który, jakkolwiek z uszanowaniem największém, bronił swoich poglądów socyalistowskich, bardzo rozumnie powiedział, że, gdyby socyaliści z doświadczenia znali wszystkie trudności rządzenia, mniejby wymagającymi byli i dodał, że jednak trudno, by panu Bebelowi tronu swego ustąpił. Posiedzenia rady stanu odbywały się przy drzwiach zamkniętych, protokółu téż rozpraw nie ogłoszono, a tylko drobne i nieporęczone o nich szczegóły, niezbyt zresztą ważne, do wiadomości publicznéj doszły. Kwestyonarza téż, albo raczéj programu konferencyi, który zapewne został poprzednio komunikowany rządom zagranicznym, by usunąć ich podejrzliwości, nie powtarzamy. Niepotrzebnie zajmowałby miejsce, musimy bowiem podać protokół końcowy konferencyi, w któréj już znajdziemy odpowiedź i to bardziéj szczegółową, na każde z pytań w tym kwestyonarzu zamieszczonych.

Nareszcie w d. 15 marca można było otworzyć konferencyę. Zebra-

ło się czterdziestu ośmiu delegatów przysłanych przez piętnaście następnych państw: Niemcy, Austrya, Belgia, Dania, Hiszpania, Francyą, Anglia, Włochy, Holandya, Portugalia, Szwajcarya, Szwecya i Norwegia. Francya przysłała pięciu delegatów, a mianowicie: pp. Juliusza Simon, Tolain, Bourdeau, Linder i Delahaye. Ten ostatni bardzo zwrócił na siebie uwagę. Jest on socyalistą i należy podobno do partyi posybilistów, z zawodu swego rzemieślnik, pochodzący podobno z rodziny szlacheckiéj de la Haye, złożył on konferencyi, w swojém tylko imieniu, ciekawy i dobrze obrobiony memoryał o położeniu robotników wogóle. Memoryał ten narobił nie mało kłopotu delegacyi francuskiéj, bo przekraczał granice konferencyi nakreślone, i nie mógł być brany pod rozbiór. Rzecz załatwiło wdanie się księcia-biskupa wrocławskiego, księdza Koppa, prezesa jednéj z czterech sekcyi konferencyi. Memoryału nie rozbiérano, ale go dołączono do protokółu sekcyjnego jako anneks.

Prezesem konferencyi obrano barona Berlepsch, nowego ministra handlu, który w imieniu rządu niemieckiego zagajał posiedzenia. Na prezesów sekcyi wybrano: pp. Magdeburga, ks. Koppa, Juliusza Simon Hochecorne. Posiedzenia odbywały się przy drzwiach zamkniętych, nie ogłoszono téż urzędownie żadnych szczegółów o rozprawach, które trwały dwa tygodnie. To, co wiemy, a wiemy bardzo mało, zawdzięczamy niedyskrecyi niektórych członków. A mogły być tam wymienione, rozumie się w najgrzeczniejszéj formie, ale na faktach oparte, rozmaite prawdy, dla niektórych państw bardzo nieprzyjemne. Szczególniéj ciekawém byłoby dla nas porównanie obowiązujących już dziś w rozmaitych państwach praw, regulujących pracę kobiét i dzieci w fabrykach i kopalniach. Tak np. z owych przypadkowo doszłych do wiadomości publicznéj szczegółów, dowiadujemy się, że gdy w owéj, tak dziś wyklinanéj, Francyi, praca kobiét w kopalniach jest bezwarunkowo zabroniona, w Belgii, owéj ultra-katolickiéj Belgii, kobiéty stanowią jedną trzecią część robotników w kopalniach pracujących. Podobnież we Włoszech regulamin fabryczny upoważnia używanie dzieci sześcioletnich w fabrykach tkackich (*manganerie*). Delegaci téż Anglii, owéj okrzyczanéj przez pewne sfery z powodu swego kramarskiego ducha i liberalizmu Anglii, mogli z dumą oświadczyć, że większa część reform i rękojmi, teraz dopiéro konferencyi przedstawianych, co do pracy w fabrykach i kopalniach, już od lat czterdziestu prawem jest w Anglii zaprowadzona. Podobnież Francuzi mogli się powołać na swe prawodawstwo, oznaczające oddawna *minimum* wieku dla dopuszczenia do fabryki i *maximum* godzin pracy dla kobiét i dzieci. Słusznie pisze jeden z dzienników paryskich

i to bardzo nieprzyjazny Rzpltéj, że delegaci berlińscy mogli się przekonać, iż w prawodawstwie dla opieki nad klasami robotniczemi w ich ciężkiéj walce z trudnościami życia wyprzedziła ona inne narody. Ponieważ podobne dowody ludzkości i praktycznego, nie formalistycznego, chrystyanizmu są najwymowniejszemi, bo faktycznemi, wskazówkami cywilizacyi i postępu, Rzplta francuska, pomimo wszelkich swych ułomności, razem z Anglią mogła z dumą poglądać na tyle innych państw.

W pięć dni po otwarciu konferencyi nastąpiła dymisya ks. Bismarcka. Wielki ten wypadek polityczny tak zajął opinią Europy, że o konferencyi zapomniano. W dniu 29-ym marca nastąpiło zamknięcie tych obrad, a 11-go kwietnia urzędowy *Reichsanzeiger* podał, w języku francuskim, protokół ostatniego 7-go posiedzenia plenarnego. Oprócz mowy barona Berlepscha, a mianowicie jego określeń znaczenia konferencyi, protokół ten obejmuje tylko błahe, ale konieczne komplementa i podziękowanie dla cesarza Wilhelma, dla prezesa konferencyi etc. wypowiedziane przez głównego delegata angielskiego p. Gorst, belgijskiego p. Jacobs i t. d. Francuscy delegaci, chociaż ich szczególniéj odznaczano, milczeli.

Ważnym jest tylko anneks do tego protokółu, obejmujący cały wypadek owych narad, ujęty w formę ścisłą. Podajemy go w całości, z niego bowiem czytelnicy najlepiéj rozmiar zadania konferencyi w szczegółach nawet zrozumieją. Brzmi on, jak następuje:

„Podpisani, delegaci rządów: Najj. cesarza niemieckiego i króla Prus, N. cesarza austryackiego i króla węgierskiego, N. króla belgijskiego, N. króla duńskiego, N. królowéj regentki hiszpańskiéj, Rzeczypospolitéj francuskiéj, N. królowéj Wielkiéj Brytanii, N. króla włoskiego, N. króla holenderskiego w tym charakterze i w charakterze wielkiego księcia luksemburskiego, N. króla portugalskiego, N. króla szwedzkiego i norweskiego, oraz Federacyi szwajcarskiéj, zebrawszy się w Berlinie na konferencyę dla rozbioru kwestyi dotyczących opieki nad robotnikami, objętych programem dołączonym do zaproszenia, wydanego przez rząd cesarsko-niemiecki, jako wynik swych narad spisali wyrażenie następnych życzeń, objawionych po największéj części jednomyślnie, w części zaś przyjętych przez większość:

I. Uregulowanie pracy w kopalniach. Życzeniem jest: 1. *a*) By granica najniższa wieku, w którym dzieci mogą być dopuszczone do prac podziemnych w kopalniach, była stopniowo podwyższoną do lat 14-tu skończonych, w miarę, jak doświadczenie możność tego wskaże. W każdym razie dla krajów południowych granicą tą będzie lat 12. *b*) By robota podziemna została zabronioną dla osób płci żeńskiéj.

2. By, w razie, gdy sztuka górnicza nie wystarczy do usunięcia wszelkiego niebezpieczeństwa niezdrowotności, wynikającéj z naturalnych lub przypadkowych warunków eksploatacyi niektórych kopalni, albo niektórych pracowni w tychże, czas trwania pracy był ograniczony. Zostawia się każdemu krajowi staranie zapewnienia tego rezultatu, drogą prawodawczą lub administracyjną, albo za pomocą zgody pomiędzy eksploatującemi a robotnikami, wedle zasad i zwyczajów każdego kraju.

3. *a*) By bezpieczeństwo robotnika i zdrowotność pracy zapewnione były za pomocą wszelkich środków, jakiemi nauka rozporządza, i ulegały kontroli państwa; *b*) by inżynierami obowiązanemi kierować eksploatacyą byli wyłącznie ludzie wielkiego doświadczenia i kompetencyi technicznéj ściśle sprawdzonéj; *c*) by stosunki z inżynierami górniczemi a inżynierami eksploatacyi były, jak można, najbardziéj bezpośredniemi, a posiadały charakter zaufania i szacunku wzajemnego; *d*) by instytucye zasiłku i pomocy, uorganizowane odpowiednio do obyczajów każdego kraju, a mające ubezpieczyć nieletniego robotnika i jego rodzinę przeciw następstwom choroby, wypadków, przedwczesnéj niemocy, starości i na przypadek śmierci, oraz instytucye, mogące poprawić los górnika i przywiązać go do jego zawodu, były coraz więcéj rozwijane; *e*) by w celu zabezpieczenia ciągłości w produkcyi węgla, starano się zapobiegać bezrobociom. Doświadczenie zdaje się dowodzić, że najlepszy środek zapobieżenia polega na tém, ażeby pracodawcy i górnicy zobowiązali się wzajemnie uciekać się do sądu polubownego, jak tylko ich spór nie da się załatwić porozumieniem bezpośredniém.

II. Uregulowanie pracy niedzielnéj. 1. Pragnąć należy, z zastrzeżeniem wyjątków i zwłok potrzebnych w każdym kraju: *a*) by jeden dzień wypoczynku w tygodniu zapewniony był osobom pracującym; *b*) by dzień odpoczynku zapewniony był wszystkim robotnikom przemysłu; *c*) by ten dzień odpoczynku naznaczony był na niedzielę dla wszystkich robotników przemysłowych. 2. Wyjątki są dopuszczalne: *a*) względem eksploatacyi wymagających ciągłości produkcyi dla powodów technicznych, albo dostarczających publiczności przedmioty pierwszéj potrzeby, których wyrób musi być codziennym; *b*) względem eksploatacyi, które z swéj natury mogą być czynnemi tylko w porach określonych, albo zależą od działania nieregularnego sił naturalnych. Życzyć należy, by nawet w zakładach téj kategoryi każdy robotnik miał co drugą niedzielę wolną. 3. W celu oznaczenia wyjątków przy podobném widzeniu rzeczy, pragnąć należy, by ich ure-

gulowanie zostało zaprowadzone w drodze porozumienia między rozmaitemi rządami.

III. Uregulowanie pracy dzieci: Pragnąć należy: 1-o. By dzieci obu płci, nie mające jeszcze pewnego wieku, były wyłączone od pracy w zakładach przemysłowych. 2-o. By wiek ten był oznaczony na lat 12, z wyjątkiem krajów południowych, w których wiek ten byłby oznaczony do lat 10. 3-o. By wiek ten był jednakowy dla wszystkich zakładów przemysłowych, by nie zaprowadzano w tym względzie żadnéj różnicy. 4-o By dzieci poprzednio zadość uczyniły przepisom, dotyczącym wykształcenia elementarnego. 5-o. By dzieci, nie mające jeszcze lat czternastu skończonych, nie pracowały ani w nocy ani w niedzielę. 6-o. By praca ich rzeczywista nie przechodziła sześciu godzin na dobę i przerywana była odpoczynkiem, wynoszącym co najmniéj pół godziny. 7-o. By dzieci wyłączone były od zajęć niezdrowych lub niebezpiecznych, albo też dopuszczone do nich były tylko pod pewnemi warunkami opiekuńczemi.

IV. Uregulowanie pracy młodych robotników: Pragnąć należy: 1-o. By młodzi robotnicy od lat 14 do 16 nie pracowali ani w nocy ani w niedzielę. 2-o. By ich praca rzeczywista nie przekraczała dziesięciu godzin na dobę i przerywana była wypoczynkiem wynoszącym co najmniéj półtory godziny. 3-o. By wyjątki były dopuszczone w niektórych rodzajach przemysłu. 4-o. By przewidziane były ograniczenia co do zajęć wyjątkowo zdrowiu szkodliwych, lub niebezpiecznych. 5-o. By zapewniona była opieka dla chłopców od 16 do 18 lat wieku, co do: *a*) *maximum* pracy dziennéj, *b*) co do pracy nocnéj, *c*) co do pracy w niedzielę, *d*) co do używania ich przy zajęciach wyjątkowo zdrowiu szkodliwych lub niebezpiecznych.

V. Uregulowanie pracy kobiet: Pragnąć należy: 1-o *a*) by dziewczęta i kobiety mające lat od 16 do 21 nie pracowały w nocy; *b*) by dziewczęta i kobiety liczące więcéj jak 21 lat wieku nie pracowały w nocy; 2-o by ich dzienna praca nie przenosiła 11 godzin i przerywana była wypoczynkiem co najmniéj półtoragodzinnym; 3-o by dopuszczonemi były wyjątki dla niektórych gałęzi przemysłu; 4-o by przewidziano ograniczenie dla zajęć wyjątkowo zdrowiu szkodliwych lub niebezpiecznych; 5-o by kobiety położnice były dopuszczane do roboty dopiéro w cztery tygodnie po połogu.

VI. Wprowadzenie w wykonanie rozporządzeń przyjętych przez konferencye: 1-o W razie dania następstw pracom konferencyi przez rządy, zalecają się następne rozporządzenia: *a*) wykonanie środków, przedsięwziętych w każdém państwie, dozorowaném będzie przez dostateczną liczbę urzędników specyalnie wykwalifiko-

wanych, mianowanych przez rząd kraju, niezależnych tak od pracodawców jak od robotników; *b*) raporta doroczne tych urzędników, ogłaszane przez rządy rozmaitych krajów, komunikowane będą przez każdy z nich rządom innych krajów; *c*) każdy z tych krajów peryodycznie i, o ile się da, w podobnéj formie zbierać będzie statystyczne dane co do kwestyi traktowanych w naradach konferencyi; *d*) państwa udział biorące wymieniać między sobą będą te obliczenia statystyczne równie jak przepisy, w drodze prawodawczéj lub administracyjnéj wydane, odnoszące się do kwestyi poruszonych w naradach konferencyi; 3-o pragnąć należy, by narady państw udział biorących, ponawiały się, a to dla tego, by państwa te komunikowały sobie wzajemnie uwagi, jakie nasunąć mogą następstwa dane naradom niniejszéj konferencyi, a to w celu zbadania stosowności zmiany ich lub uzupełnienia.

„Podpisani przedstawią te życzenia swym rządom, z zastrzeżeniami i uwagami, stawianemi na posiedzeniach w 27 i 28 marca, zaznaczonemi w protokułach. Spisano w Berlinie 29 marca 1890 w jednym egzemplarzu; który złożony zostanie w cesarskiém niemieckiém archiwum, kopia zań legalizowana przesłana będzie drogą dyplomatyczną każdemu z rządów na konferencyi reprezentowanych“ (następują podpisy delegatów).

Jak widzimy są to tylko życzenia, nie zaś zobowiązania. Każdy rząd może je przyjąć i w wykonanie wprowadzić, według swego uznania tak co do czasu jak co do miary i rozległości, może téż złożyć je *ad acta* w całości lub w części. Oto wszystko co zyskano na konferencyi. Z żądaniami socyalistów, a może w porównaniu z zamiarami cesarza Wilhelma II, który zdawał się spodziéwać wzajemnych zobowiązań, nie jest to wiele. A jednak nie jest to mało. Zdaje się, że słusznie ocenia następstwa tego międzynarodowego wiecu rządów delegat szwedzki p. Thom właściciel fabryki, mówiąc:

„Konferencya ułożyła i zatwierdziła żądania najważniejsze, którym zadośćuczynienie dane być musi. O ile rzecz pojmuję, teraz będzie sprawą pojedyńczych rządów rozwijać daléj swe prawodawstwo, robotników dotyczące, na podstawie życzeń przez konferencyą objawionych. Dopiéro gdy te nowe prawa przyjęte i wypróbowane będą, co według mnie w ciągu 4 do 5 lat nastąpi, przyjdzie czas zwołania nowéj konferencyi“.

Konferencya, jak widzimy, nie zajmowała się najtrudniejszą, a w téj chwili najbardziéj palącą, ale niesłychanie trudną i zawikłaną sprawą, a mianowicie kwestyą ograniczenia godzin pracy. Łączy się ona z inną niemniéj trudną, rzec można, niebezpieczną kwestyą *minimum* wynadgrodzenia. Załatwienia tych kwestyi dopominają się co-

raz natarczywiéj robotnicy wszystkich krajów, którzy w dniu 1 maja r. b. urządzają powszechną w Europie środkowéj manifestacyą jednodniową, dla poparcia tego swego żądania. Przypuszczają jednak, że i ta kwestya wkrótce w drodze prawodawczéj podniesioną zostanie przez cesarza czyli przez rząd niemiecki. Powód do tych przypuszczeń dał artykuł albo raczéj artykuły ogłoszone w urzędowym *Reichsanzeigerze* w d. 1 kwietnia. Artykuły te nosiły tytuł: Polityka socyalna, Reforma socyalna, Socyalizm. W jednym z nich czytamy:

„Praca kobiet i dzieci praca w nocy i w niedzielę oddawna stanowi treść agitacyi socyalno-demokratycznych; uregulowanie tych kwestyi podjętém teraz zostało przez radę stanu i przez konferencyą międzynarodową. Pozostają do uregulowania: kwestya płacy i kwestya czasu trwania pracy. W obu tych kierunkach głównie pracodawcy mogliby zrobić to co możebne i potrzebne. Drogi ku temu wyrównane będą przez wpływ kierunku całéj naszéj polityki socyalno-reformatorskiéj, oraz przez organa utworzyć się mające, które umożebnią zetknięcie się stałe między pracodawcami i robotnikami, a jak się należy spodziéwać, zdołają pomódz do załatwienia uzasadnionych skarg“.

Zdaje się więc, że w tym roku jeszcze rząd niemiecki sam nie wystąpi z projektem pracodawczym co do uregulowania *maximum* pracy i *minimum* wynagrodzenia, ale, że to sobie na późniéj zastrzega. Zresztą zastąpić go mogą, chociażby zaraz, przedstawiciele socyalno-demokratycznego stronnictwa w sejmie rzeszy, występując sami z wnioskiem do sejmu.

Z artykułów wspomnianych w urzędowym organie (wprawdzie w części nieurzędowéj) ogłoszonych, zawsze więc za wskazówkę służyć mogących, wnioskowaćby należało, że cesarz Wilhelm gotów jest zajść bardzo daleko na téj socyalistowskiéj drodze, a dla wyrównania nierówności społecznych, gotów zażądać wielkich ofiar od klas posiadających. Czytamy bowiem w drugim z owych artykułów:

„Celem socyalizmu jest więc zupełny przewrót głównéj podstawy istniejącego porządku społeczeństwa. Reforma socyalna zaś trzyma się niewzruszenie téj podstawy, owszem usiłuje ją wzmocnić, starając się, jako trafnie powiedział Scheel, poprawić błędne i niebezpieczne następstwa dziś istniejącego gospodarstwa narodowego. Środek, jakiego ta reforma używa, tkwi w przymusie do ofiary, do któréj to ofiary obowiązane będą albo całe społeczeństwo albo niektóre jego części na korzyść innych części. Nie ma innéj drogi do poprawy błędnych następstw systemu opartego na za-

sadzie indywidualizmu. Każda zasada w przesadzie swéj doprowadza do wrzodowatych narośli, które wycięte być mogą tylko przez użycie innéj zasady. Tu zasada leży w reformie socyalnéj. Z siebie samego system dziś istniejący nie mógłby żadnego ratującego środka wydać... Środek przymuszenia społeczeństwa, lub pojedyńczych jego części, do ofiar, sam w sobie nie jest socyalistowskim ani téż socyalizmowi wrót nie otwiéra. Socyalistowskim nie jest, bo formę prawną własności prywatnéj uznaje za dobrą, uprawnioną podstawę życia ekonomicznego. Przymus do ofiary jest z tą podstawą całkiém zgodny. Aż do początku bieżącego stulecia cały ustrój ekonomiczny był tą zasadą przejęty. Istota cechów na niéj się opierała, podobnież ekonomiczna polityka wielkiego Kurfirsta, królów Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka Wielkiego, którzy się tém odznaczali, że chłopu coraz więcéj ciężarów ujmowano, a szlachtę coraz więcéj na korzyść chłopów obciążano. Do kategoryi téj polityki ofiary należy patent regulacyjny z 1811 r., nadający chłopu prawo nabycia na własność pól dotąd do właścicieli majątku należących. Ten przymus do ofiary utwierdza tak historya jak i chrześciaństwo..." etc.

Artykuł ten zrobił wielkie wrażenie, i słusznie. Jeszcze dziś nim się zajmują niektóre dzienniki berlińskie. Przypisują go doradzcom najbliższym cesarza, a nawet bezpośredniemu cesarza natchnieniu. Odkrywa on rąbek zasłony przyszłości.

„W każdéj epoce—powiada Ranke—pojawia się jakaś określona, wielka dążność; postęp zaś zależy na tém, że pewien ruch ducha ludzkiego w każdym peryodzie wybitnieje, to jedną, to drugą dążność chwyta i w téj występuje". Kto wié, czy tą przeważającą dążnością, tendencyą naszéj epoki nie jest w końcu XIX stulecia owa wielka sprawa socyalna, któréj bieżącemi dziś przedstawicielami są: socyalni demokraci, Wilhelm II cesarz niemiecki a pośrodku konferencye międzynarodowe. Ważność życiową tych spraw każdy zapewne pojmuje. Dla tego staraliśmy się, chociaż tak pobieżnie, obznajmić czytelników z najświeższym w tych sprawach objawem, jak on był znany do 20 kwietnia 1890 r., to jest do chwili, w któréj ten artykuł kończymy.

J. Kenig.

PRZEKŁAD „JEROZOLIMY" TASSA

PRZEZ

PIOTRA KOCHANOWSKIEGO,

w stosunku do współczesnego stanu polskiéj poezyi i jéj dalszego rozwoju.

I.

> Omnium polonorum poematum rex jure merito vocatur.
>
> J. A. Załuski, „Bibliot. poetarum", 11.

Literatura polska wieku XVI-go była wyrazem potrzeb i dążeń realnéj przeważnie natury, stąd poezya téj epoki nosi, w większości utworów, satyryczno-dydaktyczny charakter. Wyobraźnia i fantazya, nie znajdując w ówczesnych duszach bodźców ni treści, podrzędną odgrywa rolę w procesie twórczości poetyckiéj. Świadomość wymagań odnoszących się do kompozycyi i stylu, zdolność stworzenia artystycznéj formy, posiada przedewszystkiém Kochanowski, po za nim tylko Szymonowicz i Szarzyński. Z uczuć, religijne głównie odbiło się w szeregu pieśni i przekładów psałterza. Wprawdzie Kochanowski jest przeważnie śpiewakiem, lirykiem, lecz w jego duszy dwa tylko uczucia: religijne i rodzicielskie dosięgły do tego stopnia intensywności, który wznosi duszę na wyżyny natchnienia.

Gdy ruch reformatorski, religijny i polityczny, wypowiedziawszy swe dążenia i nie osiągnąwszy zamierzonych rezultatów, zaczął zanikać (po 1570 r.), literatura utraciła najbogatsze źródło swego bytu i rozwoju. Wtedy to jednostki, dbałe o podniesienie życia duchowego, z Zamojskim na czele, usiłowały zasilić piśmiennictwo narodowe przyswajaniem zasobów umysłowych świata starożytnego. Stąd wy-

nikł ponowny rozwój poezyi łacińskiéj (Szymonowicz, Klonowicz), stąd cały szereg przekładów z literatur starożytnych, stąd próby przeniesienia form greckich do poezyi polskiéj („Odprawa,“ „Sielanki“ Szymonowicza).

Klonowicz, szczęśliwym wiedziony instynktem, w naturze i życiu ludowém znajduje bogaty, nie zużytkowany materyał, lecz nie spotkawszy oddźwięku w sercach czytelników, zwraca się ku satyrze. „*Victoria Deorum*“ i „Worek Judaszów“—to ostatnie, spóźnione owoce prądu pojęć reformatorskich, nieudolne, co do formy i kompozycyi próby posługiwania się formą poematu dla propagandy pojęć moralnych czy społecznych. Poemat przechodzi u Klonowicza w wierszowany traktat o prawdziwém szlachectwie, lub różnych sposobach przyswajania cudzéj własności.

Nim nowe prądy życia narodowego uwydatnią się w wybitnych faktach, nim pod wpływem nowych czynników duchowych i społeczno-politycznych ustalą się nowe pola i drogi działalności, literatura będzie przedstawiać zwykłe cechy epok przejściowych. Przerabianie i powtarzanie myśli, obrazów, zwrotów z utworów Reja i Kochanowskiego u jednych (Paprocki, Grochowski, Zbilitowscy) a opiéranie się na obcych wzorach i pomysłach, stąd brak związku z życiem narodowém u drugich (Szymonowicz i grono tłómaczów: Górnicki, Jędrzéj Kochanowski, Ciekliński, Żebrowski i Otwinowski). Wyrazem świadomości dokonywającego się przekształcenia w stosunkach jest bogata literatura historyczna. Podczas gdy bystrzejsze umysły zajmują głównie doniosłe współczesne wypadki (Heidenstein, Orzelski, Warszewicki), mniéj zdolni, ale za to pracowici szperacze zwracają się ku przeszłości. Paprocki w „Herbach rycerstwa“ (1584) kreśli historyą rodów szlacheckich, małopolskich i wielkopolskich przeważnie, które odgrywały wybitną rolę w kończącéj się epoce. Stryjkowski zaznajamia z dziejami nowo-wstępujących na widownią polityczną prowincyi.

Panowanie Batorego daje nowy impuls działalności społeczeństwa szlacheckiego, otwiérając w wyprawach wojennych pole dla zużytkowania zasobów energii fizycznéj, która w małéj tylko części mogła być spotrzebowaną, w rozwijającéj się dopiéro (we wschodnich prowincyach) pracy rolniczéj i organizującém się życiu publiczném.

Młodzieńcza energia, ruchliwość i liczebna przewaga tych nowych żywiołów, nadały im, mimo niższości umysłowéj i obyczajowéj, przewagę polityczną, któréj nie będą umiały wyzyskać z pożytkiem dla kraju. Tym nowym obywatelom brak przedewszystkiém świadomości potrzeb i interesów ogólno-państwowych, a nawet stanowych, stąd nie można od nich spodziéwać się jakiegoś programatu działania, dążności

reformatorskich, jakie cechowały działalność szlachty małopolskiéj i wielkopolskiéj. Zetknięcie się z wyższą kulturą, z któréj przyswoją sobie przeważnie materyalne formy (ubiór, sprzęty, pokarmy, zwyczaje towarzyskie), pobudzi w młodych duszach popęd do swobodnéj, samowolnéj działalności, pragnienia uciech i bogactw, upodobanie do ruchliwego, zgiełkliwego życia.

Kraków, ognisko religijnego, umysłowego i politycznego życia dawnéj Polski w XV i XVI w., traci swe znaczenie na korzyść Warszawy, która w XVII wieku przedstawia rozległy karawanseraj, obozowisko magnackich rezydencyi i gospód szlacheckich, zalegających obszerne płaskowzgórze (z najwyższém wzniesieniem w Woli elekcyjnéj), którego nadwiślańskie stoki zajmowały ruchliwe, lecz ubogie w cywilizacyjne zasoby miasteczka: Stara i Nowa Warszawa. Szkół, drukarń, ludzi światłych śród mieszczan i duchowieństwa, spotykało się tu bardzo mało, za to głośnemi były warszawskie piwiarnie, winiarnie, zgrabne i zalotne dziewczęta. Górnicki („Rozmowa o elekcyi"), Grochowski („Skarga snu nocnego"), Maszkiewicz i Pasek skreślili jaskrawe obrazki szlacheckich rozrywek w Warszawie.

Niepowodzenie reformatorskich dążeń, utrata dworu popierającego, jeszcze za Batorego, rozwój życia duchowego, wywołały śród Małopolan zobojętnienie dla wyższéj oświaty i stopniowe obniżanie się poziomu umysłowego. Zestawienie pojęć religijnych i politycznych Reja, Kochanowskiego, Górnickiego z przekonaniami Potockiego i Kochowskiego wymownie uwydatnia tę różnicę. Brak bodźców, wywołujących pracę myśli, sprzyjał rozbudzeniu uczuć i wyobraźni. Postępy kultury obyczajowéj rozwijały wrażliwość i delikatność uczuć, które domagały się odpowiedniego pokarmu, podniet, jakich dostarczała religia, poezya, muzyka, życie towarzyskie, miłość.

Zarówno rozgłos świetnych tryumfów oręża w pierwszéj połowie XVII w., jak i smutna konieczność odpierania późniejszych najazdów, powołują całą szlachtę małopolską do służby wojennéj, od któréj tak stroniła w XVI w. Gdy Rej, Trzycieski, Kochanowski, Górnicki nie widzieli nigdy placu boju, to w XVII w. każdy poeta, nie wyłączając dworaka Morsztyna, jest zarazem żołnierzem.

Najwybitniejszą jednak różnicę między XVI a XVII w. przedstawiają pojęcia i uczucia religijne. Po racyonalizmie i krytycyzmie, których krańcowym wyrazem był deizm socyniański, wraca średniowieczna ślepa wiara, pożądająca cudów i przyjmująca za takowe zarówno senne widzenia, jak złudzenia zmysłów, niezrozumiałe zjawiska fizyczne, a wreszcie kłamliwe relacye lub sztuczki wyzyskujących tę skłonność spekulantów. Klonowicz w „Worku Judaszowym" podaje

ciekawe co do tego szczegóły. Jednocześnie kult Chrystusa, jako ideału moralnego (u Reja, Modrzewskiego, Lubelczyka) materyalizuje się poniekąd, przyjmując średniowieczną postać kultu męki odtwarzanéj realistycznie, wstrętnie niekiedy, zarówno w poezyach Miaskowskiego, Kochowskiego, Potockiego, jak i w licznie zakładanych na całym obszarze kraju kalwaryach („Kalwarya Zebrzydowska", 1601 r.). Stopniowo wreszcie kult Maryi występuje na pierwszy plan, wywołując liczne cudowne obrazy i wspaniałe odpusty i obchody koronacyjne. Do poezyi wprowadzają ten kult Sarbiewski i Zimorowicz (1640 r.). Przyczyn téj zmiany szukać należy przedewszystkiém w warunkach psychicznych. Działalność Jezuitów nie wystarczyłaby do wywołania takiego przekształcenia, gdyby nie było gruntu w samych duszach ludzkich. Praca myśli i kontrola samego siebie, jakiéj wymagał protestantyzm, były dla szlachcica polskiego za uciążliwe i zbyt krępujące. Dla kobiet, których uczucia wydelikatnione przez postępy kultury, domagały się odpowiedniego pokarmu, katolicyzm jedynie mógł zadość czynić potrzebom niemowlęcych jeszcze dusz. Kobiéty też odegrały ważną rolę w reakcyi katolickiéj. Im głównie przypisać trzeba zaszczepienie w duszach szlacheckich dewocyi i kultu Maryi. Wyobraźnia i uczucie rozwijały się w duszach młodego pokolenia, bez udziału i kontroli myśli, zaniedbywanéj i zagłodzonéj, w domu czy w szkole.

Skąd to wyniknie, przy dość wysokiéj obyczajowéj ogładzie, przy delikatności i podniosłości nawet uczuć, upodobaniu do poezyi (u szlachty małopolskiéj), ta ograniczoność umysłowa uwydatniająca się czy to w politycznéj działalności (opozycya przeciw Wazom i partyi francuskiéj), czy to w pojęciach naukowych, społecznych i religijnych.

Rzecz naturalna, że to przekształcenie duchowe musi znaleźć swe odbicie w literaturze. Przewaga wyobraźni i uczucia wywoła rozkwit epiki i liryki; zwrócenie energii społeczeństwa na pole wojennéj działalności, dostarczy w licznych wojnach i zwycięstwach, w szeregu wielkich wodzów i rycerzy, materyału dla rycerskich pieśni i poematów. Gorąca religijność uwydatni się również w licznych poematach i pieśniach, przedstawiających nie czyste uczucia i pojęcia religijne, jak pieśni reformatorów z XVI w., lecz przedmioty tych uczuć i same uczucia w szeregach obrazów, porównań uplastyczniających je zmysłowo. Z podobnym relizmem zmysłowym malowane bywają uczucia miłosne, sceny życia towarzyskiego, obrazy obyczajowe. Te drobne fraszki i obrazki obyczajowe stanowią główny węzeł, łączący poezyą wieku XVII z literaturą XVI w.

Przy braku poetów, posiadających świadomość swego zadania i potrzeb duchowych chwili, świadomość celów i środków działania, nie łatwoby poezya polska odpowiedziała nowym wymaganiom i nie wywiązałaby się ze swéj misyi, stosunkowo do ciężkich warunków, tak zadawalniająco, gdyby nie znalazła wzoru i drogowskazu w utworze, który, mimo swego obcego pochodzenia, mimo treści dalekiéj, co do miejsca i czasu, okazał się jednak i sam przez się i przez zmiany wprowadzone przez tłómacza, zarówno postaciami, obrazami, położeniami, jak pojęciami i uczuciami, bliskim, zrozumiałym, zajmującym i ujmującym w wysokim stopniu dla polskiego czytelnika.

Utworem tym była „Jerozolima wyzwolona“ Torkwata Tassa, przełożona, a właściwiéj spolszczona, przez Piotra Kochanowskiego i wydana 1618 r. w Krakowie.

II.

Poemat Tassa, ogłoszony drukiem w 1580 r., stanowi dla poezyi włoskiéj, ostatni, najwyższy szczebel w rozwoju epopei rycerskiéj, któréj punkt wyjścia stanowią naiwne „Reali di Francia.“ Ten rycersko-romantyczny świat, którego obrazami od lat dziecięcych karmiła się fantazya poety [1]), uległ w jego duszy marzycielskiéj, uczuciowéj, przejętéj platońsko-chrześciańskim idealizmem, przekształceniu i w formach i w treści. Gdy Ariost, ze swą sceptyczną ironią, olśniewa raczéj niż pociąga czytelnika, fantasmagoryą postaci, położeń, wypadków ze sfery rzeczywistości i ułudy, Tasso wierzy w swe postacie, kocha je i część własnéj duszy, uczuć zwłaszcza, udziela bohatérom i bohatérkom. Jego urocze Saracenki czują, mówią i postępują, jak piękne i szlachetne damy dworu w Ferrarze, na którym, pod okiem księżniczek (Eleonory i Lukrecyi), poeta tworzył i odczytywał częściowo „Jerozolimę.“ Nic więc dziwnego, że Krzyżowcy poematu przypominają więcéj uczestników zabaw dworskich i turniejów książęcych z XVI w., niż prostaczych, gwałtownych, mężnych, lecz niesfornych towarzyszów Goffreda.

O życiu polskiego tłómacza posiadamy nieliczne wiadomości. Syn Mikołaja, podstarościego radomskiego, brata Jana, urodził się Piotr Kochanowski w Sycynie 1566 r. Sycyna należała do Mikołaja tylko w połowie; współwłaścicielem był, na podstawie działu z 1572 r., brat jego Jakób. Według regestrów poborowych z 1569 r. płaci Mikołaj

---

[1]) Ojciec Tassa, Bernard, był autorem rycerskiego poematu „Amadys“ (przeróbka z hiszpańskiego).

od 4 łanów (Pawiński, Małopolska, 320). Na tak szczupłéj cząstce wychować starannie kilku synów nie było rzeczą łatwą. Musieli oni w służbie dworskiéj, wojskowéj lub w stanie duchownym szukać chleba. Mikołaj Kochanowski umiéra w 1582 r. Ogłoszone po śmierci „Rotuły“ rzucają sympatyczne światło na jego pojęcia religijne i moralne.

Jeden z synów, Adam pozostaje widocznie na gospodarstwie, drugi, Jan, przywdziewa sukienkę duchowną i dochodzi godności kanonika krakowskiego i gnieźnieńskiego († 1613 r.), trzeci, Mikołaj, żeni się z Podlodowską (w 1601 r.), Piotr zaś szuka chleba w służbie dworskiéj i wojskowéj zapewne. Stosunki z Tenczyńskimi i tytuł „sekretarza królewskiego“ wskazują, w jakich kołach się obracał. W 1598 roku uczestniczy w działach majątkowych, zapewne po dojściu do pełnoletności młodszych braci. W 1603 r. umiéra owdowiała matka, Katarzyna z Jasieńca. W następnym roku spotykamy Piotra na Malcie, gdzie bawi w towarzystwie Bartłomieja Nowodworskiego i bierze udział w morskich wyprawach wojennych. Szczegóły swego pobytu opisywał w listach do Jana Próchnickiego, sekretarza królewskiego (późniéj arcybiskupa lwowskiego), bawiącego w Neapolu z polecenia króla, w sprawie sum neapolitańskich. Próchnicki, wyświęcony na biskupa w Neapolu 1607 r., został przez kawalerów maltańskich wybrany na protektora zakonu w Polsce. Listy, jakie pisywał do Szymona Rudnickiego, bisk. warmińskiego, miały się znajdować w Heilsbergu. Krasicki odszukał tam jeden list Piotra Kochanowskiego z Malty. Kawalerstwo maltańskie tłómacza „Jerozolimy“ jest więc dość prawdopodobne. Domysły o znajomości z Tassem († 1595 r.), który utrzymywał stosunki z Reszką Stanisławem († 1603), posłem polskim w Neapolu, mniéj mają cech prawdopodobieństwa. W 1611 roku bracia Piotra, Adam i Jan kanonik otrzymują przywiléj królewski na wydawanie dzieł Jana Kochanowskiego. W tym czasie zapewne Adam buduje przy kościele w Zwoleniu kaplicę z grobami rodzinnemi. Piotr przyozdabia tę kaplicę, wedle słów nagrobka, obrazami i sprzętami, tudzież uposaża zapisem. Zachęcony przez Tęczyńskiego, podkomorzego królowéj, ogłasza drukiem przekład „Jerozolimy“ w 1618 r. W dwa lata potém umiéra w Krakowie 2-go sierpnia 1620 r. Pochowany u Franciszkanów, otrzymał tablicę grobową z napisem, a jednocześnie brat Adam umieścił drugi nagrobek w Zwoleniu. Napisy grobowe milczą o podróżach i kawalerstwie maltańskim zmarłego [1]).

[1]) Szczegóły biograficzne, oparte przeważnie na pracy ks. Gackiego „O rodzinie Kochanowskich.“

Stopniem kultury umysłowéj nie dorównywa Piotr Kochanowski, ani Tassowi, ani swemu stryjowi, Janowi. Doświadczenie życia wojskowego, żywa wyobraźnia, religijność szczera lecz prostacza, wrażliwość na wdzięki niewieście, rozwinięta we Włoszech zapewne, wreszcie, obok znajomości romansów rycerskich włoskich, pilne oczytanie się w utworach Reja i Jana Kochanowskiego—oto zasoby i cechy umysłowe tłómacza. Wierzy on niewątpliwie w rzeczywistość piekielnych czy czarodziejskich obrazów, które Tasso niezbyt udatnie wytwarza z połączenia postaci i tradycyi cudowności klasycznéj, średniowiecznéj i chrześciańskiéj. Ogładą obyczajową, jak o tém świadczy język przekładu, stoi on niżéj nietylko od Włochów współczesnych, lecz i od polskich dworzan z otoczenia Kochanowskiego i Górnickiego.

Te właściwości wszystkie czynią jednakże Piotra Kochanowskiego bliższym postaciom rycerskim z epoki krucyat, niż był nim Tasso, wychowaniec wykwintnéj cywilizacyi odrodzenia włoskiego. W przekładzie polskim odzyskują na nowo rycerze krzyżowi swą obozową szorstkość, rubaszność, sceny czarodziejskie swą średniowieczną jaskrawość i niesmaczną dziwaczność.

To, co stanowi główną piękność oryginału, delikatny rysunek postaci, subtelne stopniowanie i cieniowanie uczuć, wdzięk, szlachetność i podniosłość, z jakim się wszystkie osoby poematu poruszają, mówią, działają, ta niemożliwa do odtworzenia muzykalność i słodycz języka, odbicie miękkiéj, rozmiłowanéj w platońskim idealizmie duszy, znika i zniknąć musiało w przekładzie polskim, zarówno ze względu na różnicę w rozwoju obu języków, jak téż z powodu warunków duchowych tłómacza i ogółu jego czytelników. Polski tłómacz, opuszczając lub zacierając delikatne rysy i odcienia oryginału, przekształcając wykwintny idealizm, z jakim włoski poeta przedstawia ludzi i rzeczy, na naiwny, często prostaczy realizm, kopiując delikatne freski Tassa, ciężką ręką poczynającego władać pędzlem ucznia, uczynił „Jerozolimę“ tém przystępniejszą i bardziéj pociągającą dla polskich czytelników, nie zdolnych pojąć i ocenić subtelnych piękności oryginału. Bliższe poznanie się z utworem Tassa, w polskiém przekształceniu, odsłoni nam tajemnice jego niezwykłéj popularności i dwuwiekowego przeszło wpływu na poetów i czytelników polskich [1]).

---

[1]) Przekład Kochanowskiego miał ośm wydań: w Krakowie 1618, 1651 i 1687 r., w Warszawie 1772 r., w Połocku 1818 r., we Wrocławiu 1820 r., w Wilnie 1826 r. (według pierwszego wydania) i w Sanoku 1856 r. Nad nowemi przekładami pracowali: Trembecki, Lipiński, Albert Mier, (prozą II pieśń) Euz. Słowacki, wykończył zaś i ogłosił Lud. Kamiński w 1846 r.

III.

Akcya poematu rozpoczyna się zstąpieniem Anioła, oznajmującego Goffredowi, iż wolą jest Pana zastępów, by zgromadził rozproszone i od kilku lat na własną rękę i dla własnych interesów walczące hufce krzyżowców, i poprowadził je pod Jerozolimę. Ta samowolna działalność książąt i rycerzy, żywo przypominała polskiemu czytelnikowi świeże wyprawy ochotnicze w sprawie Dymitra lub hospodarów wołoskich.

Z głównemi postaciami obozu chrześciańskiego poznajemy się w chwili, gdy krzyżowcy, wskutek zabiegów Goffreda, który:

> Zacne panięta, swoje towarzysze
> Zwoływa, którzy po leżach leżeli.
> Gęste śle posły, listy częste pisze,
> Prosi i radzi, aby się zjeżdżali (I, 19)

trybem polskiego rycerstwa nadciągają opieszałe do obozu. Gdy Piotr pustelnik w przemowie swéj poucza rycerzy, że stąd „waśni" między niemi rosną, że wszyscy rządzić jednakowo chcecie

> A wzajem sobie nie ustępujecie...
> . . . .
> Gdzie wszyscy władną, gdzie jeden nie rządzi.
> Który ma w mocy kaźni i nagrody
> Tam rządu nie masz . . . . (I, 31)

dla czytelnika polskiego znikał „wieków przedział", różnica miejsc i plemion. W tém złudzeniu utrzymuje go ciągle tłómacz, podsuwając coraz to jakiś polski rys, obcy oryginałowi.

Zebranemu rycerstwu, po wysłuchaniu przemowy Piotra, naznacza Goffred dzień następny na „popis" (Aby się żołnierz pisał i ukazał). Nazajutrz, skoro świt, każdy jako mógł najstrojniéj ubrany, przybywa tam, „gdzie nad łąkami stał w miejscu hetman". Armia krzyżowców dzieli się na pułki, chorągwie, roty, pod wodzą pułkowników i rotmistrzów, za broń służą „szable" i „rohatyny". W czasie pochodu otaczają się taborem z porozpinanych wozów (VIII, 13, w oryginale mowa o rozłożeniu się obozem). Nietylko jednak zewnętrzne podobieństwo (wskutek zmian i dodatków tłómacza) zbliża te dwa rycerstwa. Ściślejszym węzłem łączy je pokrewieństwo temperamentów, uczuć, pojęć. Wspólną im jest ta burzliwa ochoczość, nieznosząca żadnych karbów. „Łatwiéj szaloną Wisłę nakierować, Łatwiéj wiatr wstrącić... Gdy Krępak z lasów wysokich odziéra" (III, 2), powiada Tasso-Kochanowski, o trudnościach, jakie w przewodniczeniu temu

rycerstwu musiał przezwyciężać „hetman“ Goffred. Oto np. dzielny, lecz ambitny i zawistny Gernand, widząc, iż dowództwo po zabitym Dudonie, ma objąć młodszy od niego Rynald, który: „Nietylko śmie i nietylko prosi, I towarzystwo na się praktykuje“ a Goffred zaś „zachwalstwo to znosi, albo go i sam na to forytuje“ (V, 22), rozwija śród rycerstwa opozycyjną agitacyą i oczernia swego rywala:

„... w towarzystwa nie małéj gromadzie,
Wszystek obracał język uszczypliwy,
Usłyszy Rynald, że nań potwarz kładzie
Nie może wytrwać, ale niecierpliwy,
Dobywszy broni, głosem mu to zada:
Że łże, jako pies, i że fałsz powiada“.

. . . .

Przez pięć tysięcy, podobnom rzekł mało,
Dobytych szabel w ten czas widać było,
Bo co raz ludzi więcéj przybiegało
I na tamten plac gwałtem się kupiło,
Powietrze z głosów pomięszanych drżało“ (V, 26, 28).

W wynikłym stąd pojedynku Rynald zabija Gernanda. Goffred chce surowo ukarać to przekroczenie przepisów wojskowych. Gdy towarzysze wstawiają się za Rynaldem, podnosząc „zacne jego urodzenie, rodowitość i zawołanie“, nieugięty Goffred-Chodkiewicz odpowiada:

Cóż będzie za rząd jeśli źli, zuchwali,
Grzeszyć bezpiecznie bez karania mają,
Nie na toście mi tę buławę dali...

. . . .

Malowanym być nie chcę na urzędzie.
Ja tu hetmanem, ja tu sam chcę rządzić.

. . . .

Możnym i chudszym jednoż prawo będzie (V, 36, 38).

Czyż polski czytelnik, jeśli służył wojskowo za Zygmunta III, nie znalazł w téj scenie wiernego odbicia własnych wspomnień obozowych? Nazwiska rycerzów mogły mu jedynie przypominać, że ma przed sobą obcy utwór, obraz obcego życia.

Ileż to razy w XVII w. przywódzcy obozowych rokoszów, wojskowych konfederacyi, przemawiali do współtowarzyszów słowami Argillana:

A kiedy się bić, kiedy wyciągają
Czasy przewagę albo męstwo jakie:
Nami najgorszą dziurę zatykają,
I na złe razy idziemy wszelakie,
Kiedy zaś zdobycz i łup dzielić mają
Myśmy na stronie i niegodni. (XIII, 65).

Niejednokrotnie do nich możnaby odnieść rysy charakterystyczne włoskiego podżegacza, który: „Na brzegu Trentu zrodzony, zchowany w zwadach, był nocnym domów najezdnikiem, potém banitém, i z ziemi wygnany, łupił po drogach“ (VIII, 58). Tasso powiada, że „wyrósł śród wojen domowych“, Kochanowski zaś, wierny przyjętemu systemowi, wstawia na to miejsce rysy polsko szlacheckiego życia.

Za to na polu walki ten burzliwy indywidualizm wywołuje liczne przykłady niepospolitéj odwagi i dzielności. Rycerze ci, uprawiający sztukę wojenną z namiętném zamiłowaniem, szukający sposobności do popisania się ze swą siłą, zręcznością, odwagą, uważają pole bitwy za arenę, na któréj mają swój artyzm rycerski uwydatnić. Walczyć w zwartych szeregach to rzecz motłochu, harc popisowy, pojedynek ze znakomitym przeciwnikiem, oto jedynie godne rycerza zadanie. Pod okopami Chocima powtarzają się podobne harce, rozwija się ten sam rodzaj sportu wojennego, jakiego obrazy, z pod murów Jerozolimy, kreśli nam poeta włoski. Bohaterski odwrót Żółkiewskiego pod osłoną taboru, zakończony rzezią cecorską, ma w Jerozolimie odpowiedni epizod w pochodzie i zagładzie oddziału królewicza Swenona (VIII), który pod osłoną „pozpinanych wozów“ posuwa się osaczony przez przeważne siły i ginie wraz z swoim hufcem śmiercią rycerską i męczeńską zarazem. Gdy z całego hufca została się mała garstka,

Królewicz . . . . widzący
Pobite pierwsze swoje wojowniki:
Nie dał tego znać, tak do swych mówiący:
Mamy, o bracia, dobre przewodniki
I my za niemi, w niebo ich przykładem
Idźmy . . . .
I wesół z śmierci, że już była bliska,
Niósł piersi pełne niebieskiéj ochoty:
Nieprzyjaciel nań zewsząd gęste ciska
Miecze, kopie, strzały, ostre groty.
. . . . że jego ciało
Skłóte, jedną się tylko raną zdało.
Nie żywot trzyma, ale niepożyty
Węzeł dzielności, członki już zemdlałe,
Kole sam skłóty, i bije sam zbity,
I w skłutem ciele serce jeszcze śmiałe. (VIII, 21, 23)

Gdy wreszcie padł pod gradem pocisków, z martwéj ręki nie wypuścił miecza, „drugą do piersi nabożnie przykładał, tak jakoby się za grzechy spowiadał“. Dzieje wojenne nasze przedstawiają niejeden przykład takiéj śmierci, po nad którą zespolenie i podniecenie rycerskich, narodowych i religijnych uczuć roztaczało niejako aureolę męczeńską. Czy na polach Cecory czy na murach Częstocho-

wy w sercu niejednego z walczących i ginących rycerzy, można było odnaleść to spotęgowanie uczuć, które zgonowi nadawało podniosłość świadomie spełnionego aktu ofiary. Sienkiewicz w śmierci Podbipięty odtworzył obraz takiego męczeńskiego heroizmu.

Łatwiéj było tłómaczowi wprowadzić narodowe rysy do charakterystyki życia obozowego i mas walczących, niż do szeroko rozwiniętych wizerunków głównych bohaterów chrześciańskiego obozu.

I tu jednakże Kochanowski, częścią z konieczności (ubóstwo językowe i trudności formy oktawowéj), częścią pod wpływem przyjętego w pracy systemu, przez zacieranie subtelniejszych rysów, wkładanie w usta polsko-szlacheckich zwrotów i archaistycznych form językowych (liczba podwójna), dokonywa, częściowego przynajmniéj przekształcenia bohaterów Goffredowych na rycerzy z pod Chocima.

Do spotęgowania wywołanego przez to złudzenia, pomaga istotne powinowactwo duchowe pojęć i uczuć, zbliżony stopień kultury obyczajowéj. Goffred, taki, jakim go przedstawia Tasso, z łatwością by się zrozumiał z Chodkiewiczem i wybornie by go zastąpił pod Chocimem.

„Pobożny“ hetman ten, dzieląc z przedniejszymi towarzyszami swemi, dzielność rycerską i zapał religijny, góruje nad nimi siłą moralną, władzą, jaką ma nad własnemi namiętnościami, uczuciami i rozwagą, płynącą z doświadczenia życiowego i wojskowego. To zespolenie rzadko się schodzących przymiotów, w połączeniu z pewną bystrością umysłu, spotykamy również u zwycięzcy z pod Kircholmu. Do spolszczenia postaci Goffreda przyczyniają się najwięcéj jego przemowy, którym tłómacz nadaje czysto polsko-szlachecką barwę. Poznaliśmy powyżéj jedną. Jeszcze wybitniéj cechy te występują w chwili, gdy Goffred widząc, że żaden z jego rycerzy nie śmié wystąpić do boju z dzielnym saraceńskim rycerzem Argantem, zrywa się oburzony i sam chce stanąć po pojedynku:

> . . . . porwał się z ławy,
> Co w nim żal i gniew pobożny sprawował:
> Byłbych pry, nie mąż lecz niewieściuch prawy
> Gdziebych żywota dziś nie odżałował,
> I gdziebym sławę memu narodowi
> Zdeptać dopuścić miał poganinowi. (VII, 60)

Inni rycerze, jak potężnéj ręki i wielkiego serca Tankred, gorący lecz młodzieńczo-lekkomyślny Rynald, rycerskość swą uwydatniają działalnością na placu boju, zaś słowami wynurzają częściéj uczucia i pojęcia natury romantycznéj, stąd trudno było tłómaczowi

zastosować do tych postaci system polszczenia. Za to saraceński Argant:

> Wściekły, okrutny, hardy, niecierpliwy
> A wszystką słuszność w szabli swéj położył.

Gdy sułtan jerozolimski chce używać czarów przeciw chrześcianom, Argant, odradzając, powiada:

> W te bałamuctwa my się nie wdawajmy,
> Szabla rzecz nasza i téj się trzymajmy.

Z ust saraceńskich wychodzą słowa, które w drugiéj połowie XVII w. stały się hasłem rycerzy Czarneckiego:

> Dla wiary wszystko uczynić się godzi
> I dla ojczyzny, bo to społem chodzi. (IV, 26).

W innéın miejscu znów Argant powiada:

> To wiem, że umrę, szablę w rękę mając,
> Sławy i śmierci poczciwéj szukając. (XI, 5)

Nie ufając chrześcianom, zamieszkałym w Jerozolimie, sułtan wysyła ich „na Ukrainę“ (II, 54). Piękna Armida, godząc zabierających się do bójki, zawistnych o jéj względy rywalów, powiada:

> . . . . . że mnie przybywa czeladzi
> A towarzystwo tobie, cóż, pry, wadzi. (V, 83)

Czysto polską jest także kłótnia dwu saraceńskich rycerzy, przechwalających się przed królem i Armidą ze swego męstwa. Tyzafern na przechwałki Adrasta woła rozjątrzony:

> „A tyś kto, prawi, który tak zuchwale
> Mówisz przy królu, przy nas chłopie gruby,
> Milczą tu drudzy, choć mężniejszy: A ty
> Tak się skoro wprzód wymykasz przed swaty.
> Odpowie Adrast: ja nie mówię wiele
> I daremnych słów nierad puszczam z gęby,
> Ale by nie tu, nie rzekłbyś tak śmiele,
> I po ziemibyś pewnie zbierał zęby. (XVII, 50, 51)

Jak polską również jest opowieść rycerza o znalezieniu zwłok bez głowy, w których domyślano się trupa znikłego Rynalda.

> „Obaczę chłopa niedaleko, który
> Tę samę tylko powiadał nowinę,
> Że wczora kiedy bydło pasł z chłopięty
> Zajrzawszy konnych, skrył się w rokicinę
> . . . .
> I serdeczniem go, Bóg widzi, żałował. (VIII, 54, 55)

Jak widzimy, krzyżowcy i saraceni rozmawiają i opowiadają językiem, z którym spotkamy się dopiéro w opowiadaniach Soplicy i po-

wieściach Sienkiewicza. A przecież drukowano to w 1618 r. Jedynym skutecznym hamulcem na te, popędami rządzące się natury, było uczucie religijne, które w danych chwilach wybucha w najprostszéj formie afektu wstrząsającego cały organizm, wywołującego spazmatyczny płacz i westchnienia. Gdy hufce krzyżowców spostrzegają po raz pierwszy mury Jerozolimy, po wykrzyku radości, następuje chwila rozrzewnienia:

Późniéj, w nabożne myśli nastąpiła
Pełna pokory Bogu miłéj skrucha,
A bezwątpienia sama to sprawiła
Łaska świętego, w twardych sercach ducha.
Nie śmie, wzrok śmiele, patrzyć upłakany
Tam kędy odniósł Bóg śmiertelne rany.
. . . .
Ciche wzdychania, słowa przerywane,
Łzy a łykanie tylko słyszeć było
. . . .

Ten udatny, w oryginale zwłaszcza, obraz wzruszenia religijnego burzliwych krzyżowców, odtwarzał również stan duszy husarza polskiego, gdy w przerwach między jedną a drugą wyprawą, odbywał pobożną pielgrzymkę do jednéj z licznych Kalwaryi, lub cudownego obrazu Matki Boskiéj, by spowiedzią uspokoić sumienie obciążone licznemi wybrykami życia wojskowego. W procesyi obozowéj, jaką maluje Tasso (XI, 4—13), nieraz uczestniczył rycerz polski, polecając Bogu los walki i własną duszę. Uczucia religijne, jakkolwiek stanowiły tak silny bodziec wypraw krzyżowych, w poemacie włoskim występują dość skąpo i blado. Katolicyzm Tassa był przeważnie artystycznéj natury a jego zasadnicze pojęcia religijne opierały się więcéj na Platonie, niż na Piśmie Świętém. Umieszczając na czele poematu wezwanie do Muzy, która w gwiazd koronie i gronem błogosławionych otoczona, unosi się w sferach niebiańskich, Tasso uosobiał tu niejako w dziewiczéj postaci ideę piękna, która ma jak Beatricze przewodniczyć mu w pracy artystycznéj; tłómacz oddając „Musa“ przez „Panno“ nadał obrazowi wyraźnie katolickie piętno. Ten sam stosunek między wybitnie katolickim charakterem przekładu, a platońsko-dantejskiemi obrazami sfer niebiańskich w oryginale, spotykamy w wielu innych miejscach.

Gdy Tasso przedstawia nam (IX, 56) króla niebios, który „dobry i sprawiedliwy daje wszystkiemu prawa, wszystko ozdabia i wytwarza w ciasnym obszarze niskiego świata skąd ni zmysłami ni rozumem człowiek go dosięgnąć nie może“, polski tłómacz podstawia w to miejsce rysy z Psałterza (w przekładzie Jana Kochanowskiego) i powiada:

Płaszczem odziany chwały i wieczności,
Mając wszystkie swe stworzenia na pieczy:
Siedział na tronie swojéj wielmożności,
Kędy zmysł nigdy nie dojdzie człowieczy.

Kiedy wspominając o modłach zanoszonych przez obrońców Jerozolimy, Tasso zaznacza ich bezskuteczność, posiłkując się przytém dantejskim obrazem:

. . . . . ne fur le voci intese
Laggiù tra il pianto dell'eterna morte,

tłómacz niesmacznie i nielogicznie przerabiając, powiada:

. . . . . lecz w piekle fałszywy
Bóg tego nie chciał rozumieć języka. (XI, 30)

Rzecz naturalna, iż nieprzystępném było polskiemu poecie filozoficzne stanowisko, z jakiego oceniał Tasso dzieje ludzkości, gdy przedstawiając Solimana przypatrującego się ostatecznemu szturmowi krzyżowców powiada:

Mirò, quasi in teatro ad in agone
L'aspra tragedia dello stato umano
. . . .
E i gran giocchi del caso e della sorte.

W polskim przekładzie czytamy:

I widział, jako odmienna mieszała
Fortuna rzeczy rodzaju ludzkiego. (XX, 73)

W inném znów miejscu włoskie: „*Onde piace lassù*“ przekłada Kochanowski: „Bóg w dyamencie wyrok ten wykował“.

IV.

Najwdzięczniejszemi i najudatniéj skreślonemi postaciami Jerozolimy są trzy urocze saracenki: Kolrynda, Erminia i Armida. Dzieje ich uczuć, podbojów, przygód, wypełniają przeważną część poematu. Właściwa akcya wojenna stanowi jakby tylko tło dla szeroko rozwiniętych scen romantycznych. Choć tłómacz poopuszcza i pozaciera wszystkie delikatniejsze linie i odcienie, choć w usta saracenek, zamiast wykwintnéj mowy włoskich dworów, włoży często rubaszne zwroty obozowéj polszczyzny, przecież nawet w tych węglowych kopiach z rysunków Tassa, Rafaela poezyi, pozostanie tyle piękna, iż dla polskich poetów, do czasów Mickiewicza, stanowić one będą wzory niedoścignione.

Piękność tych postaci i obrazów jeżeli nie ocenić to odczuć umieli już polscy czytelnicy XVII w. Rozszerzenie śród szlachty, przy po-

mocy szkół jezuickich ogłady umysłowéj, opartéj na humanistycznéj oświacie, podniesienie dobrobytu i kultury obyczajowéj, umożliwiało to uszlachetnienie stosunków między mężczyzną a kobietą, jakiemu towarzyszy zidealizowanie uczuć miłosnych.

W poemacie Tassa spotykał polski czytelnik po raz pierwszy zarówno obrazy nieprzepartéj potęgi i uszlachetniającego wpływu jak i różnorodne formy i stopnie miłości. Pierwiastek zmysłowy występuje tu jedynie — z piętnem czarodziejskiego uwiedzenia — w obrazie pobytu Rynalda, w zaczarowanych ogrodach Armidy — zresztą wszędzie miłość przedstawiona jest jako czynnik idealny, pobudzający do poświęceń, uszlachetniający człowieka. Zaraz na początku, w drugiéj pieśni poematu mieści się głośny w swoim czasie, ustęp o Sofronii i Olindzie. Chrześcianka Sofronia dla odwrócenia kary, grożącéj jéj współwyznawcom za porwanie z meczetu, umieszczonego tam obrazu chrześciańskiego, bierze dobrowolnie na siebie winę i ma ponieść karę śmierci. Na wieść o tém, kochający ją bez wzajemności Olind, śpieszy do sądu i siebie za winowajcę podaje. Zdumiony i rozgniewany tém niepojętém mu współubieganiem się o śmierć, sułtan skazuje oboje na stos. Olind uszczęśliwiony, wynurza swe uczucia, przywiązanéj do jednego z nim pala, Sofronii. W stanowczéj chwili pojawia się śpiesząca na pomoc zagrożonéj Jerozolimie, rycerska saracenka Klorynda i rozczulona poświęceniem się téj pary, uwalnia swém wstawiennictwem od śmierci.

Przez dwa wieki opowieść ta, stanowiąca epizod bez związku z całością poematu — rozrzewniała polskich czytelników, nie zrażających się wcale, wobec podniosłości uczuć i poświęceń, trywialnością formy, jaką jéj tłómacz nadawał. Stanąwszy przed sądem woła polski Olind: „Nie wierz jéj królu, plotkić powiadała“ (*Non é, non é gia rea...*). Słowa Tassa („*Mentre sono in tal rischio*“), odnoszące się do grożącéj obojgu śmierci, oddaje Kochanowski trywialnie przez: „Już ich tylko co w ogień nie włożyli“.

Epizod ten wprowadza na widownią Kloryndę, o któréj powiada poeta:

> Do igły i do wrzeciona niechciała
> Nigdy obrócić swojéj pysznéj ręki.
> Miękką twarz i strój pieszczony złożyła
> A męską na się podstawę włożyła.
> Jeszcze z dziewczyny była nie wyrosła,
> A już szalone konie objeżdżała:
> Kopię w ręku, miecz u boku niosła,
> Łuk tęgi dziewczą ręką wyciągała,
> A jeśli w lasy na łów, kiedy poszła
> Nie raz się ze lwy mężnie uganiała.

Wprawdzie i na obszarze rzeczypospolitéj, jak świadczą opowiadania Rollego (Niewiasty kresowe), bywały kobiety odznaczające się siłą męską, odwagą i wojowniczemi popędami, lecz zbywało im na téj szlachetności uczuć, rycerskości ducha, które wraz z niezwykłą urodą i wdziękiem czynią z Kloryndy kobiétę wyższą, pięknością i energią ciała i ducha, nie zaś tylko wojowniczą amazonkę. Wraz z kilkoma pokoleniami czytelników i tłómacz uległ czarowi téj postaci, wrażeniu jakiego doznaje wyobraźnia wobec artystycznie odtworzonéj sceny odsłonięcia się oblicza Kloryndy z pod szyszaka, strąconego kopią Tankreda, który zamiast walczyć z uroczą przeciwniczką, wynurza jéj w ognistych słowach swą miłość:

I spadł jéj z głowy na ziemię, że potym
Błysnęła twarzą i warkoczem złotym.
Oczy się jako słońca, rozświeciły,
Wdzięczne, chocia się była rozgniewała:
Cóż kiedyby się do śmiechu skłoniły,
Cóż kiedyby w nich łaskę ukazała.

Olśniony tém uroczém zjawiskiem Tankred:

. . . . skamieniały
I jako martwy, w ziemię wryty stoi,
Ona naciéra, on na inszych śmiały
Téj się obrazić, jéj się ranić boi.
. . . .
Jéj pięknéj twarzy pilnuje w pogoni
Mówi sam z sobą: otom nieraniony,
Chociaż mam ciężkie rany od jéj broni.
Ale te cięcia, które wypadają
Z jéj pięknéj twarzy, w serce ugadzają.

Gdy Klorynda na propozycyą Tankreda, ustępuje z głównéj linii walki, sądząc, że chodzi o wybór miejsca dogodniejszego do odbycia pojedynku, on tymczasem zamiast kruszyć kopią, atakuje piękną przeciwniczkę ognistą deklaracyą swych uczuć:

Nim dobrowolnie umrę od żałości,
Wydrzyj mi serce albo utnij głowę,
Kiedy mieć niechcesz nademną litości;
Twoje to serce, a jeśli go żywo
Niechcesz mieć, niechaj umrze kiedy krzywo.

W chwili tego miłosnego wyznania, jeden z przebiegających rycerzy chrześciańskich rani w przelocie odsłoniętą głowę Kloryndy:

. . . raz był słaby jako to kwapiony:
Jej warkocz złoty taki miał blask nowy,
Kilką kropli krwie rumianéj zmoczony,
Jaki więc miéwa kamień rubinowy,
Misterną ręką w złoto oprawiony.

Na widok ten Tankred rzuca się w pogoń za napastnikiem, a Kloryn-da zdumiała nie umié sobie zdać sprawy z tego, co koło niéj zaszło. Niewątpliwie większa część czytelników polskich podzielała uczucia Tankreda i w wyobraźni swéj goniła za tym zuchwalcem, który śmiał zadrasnąć Kloryndę, tém piękniejszą jeszcze z krwawemi rubinami na złotym warkoczu.

Dla tych, którym gwiaździste oczy i złoty warkocz nie wystarczał, Armida roztaczała całą pełnią wdzięków niewieścich nie ukrytych pod pancerzem.

> Włos z przyrodzenia ukędzierzawiony
> Puszczony na wiatr, w pierścienie się wije.
> Wzrok sam w swe oczy wszystek zgromadzony
> I skarb miłości i swój własny kryje.
> . . . .
> Śnieg biały z piersi i z szyje wynikał
> Gdzie ma swe gniazdo miłość przeraźliwa:
> Mniejsza część piersi na wierzch się wymyka.
> Większą część kryje szata zazdrościwa,
> Ale chociaż je przed okiem zamyka,
> Przechodzi rąbek i szatę myśl chciwa. (IV, 30, 31).

Była to synowica sułtana jerozolimskiego, która chcąc przyjść z pomocą sprawie saraceńskiéj, postanawia potęgą swéj piękności i przy udziale duchów piekielnych, którymi się posługuje, uprowadzić z obozu chrześciańskiego najdzielniejszych rycerzy. Przybrawszy rolę skrzywdzonéj i wygnanéj z własnego księstwa władczyni, przybywa do Goffreda ze skargą i prośbą o pomoc w nieszczęściu. Pobożnego wodza nie zmiękczyły ni łzy, ni kokieterya czarodziejki, lecz rycerstwo za to, gdyby nie interwencya Goffreda, byłoby gromadnie za nią pośpieszyło. Prócz dziesięciu losem wybranych, mnóstwo potajemnie opuszcza obóz, by zasłużyć się uroczéj księżniczce. Między niemi znajduje się młodziutki i piękny „jak Kupido“ Rynald, którego Armida osadza pod strażą duchów, w swym zaczarowanym pałacu. Któryż z czytelników nie pozazdrościł mu tego losu?

Dla tych co od ideału niewieściego wymagali prostoty, tkliwości, nieśmiałości, których więcéj zachwycało tajone, łzami się objawiające uczucie, niż rycerska dzielność Kloryndy lub zimna kokieterya Armidy, stworzył poeta uroczą Erminię, jakby dziewczę z polskiego dworku szlacheckiego, kochające wojaka, bawiącego na niebezpiecznéj wyprawie i zalewające się łzami na myśl o możliwym jego zgonie. Ukochanym tym jest rycerz i bohater chrześciański—Tankred. On to przy szturmie miasta, w którym władał ojciec Erminii, wyrwał ją wraz z matką z rąk rozjuszonego żołnierstwa i najtroskliwszą otoczył

opieką. Utraciwszy rodziców, znajduje Erminia schronienie w Jerozolimie, gdzie przebywa na dworze sułtana wraz z Kloryndą. Wdzięczność dla szlachetnego wybawcy przerodziła się w miłość bez nadziei, tém silniejszą, iż tajoną przed całém otoczeniem. Z murów miasta śledzi z utęsknieniem i niepokojem przebieg każdego boju.

> Łzy bez przestanku smętnie wylewała
> Z frasunku, strachu, żalu, z niepokoju,
> Nakoniec już łez tak wiele nie miała,
> . . . .
> A wszystka srodze wyschła i wybladła.

Pomimo iż z Kloryndą:

> Bardzo się w sobie obiedwie kochały,
> Na jednéj z sobą pościeli sypiały,
> Jedna się drugiéj wszystkiego zwierzała;

miłość swą kryła przed przyjaciółką:

> A mając często zapłakane oczy:
> Gdy o przyczynę Kierynda pytała,
> Wszystko na swój stan składała sierocy. (VI, 79, 80)

Na wiadomość, iż Tankred ranny leży w namiocie, zdobywa się na rozpaczliwą energią. Przywdziewa zbroję Kloryndy, by w tém przebraniu dostać się do obozu chrześciańskiego i pielęgnować rannego.

> Noc na się była rąbek z gwiazd włożyła,
> A niebo jasne świeciło pogodnie,
> Już i Cynthia pełna prowadziła
> Swe złote wozy między mniejsze ognie;
> Erminia téż swoje rozłożyła,
> Pospołu z niebem, gorące pochodnie,
> Czyniąc ich świadkiem: życzliwe milczenie
> I nieme pola i miesięczne cienie.
> . . . .
> Więc po poświecie szata się bielała,
> A na szyszaku tygrys się błyszczała (VI, 103, 106).

Romantycznie ale niepraktycznie obmyślana wyprawa nie prowadzi do celu. Siły zawodzą Erminię. Spłoszona przez rycerzy chrześciańskich, ucieka ponoszona przez konia:

> Wodze puściwszy za łęk się trzymała,
> A koń ją, gdzie chce, po krzewinie niesie.

Spłoszony rumak zatrzymuje się dopiéro śród puszczy, gdzie Erminia znajduje schronienie w chacie starego pasterza. Zbroją swoją wywołuje przestrach w cichéj ustroni:

> Ujrzawszy zbroję, poczęły przez płoty
> Uciekać w gęstwę dzieci wylęknione:
> Erminia im włos ukaże złoty,
> Z hełmu i oczy do śmiechu skłonione.

Przywdziawszy strój wieśniaczy bierze udział w czynnościach pastuszéj rodziny:

> Lub owce pasie, lubo ogród piele,
> Lub z lasu bydło do domu zwoływa,
> Lub krosien, lubo pilnuje kądziele,
> Lub z motowideł na kłębki prządziona
> Zwija.... (VII, 17, 18)

Tłómacz polszczy ten sielankowy obrazek, dodając obce oryginałowi szczegóły. (Płoty, pielenie, krosna, motowidła, przędziwo). Po wielu trudach i przygodach ziszcza swe pragnienia Erminia, spotyka Tankreda, ale ciężko rannego i bezprzytomnie leżącego na pobojowisku. Zrospaczona, własny rąbek drze na opatrunek, obciętych warkoczy używa do przewiązania. Przywrócony do zmysłów, rycerz pyta ze zdumieniem:

> A tyś kto? droga, o lekarko moja!
> . . . .
> Pełznęła wstydem na on czas dziewczyna (XIX, 114).

Nawet Armida, ze zdradliwéj zwodnicy, używającéj wdzięków na zgubę rycerzy, zapłonęła namiętnym uczuciem dla Rynalda i gdy ten wydostał się z jéj zaczarowanego pałacu, nie waha się błagać go o litość nad opuszczoną.

> Chciała zawołać: postój, postój mało,
> Ale nie mogła od żalu wielkiego
> Wymówić dobrze i słowo musiało
> Wrócić się nazad do serca smutnego.
> Tak była pyszna, i tak pełna wzgardy,
> Że w saméj sobie tylko się kochała,
> Chciała, żeby ją miłowali wszyscy,
> Lecz wszystkich przecie miała w nienawiści,
> A teraz tego, widząc się wzgardzoną,
> Który nią gardzi, goni . . . . .
> . . . .
> . . . . Ciebie, oh nieboga,
> Ciebie, ach mieć chce samego za Boga.

Zaklina go, by pozwolił jéj iść za sobą, chce być mu sługą, niewolnicą; widząc, że prośby jéj nic odnoszą skutku, pada bez przytomności.

Rynaldowi się téż serce kraje, tłumi tylko łzy i westchnienie, z jakiemi, idąc za głosem obowiązku i honoru, opuszcza rozkoszną siedzibę i jéj uroczą władczynię. W myśli mu się przesuwają owe tak świeże:

> Pieszczone gniewy, nieszczyre odmowy,
> Prędkie jednania, miękkie całowania,
> Ucieszne śmiechy, łagodne rozmowy,
> Krople słodkich łez, ucięte wzdychania.

Przypomina sobie, jak się czuł szczęśliwy, gdy

. . . ona głowę do niego schyliwszy,
Ssie wdzięczne usta . . . . .
. . . . gdy wzrok w gładki kryształ kładła,
Czynił z jéj oczu wesołych zwierciadła.
. . . że ledwie dusza w onym czasie
Nie zbiegła do niéj . . . .
. . . .
Cóż, kiedy w śmiech twarz wesołą oblecze,
Kamienie miękczy: cóż serce człowiecze.

Cóż dziwnego, że miłość do Kloryndy, o tyle wyższéj pięknością ducha nad Armidą, tak góruje w sercu Tankreda nad innemi uczuciami, że zapomina często o obowiązkach rycerza-krzyżowca. Chrzest Armidy, niezręcznie przyczepiony do sceny jéj zgonu, ma służyć niejako za usprawiedliwienie i uświęcenie miłości Tankreda i sympatyi poety dla rycerskiéj i szlachetnéj saracenki, która w chwili zgonu:

Mało co pierwszéj straciwszy piękności,
Jako lilia białą barwą bladła:
Na jasne niebo, zda się, że z litości,
Gdy w nią patrzyło, czarna chmura padła.

Nieszczęśliwy Tankred, mimowiedny zabójca, wzywa śmierci, któraby położyła koniec jego cierpieniom i połączyła „z szlachetną duszą, co go uprzedzała.“ Nieustraszony rycerz na widok zwłok ukochanéj „mdleje trupowi również.“ Przyszedłszy do przytomności, zrywa opatrunek z własnych ran, chcąc sobie zgon przyspieszyć. Surowo skarcony przez Piotra pustelnika, który mu przypomina o powinnościach rycerza chrześciańskiego, uspakaja się nieco, lecz cierpiéć nie przestaje.

Lubo wieczorne, lubo wstaje rane
Zorze, jéj woła, jéj płacze, jéj prosi,
Tak jako słowik, co mu nieodziane
Pióry dzieciny, myśliwiec unosi.

Po wielu bezsennych nocach,

. . . . Kiedy świtać poczynało
Między łzy w oczy wpadło mu snu mało.
W tém mu się w szacie gwiazdami natknionéj
Kochana jego przez sen ukazała:
Dobrze piękniejsza i w jasności onéj
Niebieskiéj będąc, poznać mu się dała.
I zdało się, że w postawie skłonionéj
Do śmiechu, łzy mu z oczu ucierała,
Przypatrz się (prawi) teraz méj piękności
I méj ozdobie, a skróć swéj żałości. (XII, 90, 91)

Gdyby nie współczesność, wykluczająca hypotezę pożyczki, możnaby sądzić, iż Kochanowski od Tassa wziął pomysł do ostatniego

trenu. W przekładzie podobieństwo wzrosło jeszcze przez obcy oryginałowi, a z tego trenu wzięty dodatek („w postawie skłonionéj do śmiechu“).

Jak w sercach bohatérów poematu uczucia miłosne górują nad innemi, tak i w poemacie samym główna idea: walki o grób Crystusa, boju między dwoma prądami religijnych uczuć, ustępuje na drugi plan wobec uwydatnionéj we wszystkich prawie postaciach, i przeprowadzonéj z całą potęgą talentu i zapału, idei: zwycięstwa miłości, jako najwyższéj potęgi duchowéj, któréj zadaniem jest przekształcać bolesną tragedyę życia ludzkiego w harmonijną pieśń szczęścia. Cała przyroda wraz z człowiekiem podlega potędze tego uczucia:

> Znać ją w jaworze, znać ją w twardym dębie.
> Lipy, topole miłość wydawały
> W ziemię i w wodę i w każde stworzenie
> Pożądną miłość lało przyrodzenie.

Jak róża „co w półwychylona dopiéro swoje opowiada przyjście,“ aliści po chwili przekwita i więdnie „i już się nie godzi na wieńce,“ tak w życiu człowieka przemija szybko „kwiat wesołéj młodości“ i „choć się kwiecień wraca w każdém lecie, on więcéj nie kcie,“ przeto „póki w świeżym kwiecie, zbierajmy różę pożądnéj miłości póki nie zwiędnie“ (XVI, 14, 16). To wezwanie, jakkolwiek wygłoszone przez czarodziejskiego ptaka w ogrodzie Armidy, ale płynące niewątpliwie z niezawsze czysto platonicznie nastrojonego serca poety, znalazło żywy odgłos w sercach polskich czytelników.

Tłómacz sam, ulegając czarowi obrazów i języka w scenach miłosnych, odtworzył je, dzięki pobudzeniu wyobraźni, z możliwą wiernością i harmonią treści z formą, zdobywając się niekiedy na szczęśliwe oddanie subtelnych rysów. Kiedy np. mówi o Armidzie:

> Jako drży promień na wodę ciśniony,
> Tak niespokojne źrenice toczyła.

lub gdy Rynald prosi, by wzrok swój odwróciła ze zwierciadła ku niemu:

> Czy nie wiesz, że twych piękności prawdziwy
> Wyraz jest ogień i moje zapały,
> I lepiéj ci ich cudowny kształt, moje
> Serce ukaże, niż zwierciadło twoje.
> . . . .
> Wierciadła godne ciebie, samy nieba.
> W gwiazdach ci patrzéć twych podobieństw trzeba.

Takich ustępów nie powstydziłby się i Słowacki, który nie darmo woził ze sobą po świecie „Jerozolimę“ w przekładzie Kochanowskiego.

(*D. n.*) *Bronisław Chlebowski.*

KOLEDZY.

(Z OGÓLNEGO ZBIORU SZKICÓW POD NAPISEM: „PORWANE NICI“).

Przedzwoniły dzwony wszystkie, poważnych, o złotych kopułach świątyń kijowskich; swarliwe echa pochwyciły ich dźwięki, za szeroki Dniepr zaniosły i rozlały się pieśnią cichych westchnień i skarg i na bezmiernych równinach niw czerniehowskich. Szybko, szybko zaczęły zmierzchy rozciągać panowanie swoje nad starym grodem; świeciły jeszcze góry, lecz prędko mrok je pokrył — paliły się jeszcze czerwonym blaskiem krzyże na cerkwiach, lecz i te zgasły. Noc cicha, gwiaździstą szatą utuliła Kijów prastary.

Ale nie ustawał gwar miejski, przeciwnie, zdawało się, że większéj mocy nabrał i brzmiał tysiącem głosów rozbudzonego życia, napełnił wszystkie ulice, do każdego zajrzał kąta i rozlał się szeroko jakąś zmieszaną muzyką turkotu, szumu i dźwięków przeróżnych.

Noc cicha, majowa—nie spać stutysięcznemu miastu.

Więc krzyżowały się pojazdy, na chodnikach tłoczyli się przechodnie, smętnemi tonami walca odzywały się kataryNki, z ogródków dolatywały dźwięki dobranéj już orkiestry, a z zaułkowych restauracyi brzmiały, z małemi przestankami, bałamutne arf skargi, wtórując fałszywym piosnkom artystek wędrownych.

Gwar ten i szum rozbawionego miasta nie dochodził jednak do uszu mieszkańców czwartego piętra, którzy, równie oddani zabawie, przestronny dość pokój o trzech oknach napełnili wrzawą ze śmiechem połączoną i popielatym dymem cygar i papierosów.

Było to mieszkanie młodzieży studenckiéj, o czém świadczyły i łóżka z pomiętą pościelą i różne rodzaje bielizny po ziemi rozrzuconéj, to rozwieszonéj na poręczach krzeseł i klamce jedynych drzwi

wchodowych, zresztą książki i papiery leżące bezładnie po kątach. Dym tytoniowy snuł się szaremi pasmami, wiły się w powietrzu kółka misternie puszczane, na stole zaś paliła się niewielka lampka naftowa z przekrzywionem na bakier szkiełkiem i spoczywały resztki niewybrednéj biesiady i kilka wypróżnionych butelek piwa.

Usypiał Kijów stary na górach swoich, strzał z cytadeli oznajmił północ, ale sen nie kleił oczu rozbawionéj gromadki, z ust śmiechu nie strącał, swobodnéj, wesołéj, jasném okiem patrzącéj w przyszłość młodzieży. A wtórował ich pieśni Dniepr-bat'ko, odwieczny ziemi ruskiéj strażnik, i szumiał — szafirowemi falami, tocząc się w morze Czarne.

Gród Izasławów spał—na czwartém piętrze wrzało, jak w kotle.

Stępiono ostrze dowcipów, odśpiéwano majufes, a gdy na zakończenie ktoś zaintonował: *Gaudeamus!..* rozszerzyły się piersi, spotężniały głosy i pieśń młodości z wulkaniczną wybuchła siłą:

„Gaudeamus igitur...“

— Stójcie! — zawołał nagle jeden z właścicieli nieposłanego łóżka, plączącym się nieco językiem od kilku kieliszków wypitéj wódki,— wszystkie mi guziki od kamizelki pękły, gdy basem, niebywałym dotąd, chciałem „*jugitur*“ wyciągnąć.

Śmiech buchnął i jednocześnie prawie, jak na umówiony znak, zawołano:

— Niech żyje Jugitur!

Od dnia tego Ewaryst Strzałkowski Jugiturem pozostał.

— Moi kochani!—zawołał nowo-chrzczeniec —ja żadnych wiwatów bez szlachetnego napoju nie przyjmuję.

— Musisz, choćbyś nie chciał — odezwał się tubalnym głosem Jan Wąsowski—boś prawie sam wszystko piwo wychlał.

— Ale za to odpłacę wam specyałem, jakiegoście w życiu swojém nie próbowali—odpowiedział Jugitur.

To mówiąc schylił się i wlazł niemal cały pod łóżko.

— Co on stamtąd wyciągnie?— rzucił Kazik.

— Jakiś dekokt spreparowany przez siebie.

— Jugitur! — zawołało głosów kilka — nie my chyba do ciebie, lecz ty do nas tym specyałem przypijać będziesz.

— Nie zaklinajcie się tylko — odezwał się z pod łóżka głos Jugitura.

I wygramoliwszy się napowrót, stanął rozpromieniony przed zaciekawionemi kolegami, trzymając w ręku jakiś przedmiot pękaty.

— Aha!—zawołał, wyciągając dłoń z omszoną butelką starego wina... *Hungaricum!*

— Królu! cudotwórco!... a skądżeś ty przyszedł do posiadania skarbu tego?

Wrzawa się wzmogła, wszyscy otoczyli Jugitura, chcąc z rąk mu wychwycić pleśnią lat pokrytą butelczynę i jak najprędzéj zajrzéć do jéj wnętrza.

— Poczekajcie parweniusze — bronił się Ewaryst — pierwéj powąchać.

Wkręcił korkociąg, wziął między kolana butelkę i rozdymając policzki, które mu krwią nabiegły, korek z trzaskiem wydobył.

— Nosy!—zakomenderował.

Rzucono się z hałasem wielkim.

— A! plemię z Ziemi Ognistéj — huknął Jugitur, chowając butelczynę za plecy. Nie wszyscy razem, ani z takim harmiderem hałastry ulicznéj. Przecie to nie owies, a wy nie jesteście wygłodzone konie cygańskie. Po kolei! przystępować, jak do stołu Pańskiego... No! Kazik—ty najprzód, jako wieszcz narodowy.

Rozpoczęło się po kolei delikatne wąchanie lewą to prawą stroną nosa.

— Myszką trąci—rzekł Jan Wąsowski, wielki znawca spirytualnych napojów.

— Ma bukiet—rzekł drugi z kolei.

— Nektar!—odezwał się wieszcz przyszłości i podał butelkę stojącemu obok Józkowi Gałdze.

— A co? co? — pytał zadowolony posiadacz skarbu nazbyt długo wąchającego kolegi.

Józek kiwał głową, podnosił do góry, to na dół opuszczał wskazujący palec, przechylił głowę na lewo, to na prawo—wreszcie...

— Czegoś śmierdzi—zakonkludował.

Na chwilę głęboka zapanowała cisza, aż przerwał ją Jugitur, poczerwieniawszy jak alkiermes.

— Śmierdzi?...—zawołał, wyrywając z rąk profana butelkę z winem. Zbrodniarzu! Filistynie! Hotentocie!... niegodny jesteś, by cię ziemia święta na swoim grzbiecie nosiła. Babcia moja przysłała mi z Paradowa to wino, przywiezione jeszcze z Węgier za czasów Noego, a jemu śmierdzi! Poczekajcie skurczybyki, jednéj kropeleczki za to nie dostaniecie... Dobrze Pan Jezus powiedział: *non ejicite ante porcos margaritas!*

Nachylił się i miał już zniknąć pod łóżkiem, ale go chwycono za poły surduta.

— Jugitur! za cóż nas niewinnych krzywdzić masz? — zawołano.

— Powąchaliście — to dosyć na was, parweniusze — sapał Ewaryst.

I pakował się daléj pod łóżko.

— Panowie! — zawołał Wąsowski — dziś panuje siła przed prawem. Nie wezwiemy Ojca Świętego na kompromis, by orzekł, do kogo mają należéć ziemie nowo-zdobyte. Do ataku!

Chwycono w pół Jugitura, zanoszącego się od śmiechu, i wyrwano mu z rąk butelczynę.

— A, gwałciciele moralnego porządku! — śmiał się Ewaryst — napędziłem wam choć strachu przynajmniéj. Dawajcie kieliszki!

Wziął z rąk kolegów butelkę i czekał, dzwoniąc paznogciem o ciemne szkło pękatéj węgrzynki.

Nie długo czekał; kieliszki stały na stole rozmaitych barw, kształtów i rozmiarów, bo pito przed wieczerzą prostą żytniówkę dla konkokcyi.

Wyciągnęły się ręce, z uroczystą powagą czekano poczęstunku. Jugitur nalewał napój cenny, pilnując, by kropla jedna na ziemię nie upadła.

— A dla mnie? — odezwał się nagle Józek, któremu się nic nie dostało.

— Tobie śmierdzi! —rzekł gospodarz i schował butelkę za plecy.

— Brutusie! nie zabijaj Cezara—jęknął błagalnie Gałga.

— Błagaj, niewolniku!

— Łaski!—zawołał Józef, rzucając się na klęczki i wyciągając rękę z wcale pokaźnym kielichem.

— A odwołasz słowo bluźniercze?

— Wyznaję: herezyarchą jestem!

Jugitur podniósł butelkę i rzekł:

— Życia nie wezmę, wina udzielę, ale skazuję waćpana na dożywotni szacunek dla mnie.

— Zmniejsz pokutę, wielki inkwizytorze, bo znając ciebie, nie będę w stanie jéj wykonać.

— Znaj pana, właściciela połamanego łóżka i dwóch krzeseł o sześciu nogach z połową—odezwał się z pompą Ewaryst, napełniając kielich po brzegi.

Zaczęto pić w niemém milczeniu zachwytu i lubości.

Uroczysta panowała cisza, stary węgrzyn rozgrzéwał żołądki i lekką barwą czerwieni policzki malował. Józef, wysączywszy do kropelki napój złoty, uderzył nogą o ziemię i rzekł z mocą:

— A jednak śmierdzi!

Śmiech buchnął. Ewaryst zabrał głos...

— Galileuszu!—odezwał się—męczeńskiéj ci nie dam korony, bo idea twoja wyznawców mieć nie może.

Od téj chwili Józef Gałga Galileuszem pozostał.

I znów zabrzmiało: *Gaudeamus!* bo z czubów parować zaczęło. Wąsowski ryczał jak wół, Jugitur trélował, Kazik wywodził melancholijnie, a Galileusz piał jak kogut, przymrużywszy oczy klejące się snem nieco.

— Panowie!—zawołał nagle Wąsowski—coś wam nie idzie. Kocia muzyka wytworzyła się—ja jeden tylko nie schodzę z tonu.

— Powiédz mi, czy harmata kiedy schodzi z tonu? — zapytał Ewaryst. — Bum! bum! od czasu do czasu i to jéj cała fatyga. Tak i ty! Rykniesz z krótkim przestankiem i myślisz, że śpiéwasz harmonijnie. To ja, jak Patti, trélują.

— Gdziee wam doo mnie!—zaoponował Gałga plączącym się nieco językiem. — Spiliście się jak szewcy, ja jeden tylko „*gaudeamus*“ śpiéwam.

— Zdaje ci się — odezwał się Kazik, który zawodził melancholijnym, niekoniecznie zbyt czystym głosem.—Gdyby nie ja, nasze „*gaudeamus*“ zamieniłoby się w jakieś pienie żałobne.

— Wąsowski! —zawołał Ewaryst. — Musimy naszą biesiadę zakończyć muzyką i deklamacyą. Ty zagrasz na skrzypicach, a Kazik zadeklamuje. Zgoda?

Wąsowski skoczył do ulubionych skrzypek, do rąk je chwycił, przytulił do piersi, pocałował, brzęknął, kołki podkręcił, pociągnął smyczkiem i grać zaczął. Kazik z siedzenia się zerwał, rozpromienione podniósł czoło i pełnym głosem zawołał:

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj...

Muzyka i poezya szły w parze, jak dwie siostrzyce rodzone, dwa dźwięki bratnie—ale zwyciężyła ostatnia. Kazik był w natchnieniu, deklamował z zapałem wiersz znany i w zachwyt wprawił słuchaczów. Wpół śpiący Galileusz przetarł oczy i słuchać zaczął; Ewaryst się zanurzył w starym, podartym fotelu, nie spuszczając oka z deklamatora; Wąsowski ku ziemi smyk opuścił, oczy rozwarł szeroko i głową poruszał w rzewnym jakimś ducha nastroju.

I była chwila uroczystéj ciszy — tylko głos Kazika potężniał i brzmiał doniośle w małéj komnatce czwartego piętra.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj i okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj z końca do końca!

Skończył.

Zabrzmiały okrzyki na cześć niezrównanéj pieśni — zachwyt przeszedł wszelkie granice. Otoczono Kazika wieńcem ramion i zaczęto serdecznie ściskać dłoń młodego deklamatora, którego nazywano wieszczem, bo miał serce swoje, rozum i życie całe, ponieść w ofierze czarodziejskiemu bóstwu Poezyi.

— Kaziku!—mówił Wąsowski—ty musisz pójść śladami piewcy téj ody i z pyłu wydobyć tę perłę czystą, którą dzisiaj świat pogrzebał. Nie umarła poezya—nie, nigdy! Tylko trzeba umiéć przemówić do serc słuchaczów, z prochu ziemi podnieść im czoła. Słowa twoje będą gromów moc miały, hukiem piorunów uderzą w piersi ospalców, ze snu zbudzą!... I dumni będziemy tobą! Wielkością opromienione twe imię w świat szeroki poniesie Dniepr ten błękitny. A jakiemiż wyrazy wypowiem rozkosz téj chwili, gdy się kiedyś po wielu spotkamy latach?... Ty—otoczony sławą, ulubieniec narodu, ja—z nierozłączną skrzypką swoją, zawsze ci sami, młodzi, jeżeli nie wiekiem, to tą niezłomną siłą ducha, która granity kruszy, dusi centaury!... Kolego! czy nie prawda?

— Tak, tak, Jasiu!—odpowiedział Kazik, silnym ruchem głowy odrzucając bujne kędziory swych jasnych włosów—my stary przemienimy świat! Siła przy nas, bo młodość przy nas! Stoją przed nami przeszkody rozliczne, by śmiech strącić z ust naszych, nowe życie w zarodku skruszyć, lecz się nie damy! Przebojem złamiemy zapory na drodze nam stojące i dojdziem do celu, który z nas każdy dziś już zakreślił. Spotkamy się, koniecznie się spotkamy!... Wywołamy wtedy echa z lat dawnych, ażeby nam mówiły o cierpieniach przebytych, zwalczonych po męsku; o pogoni za ideałami w ciało już ubranemi i o téj naszéj biédzie studenckiéj, która się ugiąć musiała przed wolą naszą. Spotkamy się, niezawodnie spotkamy! Ja — wonczas, jako uznany pisarz, wieszcz narodowy, na coraz głośniéj brzmiącéj lutni opiewać wam będę—ty, skończony wirtuoz, mistrz dźwięków, będziesz laury zbiérał na największych scenach starego i nowego świata.

— Przewyższę Paganiniego — zawołał Wąsowski z zapałem. — Jeżelim dotąd nie rzucił uniwersytetu i gdzieś do konserwatoryum nie wstąpił, to tylko dlatego, że rozstać się z wami w żaden sposób nie mogłem—a no! i biéda nie pozwoliła o Lipsku albo o Wiedniu pomyśléć. Ale skrzypicom oddam się cały—to moje życie i miłość moja!... Hej! kiedyś sobie sprawimy biesiadę prawdziwą syci szczęścia i sławy, pieniądze, jak plewy, rozrzucając po świecie. Czyż nie tak, Jugiturku?

— Nie róbcie tylko szelmostw żadnych, żebym was nie musiał bronić przed trybunałem. Bo ja swojéj adwokaturki nie rzucę.

— I Kijowa — dokończył Wąsowski.

— E nie! szersza mi się arena uśmiecha, niż nasz poczciwy, stary Kijów. Petersburg! tam swoje kroki skieruję, a będę pierwszym adwokatem w Europie; zobaczycie! Dojdę do ogromnego znaczenia, pierwsi dygnitarze stolicy o moje względy starać się będą. Apartament, w domu już własnym i oczywiście na Newskim Prospekcie, urządzę iście z książęcym przepychem. Marmurowe schody, wysłane wzorzystym kobiercem, poprowadzą na pierwsze piętro; służba w stosownéj liberyi interesantom drzwi otworzy. Gruszek nie zaśpię, sława i mnie pogoni do coraz wyższych szczeblów. Trybunalski mój głos rozbrzmiewać będzie na cztery strony świata, i gdy kiedyś do mnie z Galileuszem przyjedziecie, takie wam winko postawię, że ten Herod nie będzie miał czoła powiedzieć: śmierdzi! Słyszysz Józek?

— Słyszę—wpół przez sen odpowiedział Gałga.

Wąsowski zwrócił się do niego.

— A ty co ze swoją matematyką zrobisz?

— Ożenię się, i będę rachował dzieci.

Parsknięto śmiechem.

— Ależ to wyśmienite — ciągnął Gałga — do większych rzeczy pretensyi nie mam. Nie urodziłem się geniuszem, któryby ludziom głowy zawracał, a sławy od swojéj matematyki, przy któréj ziewam, w podarunku nie otrzymam. Jednak, biédy klepać, jak to dziś robimy, nie będę. Mam i ja dary fortuny, które mnie doprowadzą do wygodniejszego życia. Bo zważcie tylko i słuchajcie! Grzywę mam lwią (tu pogładził czupryne), jestem bardzo przystojny, tego mi i największy wróg nie odmówi; maniery mam pierwszego gentlemana z londyńskiego bruku, to wiadomo; zdrów jestem przy tém, spytajcie Marcysi. Ożenię się więc bogato, siądę na wsi i... hop-papa! hop-papa!...

Głośny śmiech zabrzmiał, posypały się oklaski.

— Brawo! przyszły obywatelu i mężu żony bogatéj!... Nawiedzimy kiedyś ciebie w twéj wiejskiéj siedzibie i pomożemy dzieci huckać, a może i dwojaków do chrztu potrzymamy. Więc o innéj, szerszéj karyerze nie marzysz? Znaczenie? rozgłos?

Beatus ille, qui procul negotiis...

zakończył Gałga epodą Horacyusza.

— No! — zawołał Wąsowski — każdy z nasby nie pogardził domowém szczęściem, sielanką wiejskiego życia. Ale nie! ja swojéj skrzypki na żadną sielankę nie zamienię. Niech żyje wolna miłość! oto moja zasada. Po co mi żona i nieznośna jednostajność miłości małżeńskiéj?

— Wyrzekasz się więc kobiét?

— A to dla czego? czy nie mam skrzypki?... Będę czarował, rozmarzał swoje słuchaczki, że same rzucą mi się w ramiona. Na ustach moich spoczną pocałunki dziewic całego świata. Żywa Francuska jak bluszcz u ramienia mi zwiśnie, ognista Hiszpanka zwinie się wężem u piersi, namiętna córa Italii, jak motyl w kielich różany, w usta mi się wpije, myśląc, że od biesiady pocałunków nie oderwą jéj wieki całe, nawet marząca Niemka o oczach blado błękitnych nie odwróci się odemnie gdy jéj zaśpiewam:

Du hast ja Diamanten und Perlen...

Słuchajcie, jak się rozkosznie splecie wszystko. Jadę, do Paryża naprzykład, o mojém przybyciu wcześnie donoszą telegramy, na miesiąc przed tém już się rozpoczęła sprzedaż biletów. Tłok, miejsca zdobywają szturmem, choć ceny krzeseł i lóż niezmiernie podniosłem. Wreszcie przybywam, olbrzymi teatr paryski nie może pomieścić tłumów... kurtyna się podnosi. Grzmot oklasków ogłusza mnie... Czekają ukłonu, po wykonaniu którego zalega cisza, tylko struny mojéj skrzypki zaczynają drżéć, dzwonić, śpiéwać. Sto pieśni płynie, wiąże się, łączy... Przybywa ich coraz więcéj, szybkie, błyskawiczne... Zamieniają się w akordy potężne, w jakąś rozpasaną muzykę dźwięków, w orgią tonów. W tém jakby sznur nanizany perłami prysnął... i perły się rozsypały, poleciały w głąb' niezmierzoną, a spotkawszy w drodze swojéj wyciągnięte struny z kryształu, uderzyły w nie z mocą niezmierną. I drżą struny kryształowe, pochwycone dreszczem gorączki dźwięków, każda perła w pieśń się zamienia, napełnia niebo całe, do gwiazd dolata, za gwiazdy. Rozszerza się, rośnie... już brak jéj miejsca, powietrza, brak przestrzeni w nieskończoności błękitów. Odrywam smyczek od strun, ale pieśń płynie, to echa grają jeszcze... i milkną w długiém westchnieniu żalu, że pieśń skonała. Słyszę grzmot jakiś, czy wali się świat? Nie! to okrzyki zachwytu, potężne brawo! Lecą wieńce... czuję uściski dłoni kobiecych. A późniéj... tysiąc pocałunków mam, kochanek tysiąc!... Kaziku, ja oszaleję!... A ty, czy zawsze myślisz o jednéj tylko?

— O jednéj — odpowiedział poeta — ale takiéj, któraby tysiąc twoich myślą i sercem przerosła.

— Jak ona wygląda? — zawołał Wąsowski, siadając przy Kaziku — opisz mi ją!

— Włosy krucze, oczy duże ciemno-błękitne, smutne zawsze. Usta ma koralowe, wilgotne, ale kto raz ich dotknie, pocałunku tego niezapomni przez wieki całe. Na czole myśl poważna, bo ona wié, że wiele ukochać trzeba, wiele serc przygarnąć, zbudzić do życia. Kochanka moja jest prześliczna! a musi być dopełnieniem mojéj istoty,

duchem natchnienia, aniołem pociechy w dniach cierpień. Jedno mam serce i jednéj tylko oddam. Ach! wyobrażam sobie, jakie to szczęście ogromne, upojenie rozkoszne, mieć przy boku kochankę taką, dzielić się wszystkiemi myślami, radością i smutkiem każdym; patrzéć w jéj oczy cudne i błądzić z nią razem w ciemnych alejach ogrodu, gdy księżyc „jak srebrna różyca gmachów gotyckich“ na błękitach zawiśnie, sobie tylko oddani, wsłuchani w szelesty pocałunków nieskończonych. Miłość! sława!... czy możecie szczęście większe wymarzyć?

— Ale, słuchajcie no, moi drodzy — odezwał się Ewaryst — czy jutro na obiad mieć co będziemy?... Ja coś mam nie wiele, sześć groszy tylko.

— Adwokacie przy trybunale petersburskim — zaśmiał się Wąsowski — wirtuoz bogatszy od ciebie ooo...

Sięgnął do kieszeni.

— Całe dwa złote.

Wydostał pieniądze z papierka i na stół rzucił.

— Składka panowie! wypróżniajcie kieszenie — wołał Ewaryst.

Gałga sięgnął w zanadrze i dobył miedziaków kilka.

— Trzy złote i groszy sześć jest — liczył Ewaryst. — A ty wieszczu?

— Zawstydzę was odpowiedział Kazik — mam pół rubla!

— Brawo!... kiełbasa z kapustą, trzy butelki piwa i kawa na ranek będzie.

Gaudeamus igitur...

zabrzmiało zgodnym znów chórem.

Nagle lampka naftowa zaczęła pełgać i przygasać powoli.

— Spać! — krzyknął Wąsowski.

Przykrył książką otwór szkiełka, światło błysło i zgasło w objęciach dymu.

— Śmierdzi! — odezwał się Józek, i znowu pobudził do śmiechu zabierających się do snu kolegów.

Rozbierali się po ciemku, marząc o przyszłości jasnéj, szczęśliwéj...

Ewaryst zasnął od razu i chrapał mocno, Kazik szeptał: młodości! ty nad poziomy, Wąsowski nucił pod nosem piosnkę niemiecką o perłach, dyamentach i oczach błękitnych, a Józef przez sen dwa razy: hop-papa! hop-papa! krzyknął.

Usnęli szczęśliwi...

A niżéj, tam, w dole, szeroki Dniepr płynął, całując stopy rodzinnych gór; w księżycowych blaskach nurzały się czerwone ściany

uniwersytetu Ś-go Włodzimierza, złociły się wydęte kopuły monasterów i krzyże świątyń kijowskich.

* * *

Upłynęło lat dziesięć...

W ciągu tego czasu wiele zmian zaszło. Koledzy się rozstali, obiecując spotkać się kiedyś syci znaczenia i sławy. Ewaryst wyjechał do Petersburga, by urządzać sobie apartamenta na Newskim, Józek szukał bogatéj panny na Wołyniu, Kazik tylko z Wąsowskim pozostali na czas pewien w Kijowie i musieli się poświęcić zawodowi prywatnych nauczycieli, by pracą niezmordowaną uzbiérać grosz pożądany i dać ciało jasnym marzeniom młodości. Zrazu dość często dochodziły wieści od Ewarysta z dalekiego Petersburga, szło mu dobrze, zyskiwał rozgłos, sławę, pisywał do kolegów często, nagle umilkł. Przeszło lat kilka, Ewaryst się nie odzyywał, wszelki ślad po nim zaginął. O Józku oddawna żadnych nie mieli wiadomości: musiał się ożenić i dzieci tłuste huckać, w końcu i Wąsowski wyjechał na prowincyą i zniknął bez śladu. Pozostał tylko Kazik, marząc o kochance i sławie.

Upłynęło lat dziesięć...

Koledzy nic nie wiedzieli o sobie, ba, nie dziw! Zmieniają się czasy i ludzie, wędrowne ptaki zmieniają gniazdo nawet...

Wieczór był chłodny, powietrze mgłą przepełnione, niebo jesiennemi pokryte chmurami, mżyło deszczem, rozciągając płaszcz swój płowy nad wiecznie gwarną Warszawą.

Do jednéj, staréj bardzo, wąskiéj i ciemnéj kamienicy na Starém Mieście, przeniósł się nowy lokator. Wynajął pokoik nędzny na poddaszu o wąskiém okienku na dach wychodzącém, stróż w kącie izby położył przyniesiony, świecący różnéj wielkości dziurami, materac i poduszkę skórzaną, zawiniątko związane sznurkiem na krzesło rzucił, zapalił lampę i wyszedł. W zawiniątku tém było książek kilka i zwój zapisanych papierów.

Krokiem omdlałym, chwiejnym, szedł nowy lokator po stromych a ciemnych schodach. Wychudzoną ręką trzymał się poręczy, ubranie miał wytarte, głowę schyloną ku ziemi. Zapadłe oczy świeciły jakąś myślą umarłą, czoło było zorane, choć nie bruzdami starości. Szedł tak krokiem leniwym czy słabym, mijając drzwi mieszkań nieznajomych sobie sąsiadów.

Nagle na zakręcie schodów trzeciego piętra zatrzymał się, głowę podniósł i utkwił wzrok rozszerzony w drzwi jedne, za któremi zasły-

szał szmer, jakby ruszanego przedmiotu tempem miarowém i głos niby znajomy.

— Hop-papa! hop-papa! — brzmiało za drzwiami.

Idący człowiek drgnął czegoś... jakiś gwałtowny zrobił ruch ręką, którą do serca podniósł, widać, że serce zabiło mu mocno. Postąpił bliżéj do drzwi, przyłożył ucho, lekkie drżenie warg zdradzało niepokój wewnętrzny.

— Hop-papa! hop-papa! — brzmiało ciągle za drzwiami.

Nieznajomy, party wspomnieniami jakiemiś, chwycił gwałtownie za klamkę, drzwi szybko otworzył i wszedł.

Blask światła kopcącéj lampy i blask płonącego ognia pod płytką kuchenką, pozwalały łatwo obejrzéć całą izbę i znajdujące się w niéj przedmioty. Duszno w niéj było i parno, rozmaite zapachy unosiły się do koła, znać tylko co uprzątnięto wieczerzę. Gratów różnego rodzaju było dużo, wszystkie sprzęty i ściany założone niemi były. Spódnice i kaftaniki kobiece, rozmaite części męskiego ubrania, nie poprane jeszcze pieluszki i połamane zabawki dziecinne: wisiały na gwoździach wbitych w dawno niebielone ściany, kryły się po kątach, tuliły się do szyb nie pomytych okien, lub walały się na brudnéj podłodze. Dwa duże łóżka, sześć małych łóżeczek i dwie kolebki otaczały wszystkie niemal ściany, tak, że tylko kuchenny piecyk dawał nieco swobodniejszy przystęp do siebie. Sześcioro zamorusanych dzieciaków tarzało się w kątku i tłukło niemiłosiernie, siódme wisiało u piersi matki, smokcząc pokarm łapczywie, ostatnie śmiało się serdecznie rozbawione na kolanach ojcowskich.

— Hop-papa! hop-papa! — powtarzał Józef Gałga — i urwał...

W drzwiach stanął nie pożądany gość może.

Józef podniósł się z siedzenia i zbliżył do nieznajomego, w twarz mu patrząc.

— Kazik! — krzyknął nagle i rzucił się przybyszowi na szyję.

Kazik drżał... objął ramionami dawnego przyjaciela lat młodych i długo go trzymał w uścisku.

W niemém milczeniu podprowadził gospodarz drogiego gościa do stołu i posadził na chwiejącém się krześle. Do słowa przyjść nie mogli, patrzyli tylko na siebie, ruchem warg zdradzając jakieś uczucia w piersiach powstałe, może tłumili łzy.

Milczeli długo, wreszcie Kazik się odezwał.

— Galileuszu! — spotkaliśmy się nakoniec.

Józef przysunął krzesło do kolegi i pochylił się przed nim.

— Patrz! — zaczął.

— Łysina — odpowiedział Kazik.

Wątłemi palcami dotknął bujnych kędziorów swych włosów i szepnął.

— A u mnie?

— Siwizna — zawtórzył Gałga.

Umilkli znowu. Kobiéta z dzieckiém na ręku zakaszlała.

— A! — odezwał się Józef — nie przedstawiłem ci żony swojéj. Zbliż się, duszko!... Czy poznajesz? — dodał, patrząc na Kazika, który błędnemi oczyma patrzał w twarz stojącéj przed nim kobiety.

— Marcysia — wyszeptał Józef, a jakąś chmurą czoło mu się powlokło.

Kazik nie pytał o przyczyny związku z kijowską Marcysią.

— Galileuszu! — rzekł po chwili — dawno jesteś tu, w Warszawie?

— Od dwóch lat.

— Masz zajęcie jakie?

— Rachuję dzieci i myję butelki kupowane przez Żydów po winach, przy tém przepisuję czasami stare akta w kancelaryi parafialnego kościoła téj dzielnicy miasta. Dobrze i to!... Hop-papa! hop-papa! — zawołał nagle, poruszając kolano, bo Jasio krzywić się zaczął.

Dzieciak się uspokoił, Józef zwrócił się do Kazika.

— A ty? — spytał.

— Piszę dramaty, których dokończyć nie mogę.

Ruszył ręką.

— I nie warto.

— Kaziku, a twoja kochanka o oczach lazurowych?

— Umarła!

Zmącił się wzrok poety, po ciele nerwowe dreszcze przeszły, blade wargi zaczęły trząść się...

Jasio zniecierpliwił się znowu i na dobreby się rozpłakał, ale Józef posadził go na kolanie, niby na rumaku i śpiéwać zaczął:

Jedzie, jedzie pan
Na koniku sam...

hop-papa! hop-papa!

Urwał w pół słowa i zwrócił się do przyjaciela.

— Ale gościnny gospodarz ze mnie — zawołał — ty może głodny?... Czém chata bogata!... Marcysiu, duszko, możebyś nam co przekąsić dała? Herbaty zdaje się została kropelka, co?

Marcysia poruszyła głową.

— To choć chleba kawałek i parę gruszek suszonych?

— Nie ma — odpowiedziała żona — dzieci zjadły.

— A! pasibrzuchy — zawołał Józef, uśmiechając się do dzieci — ale... głodne to biedactwo zawsze.

— Nie kłopocz się Galileuszu, odezwał się Kazik — jadam co drugi dzień tylko. Przyzwyczaiłem się tak. Ale, może masz parę kropel... wódki, napiłbym się z ochotą.

— Od roku się z nią nie widziałem — odpowiedział Józef. — Papierosem, jeżeli chcesz, mogę cię poczęstować. Palisz?

— Bardzo rzadko — ale teraz... daj, nie pogardzę... Chcę się odurzyć!

Józef dostał papierosa i podał przyjacielowi.

Kazik zapalił i skrzywił się nieznacznie.

— Śmierdzi? — zapytał Gałga.

Mimowolne to pytanie potrąciło o strunę wspomnień dawnych. Kazik uśmiechnął się, Józef wspomniał o Ewaryście.

— A gdzie Jugitur? — zapytał pierwszy.

— Nie wiem — odpowiedział Józef — ale temu musi się dziać doskonale. Nie rozumiem tylko dla czego o nim nic nie słychać? Przezieram wszystkie dzienniki sądowe, na pamięć znam prawie wszystkie sprawy trybunału petersburskiego, ale z jego imieniem nie spotkałem się dotąd. Może Wąsowski coś wié o nim, lecz z nim rzadko widywać się mogę.

— Wąsowski? — zawołał Kazik.

— Tak.

— Jaś?

— No, Jaś... Co się tak dziwisz, Kaziku?

— Jest tu?

— Nie widziałeś go? — zapytał Józef.

— Nie, nie, nie, choć od kilku miesięcy tu przebywam.

— A! to chodźmy do niego.

— Z ochotą, z ochotą — zawołał poeta, podnosząc się szybko z krzesła...—Wąsowski!... Jaś!... tu? Tak go zawsze kochałem!... Ale — dodał, zatrzymując się — powiedz mi wprzód... jak z nim?

— Wyśmienicie!... nie ożenił się, jak to zapowiedział nam w on czas jeszcze, i dobrze mu z tém!... Zbiéra oklaski.

Zdjął z kołka kapelusz i parasol płócienny, naciągnął wyszarzany paltot i gotował się do wyjścia.

— No, daj buzi, Marcysiu! — rzekł do żony — dzieci niech śpią; wrócę prędko.

Pocałował żonę i wyszedł, ująwszy przyjaciela pod rękę.

— Choć jeden! choć jeden! — szeptał Kazik, krokiem chwiejnym idąc po schodach drewnianych.

Przeszli uliczkę, minęli rynek Starego-Miasta i skręcili na Nowomiejską.

Jesienny deszcz gęstemi padał kroplami, unosząc z sobą drobniutkie płatki pierwszego śniegu; wiatr gwałtownie poruszał szyldami, zaziérał do wnętrza latarń i dmuchał w płomienie. Szli milcząc, przytuleni do siebie, drżący od zimna.

Józef skręcił na lewo do kamienicy jakiéjś i przeszedłszy źle brukowany dziedziniec, zbliżył się do restauracyi, właściwie knajpy, mieszczącéj się w tyłach posesyi. Brzęki fortepianu i skrzypiec dochodziły z wnętrza do uszu zbliżających się, głośna rozmowa ucztujących i rozpasane śmiechy przedzierały się przez ściany. Kazik wszedł za przyjacielem i chciwém okiem powiódł po zgromadzeniu.

— Nie tu, tam! — szepnął Józef. — W trzecim pokoju, skąd słychać fortepian.

Poszli daléj i przestąpili próg wskazanego przez Gałgę pokoju.

Stołów było dużo, niewybrednego towarzystwa jeszcze więcéj. Dziewczęta o zalotném spojrzeniu, zaczepiające i zaczepiane, usługiwały gościom, biegając z kuflami piwa, albo roznosząc talerze z jadłem, dym tytuniowy mieszał się z zapachem potraw, gwar ucztujących z dźwiękami muzyki.

Przy rozklepanym, wielkim jak arka Noego, fortepianie, siedziała stara kobiéta i zmęczonemi palcami uderzała w żółte, wyżłobione klawisze, koło niéj stał mężczyzna we fraku i długim smykiem siekł po jęczących strunach skrzypiec. Bujne włosy spadały mu na ramiona, twarz miał zapadłą, oczy tylko dziwnym blaskiem paliły się.

Józef palcem wskazał na skrzypaka.

— Wąsowski! — rzekł półgłosem — usiądźmy tu za nim, niech skończy.

Ale Kazik nie usiadł. Oczy miał zwrócone na grającego, twarz trupio-bladą.

Silnym akordem skończyły skrzypce, fortepian się nieco spóźnił. Burza oklasków zabrzmiała, Wąsowski przyłożeniem ręki do serca dziękował za hołdy. Nagle obrócił się i spostrzegł siedzącego Józefa.

— A, jesteś...

Nie skończył... Oko jego padło na stojącego przed nim Kazika.

— Na rany Chrystusa! — zakrzyczał — to ty?

Wyciągnął rękę i ujął dłoń dawno niewidzianego przyjaciela, a twarz mu poczerniała, przeszła w barwę żółtą, zbielała. Wyciągnięta ręka do uścisków opadła bezwładnie, w oczach zakręciły się łzy.

— Nie pytam — szepnął... — Włos siwy, twarz wychudła, blask oczu przygasły.

Nie usiadł, lecz runął na krzesło.

Kazik trzęsącą się ręką o stół się wsparł, drugą ujął poręcz krzesła i przysunąwszy je, usiadł koło przyjaciela.

Wąsowski twarz w obie dłonie ujął i szlochał.

— No, cóż chcecie?—zaczął Józef—siak czy tak, spotkaliśmy się jeszcze. Nędza zabiła nas wszystkich, głód obciął skrzydła poezyi, dawne miejsca zajęte, nowych wziąć nie pozwolono — ale, jesteśmy wszyscy...

— A Jugitur?—szepnął głosem stłumionym Kazik.

Wąsowski odjął dłoń od twarzy i spojrzał w twarz poety.

— Co z nim? nie wiész?—powtórzył Kazik.

— Nie żyje—szepnął Jan.

Kazik wzrokiem przerażonym spojrzał na mówiącego.

— Nie pytaj o więcéj, na dzisiaj dość dla ciebie!—rzekł Wąsowski.

Powstał z siedzenia, i rzucając ręką po komnacie przepełnionéj hałasem tłumów, śmiechem i tłustemi dowcipami, wymierzonemi do posługujących dziewek.

— A, oto—odezwał się—moja arena, na któréj oklaski zbiéram; oto usta, które pocałunki mi dają... Kaziku! jakie ja piekło mam w duszy, gdy mi czasem w pamięci ta piosnka zabrzmi:

Du hast ja Diamanten und Perlen.

Przypominam sobie Kijów stary, rojenia nasze... i ciebie Kaziku, deklamującego tę odę „do Młodości,“ i nas wszystkich, do orlich gotujących się lotów. Dlaczego się tak wszystko splątało? gdzie się podziały marzenia nasze?...

— Panie Wąsowski!—odezwał się głos restauratora — fortepian czeka!

Wąsowski rzucił się do skrzypiec, z siłą całą zatargał struny, aż jękły jak szatany. Fortepian skoczną grał polkę — skrzypek zrobił z niéj rozpasaną orgię piekła.

Przeszło godzin kilka, męczących, długich.

Józef powrócił do swojéj Marcysi i gramolącym się na kolana dzieciom: hop-papa! śpiéwał. — Kazik nie przestąpił progu swego pokoju...

Padł...

Serce mu pękło.

Kazimierz Gliński.

O KANALIZACYI M. WARSZAWY

ze stanowiska ekonomicznego.

(Odczyt publiczny, miany w Warszawie na rzecz Osad Rolnych d. 13 kwietnia 1889 r.)

I.

Wszędzie, gdzie tylko powstanie wielkie zbiorowisko ludzkie, przychodzi troska, co robić z wodami brudnemi i odpadkami, które zbiérać się muszą w nadmiernych ilościach skutkiem gromadnego życia. Im większe jest zbiorowisko, tém więcéj będzie w tym względzie kłopotu, a dla wielkich miast nowożytnych zrodziła się stąd wielka kwestya, związana z ich bytem, rozwojem i przyszłością. Utrzymanie porządku stało się jedném z głównych zadań gospodarstwa miejskiego. Najpoważniejsze umysły, znakomici specyaliści z jednéj, filantropowie z drugiéj strony, zajmują się tą sprawą, badają i rozpatrują ją, przyczyniając się wspólną pracą do jéj wyjaśnienia i rozwiązania. Ażeby zrozumieć ważność tego przedmiotu, dość zwrócić uwagę na olbrzymie ilości ścieków i odpadków, jakie miasto téj wielkości naprzykład, co Warszawa, dostarczać może.

Wedle obliczeń naukowych, ścieki podwórzowe, kuchenne, gospodarcze i wszelkie inne wraz z odpadkami stałemi, wynoszą w ciągu roku 7,867 kil. na głowę [1], co daje dla miasta o 450,000 mieszkańców, 3,540,150,000 kil. rocznie, czyli 9,726,438 kil. na dzień. Kał ludzki stały i płynny, jakkolwiek stanowi zaledwie 6% ogólnéj ilości ścieków i odchodów [2], wynosi przecież 462 kil. przecięciowo na głowę, czyli

---

[1] Pettenkofer: „Vorträge über Canalisation und Abfuhr", str. 16.

[2] Pettenkofer l. c. str. 21.

207,900,000 kil. w ciągu roku. Co robić z takiemi ilościami [1]), jak się ich pozbyć, ażeby zapewnić miastu czystość i zdrowie? [2]).

Natychmiastowe i prędkie wynoszenie czy wywożenie w wielkich ogniskach miejskich przechodzi zakres sił i środków ludzkich [3]).

Ludzie starali się wynaleść inne sposoby wyjścia z trudnego zadania i naśladując naturę, powzięli myśl usunięcia złego drogą odpływu w miejsca niżéj położone, przez zużytkowanie siły naturalnego spadku. Na téj zapewne drodze i przy dalszym rozwoju pierwotnéj myśli,. powstała idea kanałów podziemnych, odprowadzających daleko po za miasto to, co w miejscu zamieszkania ludzkiego było zbyteczne.

Pierwszą próbę kanalizacyi spotykamy w starożytnym Rzymie. Za króla rzymskiego Tarkwiniusza Lucyusza, około 600 roku przed Narodzeniem Chrystusa, przystąpiono do budowy wielkiego kanału podziemnego, który ukończono w r. 514 przed Chrystusem, pod panowaniem Tarkwiniusza Pysznego.

Kanał ten, zwany *cloaca maxima*, odprowadzał ścieki Rzymu do Tybru. W miarę rozwoju starożytnego miasta budowano nowe jeszcze kanały, łącząc je z dawnemi. Z czasem podziemne te galerye były tak wielkie, że Dyonizyusz z Halikarnasu zaliczył takowe do trzech cudów Rzymu [4]). Ślady tych urządzeń przetrwały do dnia dzisiejszego i stanowią przedmiot podziwu dla ciekawych, którzy pragną je oglądać. Idea kanalizowania miast odtąd nie zaginęła, przetrwała całe wieki, ale prawdziwy rozwój jéj przypada na epokę nadzwyczajnego rozrostu miast, jaki się objawia w bieżącém stuleciu.

Do spopularyzowania i powszechnego uznania kanalizacyi za konieczny czynnik gospodarstwa miejskiego, przyczyniły się bardzo najnowsze badania naukowe z dziedziny przyrodniczéj. Człowiek spożywa dziennie, wedle obliczenia naukowego, dwa litry wody, czy to czystéj, czy w pokarmach, i 9,000 litrów powietrza [5]) na dobę. Chociażby więc ze względu na ilość, dwa te czynniki muszą wywierać potężny wpływ na rozwój i stan organizmu ludzkiego, bo one właściwie dostarczają ciału naszemu główne środki odżywcze. Nie może więc

---

[1]) Tamże str. 15. Przyjmuje się 34 kilogramów fekalii, a 428 uryny rocznie w przeciętnym na mieszkańca rachunku.—[2]) G. Defosse. „Hygiène publique urbaine", Bruxelles, str. 6, przyjmuje podobneż ilości za podstawę do rachunku. „Opinie sanitarnego podkomitetu obywatelskiego". Warszawa 1880, str. 7—10, podobnież.—[3]) Pettenkofer l. c. str. 22. — [4]) Pettenkofer: „Populäre Vorträge". Braunschweig 1877, str. 4. Lub. Suligowski: „O kanalizacyi miast w ogóle, a m. Warszawy w szczególności." Warszawa 1869, str. 1.—[5]) Pettenkofer. „Vorträge über Canalisation und Abfuhr". München 1880, str. 72.

być rzeczą obojętną, jaką wodę pijemy i jakiém powietrzem oddychamy i nie można lekceważyć tego, co sprowadzać może zakażenie powietrza i wody.

Że wszelkie stałe zbiorniki, przechowujące w obrębie domów mieszkalnych znaczne ilości odpadków, wpływają na zanieczyszczenie powietrza, którém oddychamy, tego nie potrzeba dowodzić. Wprawdzie ludziom nieświadomym wydawać się może, że nieczystości, złożone do przygotowanego dla nich dołu ani nam szkodzić, ani obchodzić nas nie mogą, jednakże tak nie jest, one pozostają w naszém sąsiedztwie i musimy ponosić skutki takiego sąsiedztwa. Wedle zdania Pettenkofera i Erismana, zbiornik kloaczny wypełniony do objętości metra kubicznego, wydaje dziennie 2¼ funta różnych szkodliwych wytworów gazowych, rozpraszających się w okolicznèm powietrzu. Ilość taka stanowi olbrzymią masę, jeżeli się uwzględni nizki ciężar gatunkowy gazów [1]). Jak obliczał Pettenkofer w Monachium, z jednego przeciętnego zbiornika wychodziło lotnych materyi po 500,000 i więcéj stóp kubicznych w ciągu doby w powietrze. Obok tego, na zanieczyszczenie powietrza wpływać może stan gruntu, na którym mieszkamy. Jestto upowszechnione pomiędzy ludźmi przekonanie, że gdzie jest grunt, tam się kończy powietrze. Ludzie nie domyślają się nawet, jak głęboko pod naszemi stopami powietrze przenika ziemię, a tém mniéj domyślają się tego, że grunt w ⅓ części składa się z powietrza, czyli że na dwa atomy stałe przypada trzeci atom lotny [2]).

Skutkiem takiéj natury swojéj grunt przyjmuje w siebie płyny i ciecze, przyjmuje je nawet tam, gdzieby tego spodziewać się było trudno, nawet przez ściany murowane i cementowane [3]), nasyca się niemi aż do stanu przesycenia. Ale na tém nie kończy się sprawa, grunt żyje życiem sobie właściwém, pochłonięte masy sprowadzają w jego łonie odpowiednią przeróbkę, w następstwie któréj przychodzą parowania i szkodliwe wyziewy, które na poprawę powietrza miejskiego zapewne nie wpływają. W działaniu tém grunt przypomina piec rozgrzany, promieniejący naokół ciepłikiem, z tą jedynie różnicą, że piec działa dopóty, dopóki trwa rozgrzanie, działanie zaś gruntu odbywa się ciągle, słabnąc jedynie w chwili zmarznięcia ziemi. Dalsze

---

[1]) Pettenkofer l. c. str. 52. „Opinie" etc., str. 12.—[2]) Pettenkofer l. c. str. 75.—[3]) Tenże l. c., str. 58. Pettenkofer podaje ciekawe cyfry na podstawie badań d-ra Wolffhügel'a. Z tych cyfr okazuje się, że zanieczyszczenie gruntu w okolicy dołów kloacznych nieprzepuszczalnych jest blisko 4 razy większe od zanieczyszczenia gruntu normalnego, ziemia zaś przy dołach kloacznych zwyczajnych przedstawia zanieczyszczenie 26½ razy większe od normalnego.

szkodliwe następstwo zakażenia gruntu przejawia się w zepsuciu wody. Tak naprzykład w Warszawie zepsucie wody skutkiem zakażenia gruntu zostało stwierdzone z całą dokładnością.

W całém mieście, we wszystkich prawie studniach woda znajduje się w takim stanie, że przynosi szkodę ludziom, którzy używać jéj są zmuszeni [1]). Za wymowny dowód tego, do jakiego stopnia grunt warszawski uległ zakażeniu, służyć mogą fakty przykrych w wielu miejscach wyziewów podczas robót kanalizacyjnych, jak to np. miało miejsce przy ulicy Kotzebuego.

Wypadki podobnegoż zakażenia gruntu spostrzegano daleko wcześniéj na zachodzie, a zwłaszcza w wielkich miastach angielskich. Okoliczność ta zwróciła na siebie powszechną uwagę. Do sprawy odpływu nieczystości za pomocą kanałów przyłączyła się kwestya uwolnienia gruntu od dalszego zakażenia, celem poprawy wody i powietrza. Idea kanalizacyi nabrała większego znaczenia. Dostrzeżono potrzebę zastosowania téj drogi dla pozbycia się wszelkich ścieków i resztek. Jakoż około roku 1850 dzielni Anglicy Chadwick i Ward sformułowali zasadę ciągłéj cyrkulacyi, dla uzdrowotnienia miast [2]), zkąd późniéj powstała teorya francuska: *tout à l'egout.*

Odtąd kanalizacya pozyskała wszędzie obywatelstwo, nietylko w Anglii, gdzie wszystkie większe miasta zostały skanalizowane, ale i na kontynencie, gdzie bardzo wiele miast przystąpiło również do spuszczania kanałami ścieków i odpadków. Z upływem czasu kanalizacya, jak każde dzieło ludzkie, ujawniła pewne wadliwe strony. Podniesiono kwestyę potrzeby zachowania mierzwy, kwestyę zanieczyszczenia wód rzecznych [3]) i tym podobne. Były to przecież zarzuty, że tak powiem, uboczne, które nie mogły zachwiać saméj zasady. Zastosowano zaraz środki zaradcze, jak pola irygacyjne, baseny osadowe,

---

[1]) Opinie etc., str. 18 i nast.—[2]) Arnould. „Les controverses recentes, au sujet de l'assainissement des villes". Paris 1882, str. 2.—[3]) W Londynie wyznaczono jeszcze w r. 1860 komisyę dla zbadania, czy wody Tamizy z powodu kanałów nie uległy zanieczyszczeniu (Pettenkofer l. c., str. 116). W następstwie badań odsunięto daléj wyloty kanałów i urządzono pola irygacyjne. W Paryżu również rozliczne komisye badały niejednokrotnie wody Sekwany i również urządzono pola irygacyjne. P. Bloch w wydanéj w r. z. w Warszawie broszurze p. t. „Głos w kwestyi kanalizacyi etc.", wspominając o działalności komisyi paryskich, pokilkakroć wyróżnia zdanie d-ra Brouardel'a (str. 29, 85 i inne), który jest przeciwnikiem kanalizacyi. Godzi się przecież wspomnieć, że opinie d-ra Brouardel'a były bardzo surowo przyjęte przez krytykę francuską. Do przeciwników jego należą: Durand-Claye, Emile Trelat, Vallin i Arnould. Ten ostatni w cytowanéj już przezemnie pracy: „Controverses recentes etc.", wykazuje słabe strony poglądów Brouardel'a (str. 17 i nast. oraz str. 35 do 38).

fabryki pudretów etc., zawsze jednak system kanalizacyi zachował swoje znaczenie [1]) i stanowi do dziś dnia najlepszy sposób oczyszczania miast.

II.

Myśl kanalizowania Warszawy powstała po roku 1850, a więc w epoce, kiedy system kanalizacyi posiadał już w świecie uznanie. Pierwszy projekt kanalizacyi dla Warszawy ułożył w r. 1856 inżynier miejski Ratyński. W r. 1863 inżynier angielski Hawskley przedstawił nowy projekt, który właściwie był tylko odmianą poprzedniego. Dalej w r. 1865 złożył swój projekt p. Bloch, później tożsamo zrobił p. Lewenberg, w r. 1868 przygotowała jeszcze nowy projekt sekcya inżynierska magistratu m. Warszawy pod przewodnictwem inżyniera Spornego, wreszcie przybył projekt p. Lindleya z r. 1879, na podstawie którego dokonywa się obecna kanalizacya [2]).

Od lat 30 zatém nawoływano u nas do kanalizacyi, zanim rzucona myśl przy energii obecnego prezydenta miasta zdołała wejść w życie. Obok względów na zdrowotność, samo naturalne położenie miasta przemawiało za kanalizacyą. W istocie, niełatwo znaleść miasto z równie dobremi warunkami dla systemu kanalizacyjnego, jak Warszawa. Rozłożona na wzgórzu tworzącém wyżynę, po nad dużą rzeką z wartkim pędem i znaczną ilością wód, posiada ona przez naturę samą wskazane drogi do odprowadzenia ścieków. Pod tym względem nie można porównywać położenia Warszawy z położeniem innych miast, naprzykład Londynu, Berlina lub Paryża, na które w kwestyach kanalizacyi prasa w ostatnich czasach u nas ciągle się powołuje (patrz między innemi powołaną broszurę p. Blocha). Londyn rozłożony jest w nizinie i rozporządza w stosunku do swego ogromu nie dość wielką rzeką, która ma mniejszy niż Wisła spadek i powolniejszy bieg wody, nie mówiąc o tém, że bieg ten powstrzymują jeszcze przypływy morskie,

---

[1]) Nigdzie, nawet we Francyi, pomimo wykrytego w r. 1880 zanieczyszczenia wód Sekwany, nie potępiono systemu kanalizacyi. I tam system ten znajduje zupełne uznanie (Pettenkofer l. c. str. 127 i 139). Niepodobna pominąć, że komisya z ramienia prefekta Sekwany z r. 1882, a więc już po owém wykryciu, jednomyślnie potępiła system wszelkich dołów kloacznych stałych, jako nieodpowiedni. Wreszcie rada municypalna m. Paryża uchwałą z d. 31 lipca 1886 r., na zasadzie opinii komisyi asenizacyjnéj z r. 1885, ponownie pozwoliła spuszczać ekskrementa bezpośrednio do kanałów na ulicach, z zastrzeżeniem stosownych warunków i zaopatrzenia ustępów w odpowiednią ilość wody. Bloch l. c. str. 11 i 12.—[2]) L. Suligowski l. c. str. 14 i 15.

napędzające wodę do Tamizy, ilekroć wiatry od strony morza wieją. I Paryż posiada także zbyt słabą siłę wody w porównaniu do potrzeby [1]). A tém ci bardziéj nie może być mowy o Berlinie, który przy ludności 2½ razy większéj od warszawskiéj, leży nad drobną względnie rzeczką, jak to powszechnie jest wiadome. Te ujemne strony, które kanalizacya przedstawia gdzieindziéj, przy odmiennych warunkach położenia mogą być obce dla Warszawy. Myśl téż kanalizacyi szybko się przyjęła i stała się wkrótce popularną w Warszawie. Do ustalenia téj popularności przyczyniły się téż niemało wykrycia, dokonane w r. 1880 przez podkomitet sanitarny obywatelski. Wykrycia były w istocie zatrważające. Z jednéj strony na podstawie szczegółowych cyfr za lata od 1874 do 1879 okazało się, że śmiertelność w naszém mieście wynosiła 41½ na tysiąc rocznie, z drugiéj zaś skonstatowano powszechne zepsucie wody do picia oraz zakażenie gruntu, ze wszelkiemi jego następstwami [2]). Zadzwoniono w wielki dzwon! I słusznie. Warszawa musiała sobie powiedzieć, że stoi na umierzwionéj silnie glebie. Gdyby dane położenie miało trwać dłużéj, Warszawa zmieniałaby swą ludność w okresach krótszych od dwudziestopięciolecia, inaczéj mówiąc, wymierałaby w ciągu krótszego aniżeli 25 lat czasokresu.

Rozwinięto wtedy różne środki zaradcze, a w ich liczbie znalazła się i kanalizacya.

Ile słów wygłoszono, ile wydrukowano na cześć téj ostatniéj, trudno byłoby policzyć. Pamiętamy wszyscy tę epokę, kiedy prasa na wyścigi z municypalnością podnosiła pożyteczne strony zamierzonego dzieła.

Zarządzone nowe porządki, zwiększona czujność nad czystością

---

[1]) Arnould l. c. str. 14. L. Suligowski l. c. str. 9 i 10. Joseph Riedel: „Ueber Städtereinigung". Wien 1885, str. 2. Szybkość przepływu wody w Sekwanie wynosi 0,13 metra na sekundę, w Tamizie zaledwie 0,11 metra na sekundę (Pettenkofer l. c. str. 125 i 129), gdy tymczasém bieg wody wiślanéj przy średnim stanie 3 stóp nad zero stanowi 3 stopy na sekundę. Sprawdzić tablicę spływania wód dla Londynu, Paryża i Warszawy w broszurze L. Suligowskiego str. 7. Na podstawie obfitości i szybkości biegu wody na Wiśle, p. Knauff z Berlina wydał opinię, że najszersza kanalizacya z wpuszczeniem ekskrementów może być zastosowana w Warszawie, bez obawy zatrucia wody wiślanéj na daleką przyszłość. Bloch: Annex № 3. Opinia p. Knauffa. Ale p. Bloch wbrew opinii znawcy, u którego szukał rady, wynurzył obawy co do możliwości kompletnéj kanalizacyi w naszém mieście, poddając w wątpliwość zdanie p. Knauffa! Bloch l. c. str. 79.

[2]) Bliższe wyjaśnienie obejmują powołane opinie podkomitetu z r. 1880.

w mieście i po domach, nowe wodociągi z lepszą wodą i częściowo wprowadzona w życie kanalizacya, przyniosły skutek: śmiertelność się zmniejszyła, liczba chorób, zwłaszcza epidemicznych, także [1]); słowem położenie znacznie się poprawiło. Ale gdy poprawę dostrzeżono, wnet zapomniano o złem, które zaledwie wyszło za próg i w każdéj chwili, przy lada sposobności powrócić może napowrót. Że zapał gwałtowny dla kanalizacyi ostygł, to rzecz naturalna, uniesienia nie mogą trwać ciągle, spokojna refleksya, jak fala morska, powracać musi po każdym silniejszym powiewie. Lecz stało się coś gorszego, sprawa kanalizacyi utraciła urok i doczekała się nawet pomiędzy ludźmi wykształconymi krytyki i wyszydzania.

Jakaż tego przyczyna? Czyby grunt Warszawy zmienił swoje zasadnicze własności? czy nowego rodzaju powietrze oblało naszą okolicę? czy może w ciągu lat kilku ludzkość wykryła nowe sposoby pozbywania się nieczystości, bez potrzeby jakiéjkolwiek kanalizacyi i jakichkolwiek na nią nakładów? czy wreszcie te funkcyonujące już częściowo kanały przyniosły szkodę, zamiast pożytku? Bynajmniéj! Rozgoryczenie ogarnęło z innych zupełnie powodów. Historya tego rozgoryczenia zasługuje na uwagę zarówno ze strony psychologicznéj, jak i ze strony społecznéj. Pod względem psychologicznym ciekawe jest to szybkie przejście od uniesienia aż do zniechęcenia, pod względem społecznym zaś dostarcza ono wielką naukę i wykazuje, jak łatwo tonąć może pożyteczna sprawa przy starciu sprzecznych interesów, jeżeli się nie zachowa miary należytéj oględności.

Źródłem zmiany, o jakiéj mowa, był interes materyalny. Dopóki municypalność prowadziła roboty na własną rękę, rzeczy pozostawały w spokoju. Wprawdzie taryfa opłaty za wodę z r. 1886 wywołała pewne szemrania, z powodu zbyt wysokiéj ceny wody, przymusu jednak do łączenia się z wodociągiem nie było i kwestya nie nabrała zbytniego rozgłosu. Ale w r. 1888 przyszła kolej na kanalizowanie pojedyńczych posesyj przy pobudowanych już kanałach.

W projekcie pierwotnym kanalizacyi p. Lindleya z roku 1879 o przymusie łączenia się z kanałami miejskiemi, ani też o konieczności odprowadzania ludzkich odpadków do kanałów nie było mowy, co zresztą tłómaczy się naturą rzeczy, gdyż projekt stanowił techniczne wypracowanie, nie zaś gospodarcze postanowienie dla miasta [2]). Budowa

---

[1]) Notują to pisma lekarskie na podstawie statystyki szpitali.

[2]) P. Bloch, krytykując p. Lindleya (str. 3), upatruje sprzeczność w poglądach p. Lindleya, gdy ten ostatni w komitecie kanalizacyjnym przemawiał za

przecież kanałów prowadziła się od początku w taki sposób, aby one mogły obsługiwać miasto w zupełności, zarówno przyjmując ścieki uliczne, jakoteż wszelkie domowe, bez żadnego wyłączenia.

Gdy zaś badania nad stanem sanitarnym Warszawy wykazały konieczną potrzebę wszechstronnéj kanalizacyi nietylko ulic i placów, ale i pojedyńczych domów, gdy hygieniści i technicy wyrazili opinię, że bez dokładnéj kanalizacyi nic da się całkowicie złego usunąć (Opinie etc., str. 23), gdy daléj przy rewizyi miejsc ustępowych w r. 1888 znaleziono, że na ogólną liczbę 4,381, prawidłowo zbudowanych było zaledwie 252, reszta czyli $^{16}/_{17}$ nie odpowiadała sanitarnym warunkom [1]), gdy wreszcie przytém skonstatowano ogólną obojętność właścicieli domów, którzy pomimo nacisku nie chcą przedsiębrać koniecznych dla zdrowia swego i lokatorów ulepszeń [2]), w tym stanie rzeczy po przeprowadzeniu kanałów w pewnéj części miasta, municypalność podniosła myśl przymusowego kanalizowania domów. Myśl niewątpliwie była słuszna, chociaż przyznać należy, że sposób, w jaki chciano wprowadzić ją w życie, mógł przedstawiać wiele do życzenia.

Jeżeli chodziło o kanalizacyę nieruchomości, to przedewszystkiém należało oznaczyć granice, w jakich przeprowadzenie jéj mogło być uważane za konieczne. Każdy rozumié, że od prostego spuszczania ścieków podwórzowych do kanałów za pomocą przykanaliku do więcéj dokładnego skanalizowania, a témbardziéj do skanalizowania pojedyńczych mieszkań i stosownego nieraz przekształcenia domu, to jeszcze bardzo daleko. Oznaczenie granic koniecznych dla ogółu nieruchomości ze względu na zdrowie ogólne, wymagało odpowiedniego zbadania przez znawców, którzy do wydania sądu mogli być powołani. Również poważną kwestyę przedstawiało wprowadzenie w życie téj reformy, a to z powodu nakładów, bez jakich obejść się ona nie mogła.

---

ustaleniem zasady przymusowego spuszczania ekskrementów, a to jakoby wbrew swemu projektowi. Tak nie było. Projekt kwestyi téj nie rozwiązywał i nie podnosił, kwestya stała otworem, a gdy weszła na stół obrad komitetu, mógł wtedy p. Lindley wypowiedzieć zdanie odpowiednio do ujawnionych potrzeb.

[1]) „Projekt prawił kanalizirowania otdielnych niedwiżimostiej goroda Warszawy“, 1889, str. 3.

[2]) Przy téj rewizyi okazało się, że w 61 domach zgoła żadnych nie ma ustępów. Pod względem sposobu oczyszczania ustępy przedstawiały się w następującym stanie: z waterklozetami do nowych kanałów 50, ze spuszczaniem do starych kanałów 244, systemu Moulé przy użyciu torfu 733; reszta, a więc ogromna większość, oczyszcza się przez wywózkę bądź aparatami Bergera, bądź zwyczajnemi beczkami, lub wreszcie w pomieszaniu z nawozem albo śmieciami. Bloch l. c. str. 48.

Kwestya ta komplikowała się jeszcze tém, że nie wszystkie domy w Warszawie są połączone z wodociągami; tam więc, gdzie wody niema, kanalizacya domu łączyła się z jednoczesną koniecznością zaprowadzenia wodociągów, co podnosić musi w tych wypadkach i trudności i nakłady. Nareszcie niéma reguły bez wyjątku. W życiu i dla życia nie można stawiać przepisów zbyt absolutnych, trzeba mniéj lub więcéj, a to stosownie do okoliczności, ale zawsze trzeba uwzględnić wyjątkowe sytuacye i zapewnić choć czasem zwolnienia i ulgi z różnych przyczyn, jak w danym wypadku, czy to z powodu wyjątkowego położenia niektórych właścicieli, czy nawet saméj nieruchomości. Słowem sprawa wymagała dokładnego opracowania i szczegółowego sformułowania, zwłaszcza, że na dnie jéj leżało przymusowe znaglenie do nakładów.

Niestety takiego opracowania ani sformułowania nie było. Natomiast w maju 1888 r. wezwano właścicieli nieruchomości położonych przy pobudowanych już kanałach, aby z d. 1 lipca tegoż roku przystąpili do połączenia się z kanałami, pod rygorem, że w przeciwnym razie nie wolno im będzie spuszczać ścieków podwórzowych, ani nawet wody deszczowéj na ulicę, że z rynsztoków ulicznych korzystać nie będą mogli, że będą zmuszeni zbierać ścieki u siebie na podwórzach i jak najczęściéj stamtąd przez wywózkę usuwać.

Pomijając już to, czy w podobny sposób postawione żądanie ze stanowiska prawnego mogło być usprawiedliwione, arbitralność wywołała i wywołać musiała ogólny popłoch i zgorszenie. Jak przedwczesną była procedura, wystarczy powiedziéć, że w danéj chwili gdy rzecz podniesiono, nawet przepisy w przedmiocie kanalizowania nieruchomości nie były ustalone, że przepisy te wydrukowane zostały znacznie późniéj, że następnie dwa razy jeszcze je przerabiano i że do dnia dzisiejszego nie pozyskały one zatwierdzenia właściwego.

Bez ustalenia przymusu, postawiono zasadę kanalizowania nieruchomości pod najgroźniejszym w rzeczywistości przymusem.

Nic więcéj nie budzi trwogi, jak rzeczy ciemne i niejasne, a tutaj właśnie nie określono ściśle, czego się od właścicieli nieruchomości wymaga pod względem sposobu kanalizowania domów. Nic również większego nie rodzi niepokoju, jak natychmiastowość, a tu zażądano natychmiastowéj czynności, bez jakichkolwiek uwzględnień. Strach ma wielkie oczy. W tém zaproszeniu do kanalizacyi dostrzeżono wnet ruinę właścicieli. Lękano się potrzeby przerabiania mieszkań, zmiany rozkładów, słowem, przeistaczania całych domów, chociaż wezwanie nie miało jeszcze tego na widoku i zapewne tak daleko iść nie zamierzało.

Posypały się nie lada krzyki, ale nie za kanalizacyą, jak to było

przed ośmiu laty wprzódy, lecz przeciwko niéj. Były więc memoryały i objaśnienia, delegacye i posiedzenia, artykuły i broszury, słowem cały tabor środków do poruszenia opinii publicznéj. Celem zaś obudzenia sympatyi dla spraw, zaczepionych z wielką, trzeba przyznać, zręcznością, starano się wciągnąć w grę i tych, dla których sprawa w żaden sposób istotnego interesu przedstawiać nie mogła. Mam tu na myśli Towarzystwo Kredytowe m. Warszawy i właścicieli listów zastawnych. Głoszono nietylko niechybną ruinę właścicieli domów, ale upadek Towarzystwa Kredytowego, zdeprecyonowanie listów i zgubę ich posiadaczy [1]). Było to oczywiście grube nadużycie wolności środków obrony, co nie przeszkadzało, że podobne opowieści w chwili gorączki przyjmowano za dobrą monetę i powtarzano sobie z godną podziwu naiwnością! Że przy téj okazyi wyciągnięto wszystkie uciążliwości kanalizacyi, pomyłki jakiegoś inżyniera czy zarządu kanalizacyjnego, że stawiano znaki zapytania nad potrzebą kanalizacyi, ba! nawet nad szkodliwością tego, co kanalizacya miała usunąć [2]), i temu także dziwić się trudno, i to tłómaczy się prądem, jaki chwilowo zapanował pod naciskiem głośnych narzekań. W gruncie rzeczy jednak kwestya skupiała się około strony pieniężnéj, około kosztów i nakładów, przeciwko którym się broniono. Żale i utyskiwania nie pozostały bez pewnego skutku. Znagliły one do badania przedmiotu, sprowadziły bliższe wyjaśnienie, czego miasto od właścicieli w kierunku ka-

---

[1]) Powołać się w tym względzie można na memoryał obywateli, złożony w grudniu 1888 r. Tow. Kredytowemu. Memoryał wskazuje na niebezpieczeństwo zamierzonych pożyczek kanalizacyjnych, od których kurs listów zastawnych ma uledz jakoby upadkowi, a daléj twierdzi, że o ileby przyjęto zasadę przymusowego kanalizowania posesyi, właściciele domów, zwłaszcza drobniejszych, zostaną zrujnowani, też domy pójdą na sprzedaż i Towarzystwo Kredytowe takowe samo nabywać i kanalizować będzie, z wielką dla siebie stratą. Końcowy ustęp tego wywodu brzmi w taki sposób: „Nie potrzebujemy podnosić ujemnego rezultatu dla interesów Towarzystwa, przy takiém niekorzystném i ryczałtowém nabywaniu domów przez Towarzystwo, skutki leżą jak na dłoni; strata części kapitału zapasowego i panika wśród posiadaczy listów, mogąca kurs ich obniżyć o dziesiątki procentów. Najwyższym interesem Towarzystwa jest zapobiédz tym smutnym konsekwencyom.

[2]) Cechę chwilowego prądu nosi na sobie wspomniana powyżéj książka p. Blocha p. t. „Głos w kwestyi kanalizacyi“ etc. Wprawdzie p. Bloch nie zaprzecza użyteczności kanalizacyi, uznaje ją nawet (str. 27 i 47), a jednak porusza różne wątpliwości, podnosi liczne kwestye i dochodzi aż do rozprawy o nieszkodliwości gazów cuchnących (str. 85). W punkcie kosztów kanalizacyi, upatruje wiszący nad miastem i właścicielami domów kryzys ekonomiczny (str. 21, 47 i 2).

nalizowania swoich posesyj wymagać będzie [1]), sprowadziły obliczenie, ile wymagana kanalizacya kosztować może [2]), wreszcie sprowadziły pożądaną pomoc ze strony Towarzystwa Kredytowego, które w téj sprawie zapewne poważną przyniesie obywatelom usługę. Co więcéj, nawet idea przymusu nie została odepchnięta, przeciwnie w łonie obywateli miasta, pod pewnemi warunkami i ograniczeniami znalazła ona aprobatę [3]). Gdyby się tylko na tém było skończyło, możnaby się prawie cieszyć z rezultatów wzburzenia, lecz niestety! miało ono jeszcze inne następstwa mniéj pożądane, a mianowicie wywołało niewiarę w siły miasta do przeprowadzenia wielkiego dzieła i osłabiło ducha koniecznéj w podobnéj sprawie ofiarności obywatelskiéj, pozostawiając w przekonaniu ogólném uczucia niechęci i niedowierzania.

III.

Odkładając na bok wszelkie kwestye techniczne i specyalne, pragnę zatrzymać się nad jedną tylko stroną zamierzonéj kanalizacyi, mianowicie nad stroną ekonomiczną tego przedsięwzięcia. Czy miasto zdoła ponieść ciężar grożących wydatków?

Zanim będziemy mogli przejść do rozpoznania tego pytania, przedewszystkiém wypada zastanowić się nad znaczeniem podobnego przedsięwzięcia w życiu gospodarczém miasta.

Kanalizacya wszędzie, gdziekolwiek ją zaprowadzono, pochłonęła olbrzymie summy. Godzi się przeto zapytać, co powoduje wielkie nakłady, co usprawiedliwia wielkie ofiary, jakie miasta w tym kierunku ponoszą? Odpowiedź jest jedna: są to nakłady produkcyjne w całém znaczeniu tego wyrazu.

Nie potrzeba być zbyt biegłym obserwatorem, ażeby dostrzedz znamienny charakter tego rodzaju wydatków.

Obok zapewnienia miastu urządzeń, pożytecznych ze stanowiska sanitarnego, powiększają one bezpośrednio istniejące bogactwo społeczne, powiększają dobra ekonomiczne, które jedno pokolenie drugiemu

---

[1]) Patrz § 2 nowéj redakcyi projektu przepisów w przedmiocie kanalizowania oddzielnych nieruchomości.

[2]) Bloch l. c. annex 2 i 4. Obliczenia Makowieckiego i Mierosławskiego.

[3]) Bloch l. c. str. 74 i do 76. W téjże książce protokół delegacyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego str. 1 do 6. Nawet hr. Krasiński w memoryale, który złożył komitetowi, chociaż przeciwny jakiéjkolwiek przymusowéj kanalizacyi domów, proponuje jednak innego rodzaju przymus, a mianowicie pociągnięcie ogólne wszystkich właścicieli nieruchomości do opłaty za kanały, bez względu na to, czy ktoś ze swoją nieruchomością do kanalizacyi przystąpił, czy nie.

jako własność przekazuje. Nakłady podobne wyróżniają się tém właśnie od zwyczajnych rozchodów na bieżące potrzeby, że pozostawiają po sobie trwałe ślady. Grosz wydany w ten sposób nie ginie, pozostaje on wśród społeczeństwa pod widomą postacią podziemnego miasta kanałów i rur, przeznaczonych do przynoszenia ludności nieustannych usług i pożytków. Jeżeli daléj spytamy, czy podobne przedsięwzięcia procentują się, czy przynoszą one ze stanowiska ekonomicznego odpowiednie korzyści, odpowiedź i pod tym względem musi wypaść twierdząco. Przedewszystkiém miasta na drodze swojego rozwoju i rozrostu przychodzą do téj fazy, w któréj wytężona czujność i zastosowanie nadzwyczajnych środków porządku i czystości stają się koniecznemi. Ta konieczność przyszła dla Warszawy, z nią to trzeba było się policzyć, trzeba było jéj zadość uczynić, pod groźbą niemożności dalszego pomyślnego rozwoju. Nadto badania statystyczne wykazały, że kanalizacya nietylko umożliwia rozwój wielkich miast, lecz jeszcze sprowadza poprawę względnie do dawniejszego położenia, zmniejsza śmiertelność, zmniejsza choroby i przyczynia się do przedłużenia życia mieszkańców, co przedstawia wielką dla społeczeństwa ekonomiczną wartość. Nie idąc śladem zbyt gwałtownych zwolenników, którzy zwykli przypisywać kanalizacyi wszelką poprawę w zdrowiu i życiu ludności miejskich, jaka dała się gdziekolwiek zauważyć, można jednak na podstawie ścisłych obserwacyi na wyłączne dobro kanalizacyi zapisać zmniejszenie śmiertelności o 3 na tysiąc rocznie. Wykazał to z całą dokładnością John Simon, naczelnik służby sanitarnéj na całą Anglię, prowadząc obserwacye w 24 miastach angielskich. Podziela tę opinię dr. Pettenkofer i inni uczeni [1]). Przyjmując tę cyfrę dla Warszawy, przy ludności 450,000 osób, wypada zmniejszenie ilości zgonów w ciągu roku o 1,350 wypadków, a licząc 34 wypadki choroby na jeden zgon i 18 dni bezczynności na chorobę, jak to nauka ustaliła, oka-

[1]) Pettenkofer: „Populäre Vorträge“ str. 30 i 31. W Berlinie od r. 1875, w którym śmiertelność wynosiła 33 na 1,000, ujawnia się ciągła poprawa, tak że w r. 1885 stosunek śmiertelności wyobraża 24.37 na 1,000. Oczywiście nie całą korzyść można zaliczyć na rachunek kanalizacyi. Arnould l. c. str. 39 i 40, wykazuje zmniejszenie śmiertelności w Brukselli i Gdańsku od chwili dokonania kanalizacyi, gdy tymczasem w mieście Lille, na północy Francyi, gdzie kanalizacyi nie ma, śmiertelność przedstawia się niezmiennie w stosunku 29 na 1,000. Podobnez przykłady przytacza Lorenz: „Ueber Städtereinigung speciell Abfuhr und Verwertung der Fäcalstoffe“, Brünn 1884, str. 4, 17 i 18 dla różnych miast. L. Suligowski l. c. str. 2, na podstawie innych źródeł, przypisuje kanalizacyi poprawę pod względem śmiertelności o 6 na 1,000; komitet hygieny publicznéj z łona Towarzystwa Lekarskiego warszawskiego idzie jeszcze daléj, określając korzyści na 6 do 12 na 1,000. „Gazeta Lekarska“ z r. 1889 № 2, str. 44,

zuje się, że przy zmniejszeniu śmiertelności o 3 na 1,000, miasto o 450,000 ludności zaoszczędzić sobie może 827,550 dni choroby. Gdybyśmy ocenili stratę takiego dnia na rs. 1, to w ogólnym obrachunku wyniknie dla miasta 827,550 rs. rocznéj oszczędności.

A co wyobraża taka cyfra? Ona stanowi procent 5 od sta od 16½ milionów [1]). Ta jednak okoliczność po za obrębem wszelkich innych oczywistych korzyści wykazuje dowodnie, że nakłady na kanalizacyę opłacić się mogą.

Ale nie dość na tém. Kanalizacya budzi pewne ożywienie ekonomiczne. Miliony się rozejdą, to prawda, ale te miliony dają całym zastępom zarobek i korzyść. Zarabiają fabryki i zakłady, dostawcy i przedsiębiorcy, ludzie inteligentni i robotnicy. W Warszawie podczas letnich siedmiu miesięcy liczba pracujących przy kanalizacyi robotników dochodzi do 2,500 ludzi. A po ukończeniu przedsięwzięcia, wykończanie takowego i konserwacya zapewni również pracę znacznéj ilości pracowników.

Kosztów kanalizacyi nie można oceniać na łokieć zwyczajnych wydatków, ponieważ są one całkiem odmiennéj natury. Miasto, czyniąc podobne wydatki, nietylko wykonywa obowiązek humanitarny względem swoich mieszkańców, a zwłaszcza biédniejszéj ludności, ale nadto robi dobrą operacyę ekonomiczną i przykłada się do podniesienia życia i ruchu ekonomicznego.

Ustaliwszy sobie właściwy punkt wyjścia, powróćmy do zapytania, czyby istotnie zamierzona kanalizacya przechodziła siły materyalne Warszawy?

IV.

Zacznijmy od kanalizacyi miejskiéj, to jest od kanalizacyi ulic i placów, którą municypalność przeprowadza.

Wodociągi i pierwsze trzy serye robót kanalizacyjnych, które w ciągu roku bieżącego zostaną już całkowicie ukończone, pochłonęły do téj pory przeszło 7,000,000 rs. W chwili przystąpienia do robót, miasto posiadało zapasu przeszło 1,100,000 rs., na pokrycie reszty wypuszczono obligacye w trzech seryach na 6,180,000 rs. [2]). Wykończenie trzeciéj seryi, oraz zamierzona serya czwarta robót, wymagać będzie nakładu przynajmniéj 4 do 5 milionów, co wyniesie razem 12

---

[1]) Podobnyż rachunek przeprowadza Pettenkofer dla Monachium, l. c., str. 30 i 31.

[2]) Budżet miasta Warszawy na rok 1890, str. 8.

milionów rs. Po wykończeniu tych robót część miasta najbardziéj zacieśniona, najbardziéj domagająca się uzdrowotnienia, będzie skanalizowana. Pozostaną do uzupełnienia różne poprzecznice, oraz perefeferye zewnętrzne, dla ostatecznego jeżeli nie zaraz, to w późniejszéj epoce wykończenia. Pomijając te prace przyszłości, może nie tak bliskiéj, zaprojektowana kanalizacya i wodociągi, jak już wspomniałem, kosztować będą 12 milionów rs.

Dług zaciągnięty przez miasto wynosi jak dotąd 6,180,000, a dodawszy nową pożyczkę na pokrycie robót czwartéj seryi, urośnie on zapewne do wysokości 10½, jeżeli nie 11 milionów rs. Na amortyzacyę i procenty od pierwszych trzech seryi pożyczki kanalizacyjnéj potrzeba rocznie rs. 355,992 kop. 50 [1]), która to kwota podniesie się do 500 i więcéj tysięcy rubli, gdy pójdzie w obieg pożyczka na pokrycie robót czwartéj seryi. Kwota pół miliona rubli stanowi wielki ciężar, którego lekceważyć nie można, ale nie ma téż racyi twierdzić, aby ciężarowi temu miasto półmilionowe podołać nie mogło. Rozejrzyjmy się bliżéj w téj sytuacyi. Że miasto musiało obciążyć się długiem, to każdy z łatwością zrozumiéć może. Zapasów na tak wielkie nakłady miasto miéć nie mogło, i do pożyczki uciec się musiało. Nie było zresztą miasta w Europie, któreby z zapasów prowadziło kanalizacyę, wszędzie uciekano się do drogi nadzwyczajnego kredytu [2]). Za szczęśliwą już okoliczność poczytać należy to, że miasto, przystępując do kanalizacyi, nie miało prawie długów, a przynajmniéj bardzo mało [3]), że posiadało zasób dość znaczny gotówki, że wreszcie w budżetach swoich stale wykazywało pewną superatę, z któréj właśnie powstał ów zapas pieniężny. Jeżeli zaś weźmiemy budżet m. Warszawy, wykazujący, jak obecnie, dochody zwyczajne miasta, na 2,779,952 rs. w ciągu roku, pomijając wpływy nadzwyczajne, jeżeli zestawimy tę cyfrę dochodową z obciążeniem na 335,992 rs., jaką pożyczka kanalizacyi zrodziła, lub choćby nawet z obciążeniem na 500 do 600 tysięcy rubli, do któréj to kwoty obciążenie w przyszłości urość może, to jeszcze położenia roz-

---

[1]) Budżet, str. 9.

[2]) Na posiedzeniach delegacyi Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, jaka w roku zeszłym pod przewodnictwem p. Blocha nad kanalizacyą obradowała, zarzucano miastu, że rozpoczęło kanalizacyę nie zebrawszy wprzódy potrzebnych środków, jak to gdzieindziéj jakoby miało miejsce. Zarzut taki poczytać należy za wybryk krasomówczy. Bloch, l. c., str. 65, głos p. Bardzkiego.

[3]) Z dawniejszych długów miasta zasługują na wzmiankę dług na wybudowanie zjazdu i mostu żelaznego, dług na dawne wodociągi i dług na budowę spalonego ratusza. W epoce, gdy się zaczęły kanalizacyjne roboty, na mieście ciążyło wszystkiego kilkaset tysięcy rubli.

paczliwém nazywać nie można, jak to w ostatnich czasach zbyt często prawiono. Dalej nie należy pomijać, że w ciągu roku bieżącego miasto spłaca skarbowi ostatnią już ratę za koszary Mirowskie wynoszącą rs. 81,543 kop. 53, a z rokiem 1893-im ukończy się amortyzacya długu, zaciągniętego na koszta urządzenia i budowy mostu, która obciążała budżet roczny kwotą rs. 67,684 kop. 77. Z tych dwóch rubryk powstanie w budżecie wydatków miejskich zmniejszenie blisko na rs. 150,000 rocznie, co w danéj chwili ułatwić powinno nieco położeniu.

Ale, co ważniejsza, amortyzacya i procenty od pożyczki kanalizacyjnéj znajdą pokrycie w budżecie miejskim niezależnie zupełnie od dochodów, jakie posiada miasto po za obrębem wody i kanalizacyi.

W istocie, miasto nasze, podobnie jak to ma miejsce gdzieindziéj, pobiera opłatę za wodę i kanalizacyą. Po rozszerzeniu wodociągów mają one dostarczać 800,000 stóp wody na dobę. Zamykając konsumcyę płatną w $^{2}/_{3}$ częściach téj ilości, i przyjmując ją za 530,000 stóp, czyli za 1,150,000 wiader dziennie, dochód za wodę, licząc po 1 kop. za 100 wiader wynosić powinien w przyszłości 1,265 rubli. W takim razie wypadłoby rocznie przeszło rs. 460,000 [1]). Za kanalizacyę pobiera się 40% od opłaty za wodę; co stanowiłoby 184,000 rs., gdyby wszystkie połączone z nowemi wodociągami domy zostały skanalizowane.

Jeżeli jednak strącić coś z téj ostatniéj cyfry, z zasady, że nie wszystkie posiadające wodę wodociągową domy przystąpią do kanalizacyi, to jeszcze przyjąć można cyfrę 100,000 za prawdopodobną, która w połączeniu z poprzednim dochodem wyobraziłaby rs. 560,000. Tym sposobem okazuje się, że miasto ma szansę posiadania wprost z wodociągu i kanalizacyi takiego wpływu, jaki na amortyzacyę i procenta od pożyczki kanalizacyjnéj może być potrzebny. Być może, że wpływ ten w przyszłości przekroczy nawet obecne przewidywanie, być może, że przyjdzie chwila, w któréj będzie można obniżyć opłatę za wodę, ale, porzucając wszelkie przypuszczenia, pozostanie zawsze pewném, że dochód z tego źródła większy lub mniejszy, miasto mieć może i mieć będzie.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, łączenie się z wodociągami i kanalizacyą w miarę czasu rozwijać się będzie, a skutkiem tego dochód chociażby powoli, wzrastać nie przestanie. Wszystko więc zdaje się przemawiać za tém, że kanalizacya i wodociągi same za sie-

[1]) Bloch l. c. str. 23 oblicza ten wpływ na rs. 400,000. W cytowanym memoryale obywateli z r. 1888 określono ten dochód po skanalizowaniu miasta aż na 822,571 rs.! Zdaje się, że cyfra ta była bardzo przesadną.

bie zapłacą, a po dokonaniu amortyzacyi i pokryciu pożyczki stać się mogą w dalszéj przyszłości źródłem, wielkiego dla miasta dochodu, o czém także zapominać nie należy. Lecz w tym rachunku pominąłem koszta utrzymania kanalizacyi i wodociągów. Przypuśćmy, że na te koszta zabraknie, przypuśćmy nadto, że zabraknie cośkolwiek na koszta amortyzacyi, przypuśćmy więc, że wypadnie miastu pokrywać jakiś niedobór z innych źródeł wpływu, to nawet przy tak niepomyślnym obrocie rzeczy do stawiania horoskopów o kryzysie finansowym dla miasta nie ma co mówić [1]). Czy niedobór ten wyniesie 100,000 rs. czy 200,000, czy więcéj, miasto zdoła, jak trzeba przypuszczać, ustalić równowagę finansową przy dzisiejszych środkach bez potrzeby nakładania nowych ciężarów. Nie zawadzi przypomnieć ową ulgę na 150,000 rs. rocznie, jaką miasto pozyska w krótkim czasie, gdy zamknie całkowicie amortyzacyą dawniejszych swoich długów. Ta ulga odrazu pokrywać może 150,000 rs. deficytu rocznie, o ileby deficyt istotnie w rachunku kanalizacyjnym się okazał [2]).

Śmiem téż twierdzić, że gdyby nawet miasto po robotach czwartéj seryi przystąpiło w przyszłości do wykonania dalszéj kanalizacyi dla dokończenia dzieła uzdrowotnienia, dodatkowy ciężar, jakiby stąd wypadł, również nie doprowadziłby miasta do ruiny, zwłaszcza, że w miarę rozszerzania sieci kanalizacyjnéj podnosić się będzie dochód kasy miejskiéj z tego źródła.

Nie idzie zatém, ażeby lekkomyślnie obciążać miasto długami, nie można być w téj mierze dosyć umiarkowanym, oszczędność grosza publicznego wśród biédnego społeczeństwa jest konieczną, ale nie należy téż zagważdżać dzieła użyteczności powszechnéj pod groźbą rzekomego bankructwa. Krytykujmy szczegóły, domagajmy się oszczędności w samém wykonaniu, bo każdy grosz zmarnowany napróżno stanowi stratę ogólną, ale nie odrzucajmy koniecznych potrzeb i nakładów.

Istnieje jeszcze inny sposób sprawdzenia, czy dług zaciągnięty z powodu kanalizacyi przewyższa siły miasta. Dotychczasowa po-

---

[1]) Bloch, l. c., str. 47. Stoję tu w sprzeczności z poglądem p. Blocha.

[2]) P. Bloch, l. c., str. 22 i 23, oblicza koszta kanalizacyi Warszawy na głowę. Rachunek to bardzo pożądany, ale niestety! jak w téj chwili przedwczesny, skoro roboty nie zostały ukończone. Wniosek téż p. Blocha o tém, że kanalizacya kosztować będzie 75 rs. na głowę, nie ma żadnéj podstawy, zwłaszcza, że opiera się na dowolnie wziętych cyfrach kosztów i mieszkańców, dla których kanalizacya ma służyć. Z tego samego powodu błędny jest rachunek p. Blocha, co do kosztów wody na głowę (str. 25). Przy braku zaś ustalonych w téj mierze cyfr. porównania z zagranicą nie dają się dzisiaj przeprowadzić.

życzka trzech seryi wynosiła 6,180,000 rs., a po zamortyzowaniu pewnéj kwoty wyobraża w téj chwili 6,031,200 rs. Suma ta łącznie z resztą długów miasta za zjazd i koszary Mirowskie stanowi 6,355,398 rs., co daje przecięciowo na głowę podług ilości mieszkańców 14 rs. 12 k. Zamieniając tę cyfrę na franki, i licząc 36½ kop. za franka, wedle obecnego kursu, obdłużenie wynosi na głowę 39 franków. Jest to obdłużenie, jak na biédne społeczeństwo, znaczne; ale pocieszyć się można, że nie dochodzi ani w połowie tego obdłużenia, jakie ma miejsce w innych większych miastach europejskich. Nie mówiąc o stolicach, które są wyjątkowo wielkiemi obłożone długami, według tablic d-ra Körösi prawie każde miasto z ludnością ponad 100,000 mieszkańców ma długów więcéj, aniżeli 100 fr. na głowę. Tak naprzykład w Monachium długi miasta wynoszą 200.12 na głowę, w Budapeszcie 104.66, w Dreznie 114.10, w Pradze Czeskiéj 190.37, a we Frankfurcie nad Menem, właśnie z powodu dokonanéj kanalizacyi, aż 304.71 fr. na głowę. Nawiasowo dodam, że Paryż przedstawia nieprawdopodobną cyfrę 810 fr. 24 cent. na głowę [1]).

Rozumie się, że przy naszém ubóstwie nie możemy się równać z bogatemi miastami zachodniemi, ale téż cyfry przekonywają, że stoimy jeszcze daleko po za niemi.

Gdyby nawet długi Warszawy przy dalszych robotach kanalizacyjnych urosły do 60 fr. i więcéj na głowę, to jeszcze nie będzie potrzeby wywoływać widma ruiny, a to chociażby z tego powodu, że kanalizacya otwiéra rubrykę nowego dochodu, który przy odpowiedniéj gospodarce przyczynia się znakomicie, jeżeli nie w zupełności, do pokrycia zaciągniętego długu.

Mówiąc o pożyczce kanalizacyjnéj, niepodobna pominąć milczeniem kwestyi kursu obligacyi kanalizacyjnych. W pierwszéj chwili Magistrat wypuszczał w obieg po kursie 92 za 100, w roku zeszłym kurs ten spadł na 89 za 100, a i w téj chwili nie wiele lepiéj stoi.

Skutek tego niskiego kursu jest taki, że miasto, wypuszczając w obieg milion rubli, otrzymać może obecnie zaledwie 900,000 rs., czyli traci na każdym milionie 100,000 rs. Powiadam traci, bo kwota nominalna musi być przez amortyzacyę pokryta, i od niéj trzeba uiszczać odsetki. Wypuszczanie obligacyi odbywało się przy pośrednictwie banków, i dopiéro w roku zeszłym municypalność odważyła się po raz

---

[1]) Joseph Körösi. „Bulletin annuel des finances des grandes villes." Budapest. 1888, str. 46. Wyjątek stanowi Moskwa, nie posiadająca dotąd kanalizacyi, bo odłużenie tego miasta wyobraża zaledwie 12 fr. 13 cent. na głowę. Cyfry te dotyczą roku kalendarzowego 1883.

pierwszy na otworzenie zapisów w Magistracie, bez pomocy bankierów. Próba wypadła nie dosyć pomyślnie, zapisy pokryły zaledwie trzecią część zaofiarowanéj do rozkupu sumy. Ale dziwić się temu nie można, chwila do podobnéj próby była źle wybrana, przypadła ona na epokę rozdraźnienia i niezadowolenia z powodu kanalizacyi, a więc na epokę nieodpowiednią do inowacyi.

Bankierzy, biorąc za złe municypalności, że pozbawia ich bankierskiego pośrednictwa, zachowali się obojętnie, a krzyki o rzekoméj ruinie miasta skutkiem kanalizacyi, nie mogły popchnąć kół szerszéj publiczności do udziału w zapisach.

Żałować należy, że podobnéj próby nie urządzono wcześniéj, w epoce zapału dla sprawy, czyli inaczéj mówiąc, że nie posiadano w swoim czasie dostatecznego zaufania w siły ogółu. Cokolwiek i jakkolwiekbądź było, dosyć, że kurs spadł. Że do tego niepomyślnego rezultatu przyczynić się mogło nieukontentowanie, o jakiém była mowa, o tém trudno wątpić.

Każdego nawet najmniéj obznajmionego z obrotami finansowemi, uderzać musi różnica, jaka zachodzi pomiędzy kursem obligacyi m. Warszawy, a kursem listów zastawnych, czy ziemskich, czy miejskich, czy choćby nawet prowincyonalnych. Różnica ta wynosi, jak obecnie 4 do 8 na sto na niekorzyść obligacyi kanalizacyjnych. Porównajmy te ostatnie z listami zastawnemi m. Warszawy, czyżby obligacye kanalizacyjne stanowiły gorszy papier od warszawskich listów zastawnych? Wprawdzie pożyczki Towarzystwa kredytowego zajmują pierwsze miejsce na hypotece obciążonych nieruchomości, bezpieczeństwo więc listów zastawnych opiéra się na pierwszéj hypotece, ale obligacye kanalizacyjne, jak to łatwo wykazać, nie mniéj dobrą posiadają gwarancyę. Niezależnie od wpływów za wodę i kanalizacyę, które dla kasy miejskiéj stanowią naturalne źródło pokrycia pożyczki kanalizacyjnéj, amortyzacya i procenty od obligacyi m. Warszawy wchodzą w całokształt budżetu miasta, i znajdują oparcie na wszystkich przychodach miasta, a więc i na całéj sile podatkowéj. Tymczasem podatki od nieruchomości [1]), stanowiące główną rubrykę dochodową miasta, wedle obowiązującego prawa (art. 41 ust. hyp. z r. 1818, art. 9 prawa o przywilejach i hypotekach z r. 1825 i liczne inne późniejsze postanowienia) uważają się za należności uprzywilejowane, korzystają z egzekucyi natychmiastowéj administracyjnéjnéj, a w zbiegu

---

[1]) W budżecie na rok 1890 podatki téj kategoryi obliczone są na rs. 877,168 i rs. 213,790, czyli razem na rs. 1,090,958, co stanowi ⅖ całego budżetu dochodów zwyczajnych.

z wierzycielami zachowują pierwszeństwo przed wszelkiemi nawet hypotecznemi należnościami, a więc i przed pożyczką Towarzystwa Kredytowego. Jest to zatém najlepsza rękojmia, jaką wierzycielowi dać można. Cokolwiekby kto chciał zarzucić gospodarce miejskiéj, czy to z tytułu braku organów samorządu, czy braku udziału bezpośredniego obywateli w jéj sprawach, to przecież siła podatkowa i przywiléj podatkowy, są faktami nieulegającemi zaprzeczeniu.

Obligacye kanaliyacyjne, o których mowa, oparte na takiéj podstawie, przedstawiają gwarancyą pod pewnym względem nawet wyższą od listów zastawnych m. Warszawy, a dając dzisiaj przy niskim kursie więcéj aniżeli 5½%, stanowią dobrą lokacyą dla kapitału.

Strona prawna zabezpieczenia opartego na przywileju dla nieobeznanych z prawem i stosunkami adminstracyjnemi, może być niejasną, ogół może nie zdawać sobie dobrze z niéj sprawy, i dla tego trudno się dziwić, że gdy na alarm biją i ze wszech stron trwogę szerzą i do kupna papieru na zniesławione przedsięwzięcie nikt nie nabiéra ochoty.

Papiér, który powinien cieszyć się w mieście popularnością, traci pokup i zamiast w miarę czasu podnosić się w kursie, spada na dół.

V.

Przejdźmy teraz do kanalizacyi wewnętrznéj domów. Jest to najdraźliwszy punkt całéj sprawy, bo chodzi tutaj o nakłady, z kieszeni właścicieli domów.

Przedewszystkiém należy wyjaśnić, czego miasto od obywateli żąda, i jaka jest natura wymaganych nakładów?

Po licznych uprzednich nieporozumieniach, kwestya ta obecnie doszła do zupełnego wyjaśnienia. Miasto, czy raczéj municypalność, nie narzuca obywatelom obowiązku wszechstronnego kanalizowania nieruchomości, przekształcania mieszkań i zaprowadzania zmian w urządzeniu domu, miasto wedle nowéj redakcyi odnośnych przepisów [1]) stawia za zasadę połączenie nieruchomości z kanałami za pomocą przykanaliku z jednym przynajmniéj ogólnym spustem w obrębie podwórza dla ścieku wód brudnych i odpadków, przy dodaniu nadto obowiązku urządzenia jednego ogólnego, złączonego z kanalizacyą ustępu.

Tak postawione żądanie zwalnia obywateli od zbyt znacznych

---

[1]) Str. 2 do 5.

kosztów. Wedle obliczeń dokonanych przez p. Makowieckiego, podobna ograniczona kanalizacya, zajmując pośrednie miejsce pomiędzy wszechstronną a minimalną, wyniesie przecięciowo na nieruchomość rs. 1816, wtedy gdy minimalna bez skanalizowanego ustępu kosztowałaby w przecięciu rs. 1531 [1]). Obliczenia p. Makowieckiego okazały się w praktyce cokolwiek przesadnemi [2]). Ale zatrzymajmy się na tym rachunku. Tym sposobem wypada, że właściciele potrzebują zaforszusować na kanalizacyę przecięciowo po rs. 1816. Jak widzimy, cyfra nie taka straszna, jakkolwiek lekceważyć jéj nie można.

Przy względzie na to, że zamierzona kanalizacya nie obejmuje całego miasta, oraz mając na uwadze wyjątkowe wyłączenia, które zdarzyć się mogą, sądzę, że ideał będzie dla Warszawy osiągnięty, jeżeli połowa prywatnych warszawskich nieruchomości, czyli 2100 nieruchomości [3]) otrzyma kanalizacyę. Licząc po rs. 1816, kanalizacya ta kosztować będzie 3,876,600 rs. Ten wydatek nie będzie wyrzucony na marne. Jak już wspomniałem, traktując o kanalizacyi miejskiéj, powiększy on zasób społeczny. Każdy dom, otrzymujący urządzenie kanalizacyjne, obok korzyści dla życia i zdrowia lokatorów, zyskuje pod względem wykończenia i wewnętrznéj wartości. Inna kwestya, czy to podniesienie istotnéj wartości przyniesie zaraz korzyści. Być może, że ono na razie nie da się ocenić, ale nie można wątpić, że rzecz ulepszona będzie posiadała większą istotną wartość od rzeczy zaniedbanéj [4]). Zwolna nakłady kanalizacyjne muszą wpłynąć na cenę obiegową nieruchomości i sprowadzić pewne jéj podniesienie. Wypływa to z natury rzeczy w myśl prawa ekonomicznego, wedle którego koszta nakładu stanowią jeden z ważnych czynników ceny. Czynnik ten pod wpływem niepomyślnych konjunktur czasami się maskuje, chowa po za innemi okolicznościami, przecież oddziaływać będzie, bo to leży w koniecznéj logice faktów. Gdy naprzykład z powo-

---

[1]) Bloch l. c. str. 17 i anneks Nr. 2.

[2]) Jako dowód przytoczyć mogę wielki dom Nr. 496, na rogu Miodowéj i Senatorskiéj, którego kanalizacya więcéj aniżeli pośrednia, bo z dwoma klozetami na piętrach, kosztowała rs. 4900, pomimo, że dom ten pod względem obszerności należy do wyjątkowych w Warszawie. Bloch l. c., anneks 4-ty. Ta cyfra zaledwie przekracza przeciętny koszt, wykryty przez p. Makowieckiego dla wszechstronnéj kanalizacyi, który oblicza p. M. na rs. 4676.

[3]) Wedle lustracyi z r. 1886 prywatnych nieruchomości było 4215.

[4]) Wbrew temu, memoryał trzynastu obywateli z r. 1888 twierdzi, że w razie przymusowego kanalizowania nieruchomości, wartość ich się obniży, a mianowicie wedle rachunku autorów memoryału o 14,719,040 rubli! Gdy się czyta dzisiaj te wywody, to się czuje, że tylko w chwili ogólnego zniechęcenia, ludzie należący do zamożnéj inteligencyi mogli coś podobnego podpisać.

du nadmiernego zaofiarowania do sprzedaży, lub zbyt małego pożądania kupna, nieruchomości zaczną spadać w cenie, spadek ten dotknie wszelkie nieruchomości, a więc i te, gdzie czyniono nakłady i melioracye, lecz uważny spostrzegacz z pewnością zauważy, że obniżenie ceny co do tych ostatnich nieruchomości, będzie mniéj dotkliwe, aniżeli innych.

Z pewną śmiałością można również twierdzić, że nakłady pożyteczne w rodzaju tych, jakie wymaga kanalizacya, nie zmniejszą dochodu właścicielowi domu, chociażby powoli, ale mu go zwiększą, gdyż uzdrowotnienie nieruchomości musi uczynić mieszkania w niéj więcéj pożądanemi. I tutaj, nie od razu, prawda, daje się sprawdzić, i tutaj w chwilach upadku cen lokali prawda może się maskować, przecież w ostatecznym rezultacie ujawni się ona i ujawnić się musi. W końcu okaże się, że nakłady na kanalizacye były tylko awansami, które z procentem powrócą do kieszeni właścicieli. Przyjdzie, jak sądzę czas, kiedy nie jeden z właścicieli zmieni dzisiejszy pogląd, i pochwali tę chwilę, w któréj do pożytecznych ulepszeń przynaglano.

Zresztą jakiekolwiek mogą być pod tym względem zdania, pozostanie pewném, że wszelki nakład na kanalizacyą właściciel domu czyni, u siebie, w swojéj nieruchomości, i dla siebie, bo ta nieruchomość do niego przez skanalizowanie należéć nie przestanie. Jest to ważna okoliczności, która tłómaczy, dla czego koszta wewnętrznéj domowéj kanalizacyi nie miasto, lecz samych właścicieli dotykać powinny.

Gdy rozprawiano nad kwestyą nakładów na kanalizacyę, twierdzono głośno i stanowczo, że właściciele domów, znajdują się w nader przykrém położeniu, że hypoteki ich obciążone są do 75% wartości, że zgoła nie ma możności czynienia nakładów [1]).

Przedewszystkiém zauważyć należy, że zdania o nadmierném obciążeniu hypotek nie posiadały żadnéj podstawy, dla téj prostéj przyczyny, że żadnego obliżenia w tym względzie dotychczas u nas nie dokonano. Jest to rzeczą dziwną, a przecież prawdziwą, że stan zadłużenia hypotecznego pozostaje u nas bez jakiéjkolwiek kontroli i ujawnienia [2]). A przecież podobne obliczenia byłyby bardzo pożyteczne. Niech to będzie uwaga pod adresem Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy, któremu możnaby polecić do naśladowania to, co

---

[1]) Bloch l. c. str. 20 i str. 18. Memoryał trzynastu obywateli złożony Towarzystwu Kredytowemu m. Warszawy w grudniu 1888 r.

[2]) Mówię tu o zadłużeniu miasta wogóle, bo hypoteki poszczególnych nieruchomości są jawne i obejmują stosowne wskazówki.

przed kilku laty zrobiło Towarzystwo kredytowe ziemskie, zarządzając sprawdzenie hypotek ziemskich. Bądź-co-bądź, jak nateraz, nie posiadamy w ręku materyałów dla ocenienia, o ile i do jakiego stopnia hypoteki nieruchomości warszawskich są obciążone.

W braku cyfr odpowiednich, możemy robić wnioski tylko na podstawie ogólnych spostrzeżeń.

Otóż dostrzegamy w życiu, że nieruchomości miejskie cieszą się o wiele lepszym kredytem, aniżeli hypoteki wiejskie, chociażby w gubernii warszawskiéj położone. Gdy idzie o wybór, kapitalista przekłada hypotekę miejską, a to tak dalece, że należy to już do rzeczy notorycznie znanych i ustalonych.

Nie chcę przesądzać znaczenia tego zjawiska, ale przecież lepszy kredyt jest objawem dowodzącym lepszego stanu i mniejszego obciążania długami.

Jeżeli zwrócimy się do umów o sprzedaż nieruchomości miejskich, znowu dostrzegamy ciekawe zjawisko. Gdy chodzi o cenę, sprzedawca usprawiedliwić musi zawsze dochód do wysokości przynajmniéj 10% brutto lub 7% netto, bez czego o kupnie nie ma mowy. Czegoż to jest dowodem? Oto, że wedle ustalonych pojęć, dom warszawski powinien przynosić nie mniéj jak 7% na czysto. Jeżeli się zdarzają wyjątki, to nie częste, reguła stoi na miejscu, i podług téj modły układają się stosunki. Ogólne spostrzeżenia nie potwierdzają zatém krzyków, ani o nadmierném obdłużeniu, ani o rozpaczliwém położeniu tych, którym los przeznaczył w udziale posiadanie domu na własność w Warszawie.

Natomiast prawdą jest co innego, a mianowicie prawdą jest to, że chwila obecna skutkiem ogólnéj stagnacyi ekonomicznéj, nie zachęca do czynienia nakładów. Specyalnie daje się to spostrzegać w kierunku domów w Warszawie. Niedawno pomiędzy 1870 a 1882 rokiem, Warszawa podczas gwałtownego przyrostu ludności przebyła epokę gwałtownego wzrostu ceny mieszkań i niemniéj gwałtownego wzrostu ceny domów. Z roku na rok ceny szły w górę, a w ciągu dwunastu lat nieruchomości doszły do podwójnéj, a nawet do potrójnéj, w porównaniu z dawniejszą, ceny; po tym wyjątkowym czasie, przyszła epoka spokojniejsza, wzrost ustał, ceny się ustaliły, a nawet nieco obniżyły i w takiém stadyum ekonomiczném znajdujemy się właśnie obecnie.

Położenie w zestawieniu z poprzedniém, wydaje się przykrém, nie jest ono przecież jeszcze rozpaczliwém. Ale w oczach tych, którzy mają świéżo w pamięci inne warunki gorsze czasy nie mogą zasługiwać na pochwałę. A tutaj właśnie w takich czasach mówią o na-

kładach, domagają się ofiar i wydatków nadzwyczajnych! Czy można to uczynić?

Przyjrzyjmy się najprzód kilku cyfrom. Wedle lustracyi dochodowéj z r. 1886, nieruchomości warszawskie, należące do prywatnych właścicieli, a było ich 4,215, przynoszą rocznego dochodu 17,261,460 rs. [1]). Jeżeli strącimy z tego 33% na ciężary i konserwacyę domów, to otrzymamy czystego dochodu przynajmniéj, 11,507,640 rs., powtarzam przynajmniéj, bo lustracya nigdy nie wykaże prawdziwego dochodu, którego część zawsze zdoła się ukryć. Strąciwszy daléj na opłatę rat pożyczek Towarzystwa Kredytowego 2½ miliona [2]) pozostanie jeszcze 9 milionów, z których część pójdzie na procenta dla prywatnych wierzycieli hypotecznych, reszta zostaje przy właścicielach. Cyfry trudno określić, ale z pewną słusznością przypuszczać należy, że większa część tych 9 milionów stanowi czysty dochód właścicieli owych 4215 nieruchomości. Jakiż wydatek grozi tym właścicielom z powodu wewnętrznéj kanalizacyi domów? Jak już obliczyliśmy poprzednio 3,876,600 rs. Dla załatwienia tego wydatku przychodzi z pomocą Towarzystwo Kredytowe. Pozyskało ono upoważnienie do wydawania dodatkowych na ten cel pożyczek do wysokości 10% pożyczek już wydanych. Że zaś dotychczasowe pożyczki wynoszą sumę przeszło 40 milionów, z tego mogłoby wynikać, że towarzystwo wyda 4 miliony i pokryje cały koszt. Jednakże wniosek taki nie byłby słuszny; wiele nieruchomości obciążonych pożyczką towarzystwa nie leży wcale przy kanałach, i te trzeba wytrącić z rachunku, daléj nie każda nieruchomość zdoła pozyskać pożyczkę, zwłaszcza całkowitéj ilości 10% poprzedniéj pożyczki, słowem pomocy Towarzystwa nie należy przeceniać. Przypuśćmy, że towarzystwo wyda połowę tego, coby w zasadzie wydać mogło, czyli, że wyda tylko 2 miliony rubli. W takim razie pozostanie do pokrycia przez obywateli z bieżących dochodów 1,876,600 rs. Jest to cyfra poważna. Gdyby wypadło wydatkować taką sumę odrazu, byłoby trudno; ale rozłożywszy wydatek na czas dłuższy, na przeciąg lat pięciu, jak tego zdaje się pragnąć obecnie Magistrat [3]), sprawa da się załatwić z dobrem miasta i mieszkańców, a bez dotkliwego uszczerbku dla właścicieli domów.

---

[1]) Cyfrę tę otrzymałem z Magistratu m. Warszawy.

[2]) Pożyczek wydano więcéj aniżeli 40 milionów rubli, raty obliczają się podług normy dochodzącéj do 7%, zatém rocznie wynosić one mogą około 3 milionów w rachunku przybliżonym. Ale, nawet suma 2½ mil. została przezemnie zbyt hojnie przyjęta do rachunku, gdyż w skład rat wchodzi amortyzacya, która powiększa mienie właścicieli domów drogą stopniowego umarzania należności.

[3]) § 2 nowego projektu przepisów.

Jeszcze jedno porównanie.

Jak widzieliśmy, dochód roczny z warszawskich prywatnych nieruchomości wynosi 17,261,460. Stosownie do obliczeń statystycznych, trzecią część izb i mieszkań zajmuje biédna ludność miasta, która ilościowo przedstawia dwie trzecie zaludnienia [1]). Otóż ta biédna ludność składa rocznie tytułem komornego trzecią część ogólnego dochodu czyli blisko 6 milionów rubli. Inaczéj mówiąc, biédacy, złożeni z rzemieślników, oficyalistów, pisarzy, robotników, praczek, szwaczek i wszelkiego rodzaju biednych pracowników, dostarczają co rok właścicielom domów 6 mil. rubli; czyżby wzajemnie właściciele domów nie mogli pokryć dla dobra ogólnego (we własnych domach) w ciągu lat pięciu nakładu wynoszącego zaledwie 1,876,600 rs. po za obrębem przypuszczalnéj ze strony Towarzystwa kredytowego pomocy?

Zresztą, o co właściwie spór idzie? Zastanówmy się jeszcze nad tém przez chwilę. Kiedy delegacya obywateli z łona Towarzystwa kredytowego deliberowała nad kanalizacyą domów, to przecież kanalizacyi téj nie odrzuciła. Na pochwałę delegacyi powiedziéć należy, że uznała ona kanalizacyą domów za konieczną, nawet przymus za usprawiedliwiony, domagała się tylko ograniczenia kanalizacyi do minimalnych granic i protestowała przeciwko obowiązkowemu spuszczaniu odchodów ludzkich do kanałów. Otóż w tym punkcie delegacya nie miała racyi [2]). Ustępstwo w tym punkcie dla uzdrowotnienia miasta jest konieczne, a że ono nie obciąży materyalnie właścicieli domów, tego dowodem prosty rachunek. Na zasadzie powoływanych już obliczeń p. Makowieckiego, koszt proponowanéj przez delegacyą kanalizacyi, wynosi przecięciowo 1531 rs., zaś kanalizacya pośrednia, jakiéj domaga się municypalność, to jest kanalizacya z dodaniem ogólnego skanalizowanego ustępu, kosztować będzie w przecięciu 1846, różnica o rs. 315. Czy tam, gdzie idzie o dobro całego miasta, można się o tę różnicę targować? Na 2100 nieruchomości, jakie przypadną

---

[1]) Patrz moją pracę: Kwestya mieszkań str. 13.

[2]) Dla usprawiedliwienia konieczności skanalizowania ogólnego ustępu, municypalność między innemi przytaczała tę okoliczność, że przy minimalnéj kanalizacyi trudno będzie uniknąć spuszczania odchodów ludzkich do kanałów drogą defraudacyi przez upust podwórzowy. Delegacya nie podzielała tego zarzutu, aliści w końcu r. z. wypadek przy ulicy Podwale stwierdził słuszność obaw magistratu. Defraudacya podobna miała miejsce i ujawniła się skutkiem téj okoliczności, że w danym wypadku śmierć poniosło dwóch ludzi, którym właściciel domu dla łatwiejszego przepompowywania ekskrementów do przykanaliku za pomocą rury, polecił spuścić się do dołu kloacznego. Sprawa toczy się w tym przedmiocie na drodze sądowéj.

do skanalizowania, wyniesie to 661,500 rs. Co znaczy taki nakład, gdy on się rozłoży na lat pięć pomiędzy 2100 właścicieli? Cyfry wytrącają z ust wszelkie wymówki, a dobro ogólne rozcina kwestyą.

IV.

Dobiegliśmy tym sposobem do wyjaśnienia sprawy. Jeżeli cofniemy się myślą w minioną epokę wzburzenia, spostrzegamy jasno, ile było przesady i zbytniéj trwogi. Nigdy może przypowieść o strasznym dyable, gdy go malują, nie dałaby się słuszniéj zastosować do zdarzenia, jak tutaj. Przyjrzawszy się rzeczy zbliska, widzimy, że dyabeł nie był tak straszny. Przeceniono grożące nakłady, a nieoceniono dość potrzeb i sił własnych. Jak lew ujarzmiony, społeczeństwo często nie czuje należycie swojéj mocy, nie dla tego, żeby jéj nie posiadało, lecz dla tego, że jéj należycie nie oceniło i nie rozwinęło.

Municypalność rozpoczęła akcyą zbyt ostro, bez dostatecznego przygotowania. Można było zaoponować, ale nie należało przebiérać miary, nie należało zapoznawać prawdy i szerzyć twierdzeń, o których poeta mógłby powiedzieć: „jednak ja to między bajki włożę".

Prawda, kanalizacya będzie kosztowała dużo. Jak obliczyliśmy, koszta z wodociągami wynoszą 12 mil., a dodawszy na kanalizacyą domów około 4 mil., razem 16 mil., nie licząc późniejszego ostatecznego wykończenia. Olbrzymia suma! ani słowa. Ale te 16 mil. przyrosną do miasta, do jego murów, do jego gruntu. Te 16 mil., to prawdziwa oszczędność, jaką społeczeństwo względem przyszłości dokona, prawdziwa oszczędność, bo gdy minie epoka amortyzacyi długu, pozostaną dla następców same korzyści pod postacią powiększonego bogactwa i powiększonego dochodu miasta. Te 16 milionów sprowadzą już zaraz ożywienie i przynosić będą stale ulgę pod względem chorób i śmiertelności, ulgę, którą obliczyliśmy na 827,000 rs. rocznie!

Od takich nakładów nie ginie społeczeństwo! Społeczeństwo biednieje, gdy jego członkowie marnują środki materyalne, gdy puszczają je z dymem, jak to mówią, na niedorzeczne wydatki i próżne zbytki, ale nie wtedy, gdy w drodze ofiar ponoszonych przez miasto i obywateli, toż miasto się podnosi i rozwija. Niech Warszawa przez pięć lat zaniecha balów i wieczorów, niech przez pięć lat zarzuci wyjazdy za granicę dla próżności, a z pewnością pozostanie oszczędność tak wielka, że na pokrycie kosztów i miejskiéj i domowéj kanalizacyi wystarczy. Nawołujmy do oszczędności tam, gdzie nawoływać istotnie należy, ale nie tamujmy dzieł użyteczności rzeczywistéj, chociaż może nie dość widocznéj dla nieświadomych. Jeżeli obecne pokolenie

właścicieli domów przyczyni się swemi ofiarami i nakładami do wielkiego dzieła, zasłuży się przed społecznością. Historya miasta zanotuje dobre czyny i odda każdemu, co mu się będzie należało, *suum quique.*

Gdy zwiedzamy miasta zagraniczne, podziwiamy znakomite porządki i udoskonalenia, nie chcemy zastanowić się tylko nad tém, że wszystkie te dobre rzeczy wymagały nakładów i ofiar, bez których nie byłyby powstały. Ganimy własne nieporządki, szydzimy z nich nieraz nawet; ale kiedy chodzi o ofiary i nakłady na porządki, uchylamy się od nich, chociaż dla usunięcia złego ponieść je potrzeba. Nic więcéj nie mówi o wartości społeczeństwa, jak dzieła użyteczności publicznéj. Wspaniałe pałace bawią oko, dzieła sztuki pięknéj wywołują uniesienia, dzieła zaś stworzone dla dobra ogólnego budzą szacunek i cześć. Są to widome świadectwa wielkich uczuć i wielkich myśli, które w społeczeństwie się zrodziły i w niém żyły, są to dowody poświęceń i wysiłków ze strony dzielnych ludzi, którzy do powstania tych dzieł się przyłożyli. Takie dzieła wymagają ducha ofiarności obywatelskiéj, a tego ducha nie tłumić, lecz krzewić należy.

Adolf Suligowski.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Impresyonizm w Warszawie. — Przeobrażenia talentów—L. Wyczołkowski—Nowe siły. — Roczny dorobek. — Obrazy obcych malarzy. — Konkurs rzeźbiarski.

Wielkie ogniska sztuki, a Francya w szczególności, posiadają niezaprzeczoną moc promieniowania i oddziaływania na całą sztukę europejską przez swój ciągły rozwój i wielkie bogactwo form artystycznych, coraz to nowych, bardziéj lub mniéj zasadniczych i doniosłych, lecz wyciskających na każdéj epoce dosadne współczesne piętno. Sztuka mieszka tam i żyje ciągle, to znaczy, nie ustaje nigdy w pogoni za coraz nowemi ideałami, i jeżeli w dojrzewaniu tém i plonowaniu co większy tylko okres czasu zjawiają się kierunki, poprzedzone zwykle odpowiednim ruchem literackim, kierunki słusznie mogące brać nazwę wytycznych, przełomowych, to pomiędzy temi odległemi stosunkowo etapami, zjawia się wiele typów przechodnich, opartych na pewnych doktrynach, nie tak trwałych, gdyż opartych zwykle na jakiémś prawie wyjątkowém lub specyalném zamiłowaniu, niemniéj przeto, zawsze gdy są szczere, znajdujących odgłos w licznéj rzeszy artystycznéj, zaciągających się z zapałem pod nowe sztandary.

Za taki kierunek przed kilkunastu laty uznano w Paryżu świéżo powstały tam impresyonizm. Zasada, na któréj został on oparty, posiada wszelkie cechy zasad, na jakich wyrasta każde artystyczne doktrynerstwo: zasadzie cząstkowéj, mogącéj służyć za jeden z podstawowych, chociażby najgłówniejszy zresztą czynnik składowy, daje się znaczenie systematu, znaczenie zasady wszechwładnéj, dla któréj wszystko inne poświęcić należy. To podniesienie zasady szczegółowéj do godności głównéj i wszechobowiązującéj było i będzie po wszystkie czasy powodem powstawania typów w sztuce przechodnich, które powtarzając się uparcie, przechodzą w miarę utraty

szczerości w manierę, z któréj zwykle co prawda, jak nowy feniks, wyrasta nowe odrodzenie, lecz przez uniknione przeżycie się modnego prądu i naturalną reakcyą. W każdym razie, zostaje po nich coś nowego, coś tchnącego życiem i wnoszącego do dalszéj kultury w sztuce niezaprzecenie nowe pierwiastki.

Toż samo z impresyonizmem: w istocie swéj jest on bardzo szczery, polega bowiem na chęci otrzymania tego bezpośredniego wrażenia, jakie otrzymujemy na pierwszy rzut oka, za pomocą zharmonizowania tonów zasadniczych, prawie pierwotnych, sprawiających wrażenie silne i żywe. Czy prawdziwe? W tém właśnie całe niebezpieczeństwo: tylko bardzo wielkie talenty zdolne są w ten sposób wrażenia swe utrwalać i w oku widza wywoływać. U mniejszego kalibru adeptów powstaje strona zewnętrzna systematu, doprowadzająca kierunek ten do karykatury i niesłusznego ośmieszenia.

Pomimo, iż impresyonizm pojawił się w Paryżu już przed kilkunastu laty, i chociaż mając tam dotąd dzielnych przedstawicieli, nie doczekał się przepowiedzianego mu wtedy wszechtryumfu w malarstwie; pomimo, iż późniéj powstałe już kierunki zdołały (jak ścisły *plain-air*) zdobyć sobie bezwarunkowe uznanie, jako oparte na zasadzie ogromnéj doniosłości, to jednak w pochodzie swoim ku nam, od zachodu wpierw spotkaliśmy się z tym drugim kierunkiem, zaczynającym panować w sztuce wszechwładnie; impresyonizm zaś w swojéj typowéj formie, po raz pierwszy obecnie zawitał do Warszawy, za powrotem z Paryża dwóch młodych, wysoce utalentowanych artystów: Pankiewicza i Podkowińskiego. Dla tego to, pomimo, że wyjaśnienie obszerniejsze istoty impresyonizmu niemożliwém jest zgoła w artykule mniejszych rozmiarów o sprawozdawczéj treści, wspomniałem o nim stosunkowo obszerniéj, jest on bowiem u nas zjawiskiem nowém i zaciekawiającém tak ze względu na krańcowy charakter importowanego systematu artystycznego, jak i ze względu na to, czy odegra on jaką rolę w miejscowém malarstwie naszém.

Wszelkie przypuszczenia w tym względzie byłyby nie na miejscu; sądzę jednak, że doświadczenie wykazało już po tysiąckroć dostatecznie, iż idee nowe i żywotne czynią wyłomy i zwyciężają w swojéj postaci krańcowéj, wydając następnie najbogatsze owoce, przeszedłszy w stan bardziéj zrównoważony, w przystosowaniu do wielu koniecznych warunków wyłączających działalność zbyt teoretyczną. Czy obrazy naszych młodych impresyonistów zwyciężą? Posiadają one ogromną krańcowość i siłę, płynącą za stanowczego zdecydowania dążeń i środków, nie posiadają jednak, przynajmniéj dotychczas wystawione, jednego z najkardynalniejszych warunków każdéj sztuki wogó-

le a już impresyonizmu w szczególe, jednolitéj szczerości. Przyznać muszę, że ostatni obraz Pankiewicza „Targ na kwiaty“ posiada jéj stosunkowo znacznie więcéj, co z przyjemnością można zaznaczyć. Wogóle jednak, przyswojoną tu została, jak dotąd przynajmniéj, techniczna maniera malarzy francuskich o wspólnym kierunku, która u obu artystów o różnicach znanych poprzednio i znacznych, zjawiając się w formach tu zbliżonych do jednego typu, dostatecznie dowodzi, iż zaciężyła nad nimi jednakowo jedna wielka indywidualność artystyczna, lecz zapożyczoną od niéj została bardziéj dopiéro formuła artystyczna, istota jéj, niedostatecznie jeszcze przeszła w krew organizmu artystycznego. Wymieniam tu kilka dzieł, o których mówię: Podkowińskiego: „Jesień,“ „Las w Fontainebleau,“ „Portret“ i najlepszy „Latarnik“; Pankiewicza: „Przed lustrem“ i „Targ na kwiaty.“ Bardzo ciekawém jest zestawienie tego obrazu z wiszącym w téj chwili na przeciwko z zeszłorocznym tegoż artysty „Targiem za Żelazną Bramą“. Tam szukanie prawdy w wyborném kończeniu szczegółów, za pomocą tonów rozbitych na liczne odcienia,—w „Targu na kwiaty“ zaś, dążenie do otrzymania efektu ogólnego, za pomocą plam i plamek ogólnych, zestawień tonów jaskrawych, pierwotnych, jak gdyby z rozłożonego na barwy promienia świetlnego, z otrzymanego przez pryzmat widma słonecznego, z wyłączeniem umyślném (co należy do teoryi) ścisłości rysunkowéj. Porównanie to daje doskonałą miarę, jak zmiana kierunku jest zupełną i zarazem, jak przeobrażenie odbyło się gwałtownie i szybko.

Jako kontrast z temi zmianami gwałtownemi, pod wpływem indywidualnych talentów, przeciwstawić należy przeobrażenia o procesie powolniejszym, wyniku długiego borykania się z zagadnieniami i zasadami sztuki w ciszy, rozmyślaniu i bezpośredniém obcowaniu z wszechmistrzynią naturą. Mieliśmy w tym roku zjawisko takie niezmiernie ciekawe, świetne, chociaż bardzo mało przez szerszy ogół zauważone: były to wystawione po paru latach przerwy studya z życia rybackiego Leona Wyczołkowskiego. Wyczołkowski, zdolność malarska najpierwszorzędniejsza pomiędzy kolegami, a pierwszorzędna wogóle, o bogatém poczuciu koloru i plastyki, rozwijał się świetnie w kierunku akademickim o typie monachijskim, i począł uprawiać sztukę historyczną, ulegając pierwszym swym artystycznym porywom i potężnemu tego odłamu sztuki u nas przedstawicielstwu. Tak powstała „Maryna Mniszchówna,“ dzieło o plastyce i talencie niepospolitym, zwiastującym nową, dzielną siłę malarską, lecz skrępowane jeszcze pewną kompozytorską rutyną, oparte nie w zupełności na szczerych wrażeniach z natury i własnym systemacie. Tu zaczęło się łamanie—„Chrystus,“

„Alina,“ „W pracowni“ i kilka innych obrazków z téj epoki objawia szamotanie się w poszukiwaniach, skłanianie się artysty instynktowe do kierunku *par excellence* malarskiego, opartego przeważnie na malowniczości, wreszcie malarz znika na jakiś czas z Warszawy, a po paru latach wystawia kilkanaście studyów: rybacy w wodzie i nad wodą. To już zupełny tryumf natury nad szkołą. Wszystkie komunalne podmalowania i przemalowania, właściwość obrazów tak zwanych pracownianych, ustępują miejsca grze tonów silnych, szczerych, za każdym razem innych, odtwarzających bezpośrednie wrażenie artysty z wielką, męską samodzielnością i energią, świadomością celów, mistrzowstwem środków w ich prostocie i grubiańskości niemal. Wyznaję, że pomiędzy artystami naszymi tak żywego odczucia natury i odtworzenia jéj w pełni efektu, a męskiéj prostocie środków nie spotkałem jeszcze. Są to studya do obrazu, zwiastujące dojrzałość artystyczną po długiém dosyć łamaniu się — zjawisko ze wszech miar interesujące, zasługujące bezwątpienia na rozbiór dłuższy i bardziéj szczegółowy, dające już jako studya, przedsmak artystycznéj potęgi. Droga tego rozwoju długą jest i ciężką, lecz rezultaty zwykle przynosi bardzo poważne.

Zdaje się, że na właściwą swą drogę wstąpił odrazu Maryan Zarębski i temu to zapewne przypisać należy jego zadziwiająco prędkie dojrzewanie artystyczne. Zrozumiał on dobrze współczesne pojęcie o *plain-air*'ze, wziął je nie ze strony zewnętrznéj, lecz odgadł istotę, leżącą nie w teoryi postawionéj subiektywnie i *à priori*, lecz w racyonalném badaniu warunków obrazu w naturze. Zasada bowiem, nazywana *plain-air*, polega na zachowaniu ścisłém stosunków i odcieni koloru i światła w obrazach przedstawiających sceny na otwartém powietrzu. Ponieważ zaś przedmioty w tych warunkach widziane są oświetlone nietylko pojedyńczym strumieniem światła, jak w pracowniach lub mieszkaniach, lecz przez całą masę promieni światła krzyżujących się i odbijających w powietrzu, przeto przedstawiają się one oku w plamach łagodniejszych, pozbawione silnych kontrastów świetlnych i gry silnéj kolorów lokalnych, otrzymywanych zwykle na tle pracownianych głębi lub zamkniętych mieszkań.

Zasada więc sama jako zupełnie racyonalna, wypływająca z warunków rozkładu i ustosunkowania tonów w saméj naturze, zasada więc faktycznie i optycznie naturalna nie może, jako podstawa malarstwa realnego, ulegać nawet dyskusyi i uznaną została ogólnie; a jeżeli w miastach o bogatéj produkcyi artystycznéj zrodziła obok zdrowéj sztuki i manierę, to dzięki także wzięciu formy powierzchownéj, czyli tonu szarawo-białawego za cel nie za środek, który dopiéro nale-

ży stosować z całą ścisłością, jak również dzięki podatnemu do odtwarzania w tém pojęciu motywowi otwartéj przestrzeni i dnia pochmurnego.

Zarembski, malując przed dwoma laty „Modlitwę przed siewem,“ obraz zdradzający duże odczucie natury i skłonność do realnego traktowania przedmiotu, obrał sobie drogę, w któréj następna „Gęsiarka“ jest wielkim krokiem naprzód tak pod względem plastyki, rysunku, już teraz dzielnego i śmiałego, jak i dla ogólnéj harmonii tonu i odczucia typu wiejskiego; „Gęsiarka“ jest już obrazem niepospolitym i zwiastującym w naszéj sztuce nową a dzielną siłę. Siłą téż taką staje się powoli A. Kędzierski („Na czatach“), pozbywając się naleciałości technicznych od jednego z mistrzów naszéj sztuki, a podążając za tym samym prądem, którym płynie Zarembski. Do otrzymania poważnych rezultatów pomoże mu zapewne wysoko już posunięta technika malarska; a skłanianie się po wzory wprost do natury, uwolni go zapewne niedługo od pewnéj maniery w kolorze.

Tą drogą, którą idzie Kędzierski w ostatnim obrazie swym „Na czatach,“ drogą, opartą na bezpośredniém czerpaniu z natury i ściśle określoném zadaniu obrazu, zachodzi się daleko. Z obrazu wieje duch współczesnego malarstwa silny i zdrowy. Ileżby zyskały niektóre młode talenty na obserwowaniu i rozumieniu współczesnych zadań sztuki! Oto przed nami dużych rozmiarów Wodzinowskiego „Na swojską nutę,“ obraz cokolwiek po akademicku, dobrze jednak skomponowany, o trafnéj charakterystyce postaci i wyrazów w galeryi osób, słuchających muzyki dwóch podwórzowych grajków. Obrazowi jednak brak niezmierny logiki barw w efekcie ogólnym i oswietleniu, brak koniecznych na powietrzu chłodnych refleksów, wskutek czego ogólny efekt mdły, a całość koloru, trzymana w rutynicznych w y ł ą c z n i e ciepłych barwach, sprawia wrażenie ceglastéj monotonii. Dziwna rzecz, że człowiek obdarzony tak istotnym talentem, nie spostrzega tego. Widocznie nie otrząsnął się jeszcze z pod wpływów szkoły. Nie może tu być mowy o braku odpowiednich malarskich prądów w ognisku sztuki, w którém przebywa Wodzinowski, gdyż uwzględnienie braków, o których mówimy, stanowi charakterystyczny, krańcowy nawet do pewnego stopnia rys, przebywającego w Krakowie, młodego a pełnego dzielnych malarskich zalet Delaveaux. Jest to natura nawskroś malarska. Jego „Kumoszki powracające do miasta“ jakkolwiek przesadne w jaskrawości barw i zbyt niebiesko miejscami reflektowane, kąpią się jednak w czystém, przejętém słońcem powietrzu. Temiż zaletami tchną: „Szyb w Dąbrowie“ i „Praczki.“ We wszystkich tych

pracach dużo poczucia natury, a szczególniéj powietrza — w wyborze środków znać śmiałość i energię.

Niespodziankę prawdziwą sprawił wszystkim Zdzisław Jasiński. Po obrazach i obrazkach, nacechowanych w równéj mierze łatwością techniczną i zapożyczoną manierą, pod któremi trudno było dostrzedz rysów indywidualnych, wystawił większych rozmiarów obraz p. t.: „Chora matka“ i zdziwił wszystkich prostotą pomysłu i wykonania, dojrzałością obmyślenia i szczerością wyrazu. Wprawdzie harmonia ogólnego tonu jest tu także oparta na monachijskiém przesyceniu wszystkich barw asfaltowym odcieniem, wprawdzie dwoje bawiących się na pierwszym planie dzieci nosi na sobie ślady dawniejszéj malarskiéj sztucznéj maniery, postać jednak stojącéj starszéj dziewczynki (najlepsza w obrazie) jest artystycznie skromną i skończoną, matka naprawdę chorą jest, ojciec naprawdę zrozpaczony, bez sztucznych póz i melodramatu. Przez ten obraz przybywa naszemu malarstwu nowa dzielna siła.

Do téj grupy artystów młodych, występujących z dojrzalszemi i lepszemi dziełami, należy też W. Tetmajer ze swoją „Kołysanką,“ obrazem wywierającym korzystne wrażenie, pomimo iż uderza w nim mięszanina różnych wpływów. Sposób pojmowania kobiéty i oświetlenie jéj z tyłu przez okienko przypomina Szymanowskiego, sposób wydobycia efektu z podwójnego światła, a zwłaszcza oświetlenie kąta z obrazem świętym przez czerwoną lampkę, tak w motywie, jak i w środkach technicznych zdradza wpływ Pruszkowskiego, użycie lazerunków—wogóle wpływ Gierymskiego. Pomimo to jednak sharmonizowanie tonu i wydobycie oświetlenia, okazuje prawdziwy malarski talent. Toż samo można zastosować i do Pawliszaka, który w „Fantazyi“ i „Luzaku“ nie pozbył się jeszcze młodocianego wpływu Brandta tak w sposobie pojmowania kozaczyzny, jak i w charakterze tonowania. Obrazy jego jednak drgają niepospolitém życiem i energią, wielkiém poczuciem ruchu, światła i powietrza, mają więc w sobie wyborne pierwiastki malarskie, a przy tém są coraz lepsze. Stąd bardzo zrozumiałym jest korzystny wniosek o talencie Pawliszaka.

Jako wybitna zdolność w obserwowaniu i odtwarzaniu realném życia, zadebiutował dwoma obrazkami swemi H. Bielski. „Z życia kawalerskiego“ i „Pod przymusem“ są to sceny schwytane na gorącym uczynku, odtworzone środkami skromnemi i zdrowemi. Najlepszą stroną jest chwytanie charakterystyki w ruchach i typach, jak również dobre odczucie światła. Brak tu jednak jeszcze we wszystkiém subtelniejszych odcieni (co może zresztą stanowi jedną z cech tego talentu) i kolor w stanie zupełnie jeszcze nieopracowanym.

Jeżeli do poprzednio wymienionych dodamy Hirszenberga, którego znamy już, a obecnie powtórnie zawieszony „Jeszybot“ i „Urjel Acosta“ wykazują (obok pewnéj jeszcze czarniawéj maniery) talent niepospolity,—i Wrzeszcza, krajobrazistę bardzo uzdolnionego o wielkiém poczuciu prawdy, to zakończymy nimi grupę talentów młodych, dzielnych, do których należy przyszłość naszego malarstwa.

Nie jestto grupa jednolita. Przeciwnie, w zestawieniu dzieł widnieje wybitnie różnica wpływów i dążeń, zwłaszcza téż różnica wpływów, wynikająca przeważnie z rozstrzelenia się kształcących w malarstwie po różnych ogniskach sztuki europejskiéj i krajowéj. Pankiewicz i Podkowiński sprowadzają do nas, nieprzetrawiony wprawdzie dostatecznie paryski impresyonizm, Zarembski (najsamodzielniejszy może z całéj gruppy), Delaveaux i Kędzierski *plain-air* różnych odcieni,— Hirszenberg i Zdzisław Jasiński wybitne ślady monachijskiéj maniery tonowania,— Tetmajer ulega wpływom eklektycznym, Wrzeszcz — miejscowym,—Bielski—teoryom realizmu miejscowym. Wszyscy oni jednak posiadają prawdę i szczerość w zasadzie, widoczną w różnych stopniach, siłę wiary w swój kierunek i ściśléj określone ideały malarskie, wyrażone w dziełach nowych opromienionych świeżem tchnieniem młodości.

* * *

Zagaiłem sprawozdanie od przeglądu sił młodych rozmyślnie, zaczynają one bowiem nadawać naszemu malarstwu ton, który w razie pomyślnego rozwijania się, może zostać panującym, gdy siły te spotężnieją. Dzisiaj już jednak spostrzegać się dają niektóre rysy charakterystyczne. Daje się spostrzegać mianowicie, powszechne dziś obniżenie polotu, a jednocześnie wybitny rozkwit techniki, nie dążącéj jednak do celów wirtuozowskich, lecz używanéj jako środek do wyrażenia ściśle określonych celów, przeważnie do realnego odtwarzania epizodów życia rzeczywistego (w mowie potocznéj—malarstwo rodzajowe). Powtarza się tutaj ogólnie zauważona paralella z ruchem literackim, gdzie poemat ustąpił miejsca powieści, tworzonéj z całą świadomością techniki pisarskiéj.

Przedstawiciele starszéj generacyi artystycznéj nie mogą roku ubiegłego policzyć do szczęśliwszych (mówimy tu naturalnie tylko o nadsyłających obrazy na nasze wystawy miejscowe). Nie znaczy to wcale, aby ich zeszłoroczne produkcye nie posiadały tych zalet, które autorom ich wyrobiły już poprzednio odrębne i uznane stanowiska w naszéj sztuce, lecz dlatego, że nikt z nich właściwie nie wystąpił z dziełem donioślejszém, któreby bądź to w jego karyerze stanowiło etap poważny lub téż punkt zwrotny, bądź to odznaczało się wybitne-

mi zaletami indywidualnemi. Tak się jakoś zbiegło. Najlepsze z prac artystów, o których tu mowa, nie przerosły miary dotąd do autorów ich (różnéj naturalnie dla każdego) przykładanéj; co najwyżéj, dorównywały niektóre należnéj reputacyi. Tę miarę zastosować należy do dzieł tak wybitnych, nawet tak popularnych i słynnych dzisiaj, jak wielki obraz Siemiradzkiego „Fryne“, który podczas wystawy w Warszawie, jak również i w innych miastach europejskich cieszył się olbrzymiem uznaniem i niesłychaną dotąd popularnością. A jednak pomimo tak olbrzymiego i powszechnego uznania, twierdzić wypada, że „Fryne“ nie jest krokiem naprzód w świetnéj karyerze artystycznéj Siemiradzkiego.

Zastrzedz tu muszę, że w całéj obecnéj części sprawozdania, traktującéj o pracach znanych artystów, stosuję miarę daleko surowszą. Co się tyczy dzieł młodych, należało przedewszystkiém pochwycić pewną ich charakterystykę, tutaj jestto zbytecznem, z góry bowiem pamiętać należy, że Siemiradzki jest Siemiradzkim, Chełmoński jest Chełmońskim i t. d., to jest, że prace ich posiadają znaną już i uznaną skalę, wszystko więc co się o nich mówi, do téj skali odnieść i nią uzupełniać należy.

„Fryne“, obraz olbrzymich rozmiarów, polega na znaném u Siemiradzkiego eklektyczném połączeniu pewnego akademizmu z pewnym realizmem, zaprawioném wspaniałą koloryzacyą. Obraz imponuje świetnym, czysto subjektywnym rozkładem plam kolorowych, uderzając widza odrazu świéżą i żywą barwnością. Swoboda poruszania wielkiemi grupami osób duża, jakkolwiek oparta na pewnéj kompozytorskiéj rutynie, wytwarzającéj grupy dosyć sztuczne, i stąd téż za dużo w obrazie pozowania i ruchów teatralnych. Rysunek trzymany w rysach ogólnych lecz pewnych, modelacya także traktowana z gruba, lecz dzielnie. Razem wziąwszy, zewnętrzna strona obrazu, chociaż nie odznacza się wyjątkową wykwintnością środków artystycznych, przedstawia się w połączeniu wspaniałém; wewnętrzna strona jednak nie stoi na wysokości zadania, ani pod względem uchwycenia charakteru chwili, ani jako odtworzenie życia greckiego.

Przedewszystkiém, jak to już zauważyłem, wiele osób pozuje, sama nawet bohaterka, słynna hetera grecka, obnażająca się publicznie przed wstąpieniem do morza podczas uroczystości w Eleuzys, przedstawioną jest w ruchu dosyć konwencyonalnym; wiele téż innych figur, szczególniéj w grupie po lewéj stronie zachwyt swój i uwielbienie wyraża w dosyć chłodnych lub wyszukanych pozach. Zanadto z pod postaci przegląda model pracowniany i sztucznie ułożona draperya, za mało zaś subtelniejszéj obserwacyi ruchu, co całéj kompozycyi

nadaje pewną cechę charakterystyczną, spotykaną często w układanych „żywych obrazach“. Co się zaś tyczy odtworzenia form greckich, to pod tym względem obraz jest najsłabszym. Oprócz samej „Fryne“, chłodnéj, lecz w kształtach subtelniéj opracowanéj, inne postacie jako fizyczność, nie mogą rościć sobie prawa do przedstawienia Greków, których zarówno z tradycyi, jak i z pozostałych dzieł sztuki rzeźbiarskiéj, przywykliśmy uważać za typ wybornego, wszechstronnie fizycznie rozwiniętego człowieka. Te niezgrabne nogi mężczyzn z prawéj strony, grube w kolanach, kopiowane z modelu bez widocznego wyboru, ręce o zanikłéj muskulaturze, szyje żylaste człowieka współczesnego, głowy o rysach przeciętnych (z wyjątkiem dwóch dobrych głów starców) nie są w stanie z tych ludzi uczynić Greków prawdziwych i nie może im w tém nawet dopomódz dokładne wystudyowanie ornamentacyi i fałdowania ubrań, oraz trafnie odtworzone otoczenie architektoniczne. Jednèm słowem, obraz jako scena malownicza, przejęta słońcem i skąpana w żywych barwach, dekoracyjnie wspaniała; jako wskrzeszenie pewnéj chwili na tle życia-greckiego—chybiona.

Uznanym téż mistrzem jest Chełmoński: wszystko, co z pod jego ręki wyjdzie, tchnie zawsze obserwacyą, życiem, prawdą. Prawdę tę często podaje on w formie niewykwintnéj, rubasznéj, odpowiedniéj zapewne do sfer, które zwykle przedstawia, ale zawsze, czy to obraz skończony, czy téż szkic doraźny, posiada jednę zaletę nieocenioną: szczerość, zaletę—stanowiącą istotę prawdziwéj sztuki. I jego talent jednak ulega prawom powszechnym i stwarza kolejno dzieła większéj lub mniejszéj doniosłości. Rok obecny nie przyniósł arcydzieła, nie przeszedł jednak bez dzieł wyższéj wartości. Najlepszym ze wszystkich, obrazem o dziwnie prostym motywie i dziwnie szczerém odczuciu poezyi w przyrodzie jest jego „Wiosna“. Na łące mokréj, usianéj żółtemi, tylko co rozwiniętemi kwiatami wodnemi, na jednéj płaszczyznie stojącéj wody, t. z. „okienku“ wiatr „pobiega“, marszcząc miejscami wodę w drobną falkę, zabarwioną silnie błękitnemi refleksami. Efekt chwilowy, niezmiernie subtelnie zaobserwowany i śmiało, szczególnie w rysunku wybornie pochwycony. Nad płaską równiną, w szarawém, mglistawém powietrzu, unoszą się tu i owdzie czajki, doskonale w ich charakterystycznym locie schwycone. Z obrazu, obok silnego odczuwania natury, bije jeszcze i wyborna jéj znajomość, tak pod względem pamięci efektu linii, barw i światła, jak i najdrobniejszych objawów życia. Mniéj szczęśliwym obrazem jest „Hanka“, dziewczyna wiejska, niosąca dzbanek z wodą. I tutaj postać dziewczyny wybornie w ruchu jest uchwycona, całości jednak szkodzi niedociągnięty ogólny efekt obrazu i rutyniczne, zbliżone do najpierwszéj maniery Chełmoń-

skiego traktowanie draperyi, przeważnie rysunkowe. Trzeci większy obraz przedstawia „Anioła Stróża“, idącego w noc księżycową po świeżo zaoranéj roli. Pomimo wybornego, pełnego nastroju oddalenia, ginącéj w mroku i ciszy nocnéj wioski osłonionéj drzewami, pomimo dobrego tonu ogólnego, obraz nie sprawia wrażenia. Przyczyny szukać należy w postaci idącego anioła, pojętéj w sposób dosyć trywialny; widocznie rzeczy nadprzyrodzone nie wchodzą w zakres szczeréj twórczości Chełmońskiego.

Cudowna to rzecz ta szczerość! Żadne inne zalety, żadne najinteligentniejsze kombinacye i dociekanie nie potrafią w części nawet zastąpić téj niewiadomo skąd płynącéj bezwiednéj siły prawdziwego talentu. Trzeba tylko umieć odlewać z tego rodzimego złota. Jacek Malczewski posiada trochę tego metalu, widocznie jednak cokolwiek za mało, skoro przyprawiać je zaczyna sztuczną alchemią niedosyć jasnych allegoryj. Dawniejsze jego prace, technicznie słabe, posiadały jednak prostotę i szczerość wyrazu, wywołujące głębsze wrażenie; dzisiaj technika postąpiła, utwory jednak zaraża cień pewnego dziwaczenia. Są to i obecnie jednak rzeczy interesujące. Jeden mały obrazek wystawiony w ciągu roku, zaciekawiał ogólnie. Było to upostaciowanie wyboru drogi przez artystę, na obrazku jeszcze małego chłopca malarskiego, któremu zastępują drogę trzy allegoryczne postacie, przedstawiające, jak się zdaje, pewne kierunki w sztuce; chłopiec jednak nie ku nim zwraca oko, lecz ku idącemu tąż drogą zbiedzonemu wędrowcowi, powracającemu ze stron dalekich. Jestto więc malowana autobiografia, wykonana w szczegółach pomysłowo i z wyrazem. Postacie pierwszoplanowe malowane z widocznym postępem w technice, dalsze nie wytrzymują ściślejszéj krytyki malarskiéj tak pod względem form, jak i pod względem koloru, stanowiącego, szczególniéj w malowaniu ciał, zawsze słabą stronę talentu Malczewskiego. Figury przytém allegoryczne zbyt odskakują od pierwszoplanowych przez umyślne stylizowanie, archaizowany zaś z umysłu krajobraz jeszcze bardziéj podnosi rozdźwięk, płynący z niejednolitości obrazu.

Jednolitym za to w malowaniu obrazu jest Witkiewicz. Talent to niewielki, lecz w dobréj kulturze, o ścisłéj świadomości celów i środków, pomimo niezbyt bogatego przyrodzonego poczucia. Typowém poświadczeniem tego poglądu jest obraz jego „Powrót owiec w Tatrach“. Zaskoczone niespodziewanie przez burzę grożącą zagładą, całe stado wraz z pasterzem i psem nieodłącznym, w pośpiechu zdąża w dolinę. Efekt malarski burzy bardzo malowniczy, widocznie podpatrzony z natury, ruch całego stada dobry, złożony z mnóstwa różnych ruchów szczegółowych. Ujemną stroną obrazu jest dobre wprawdzie, niezwy-

kle staranne i sumienne wykończenie szczegółów, lecz trzymane w konturach jednakowo wszędzie ostrych, w tonach zbyt jednostajnych, w barwach i sile bez należytego uwzględnienia stosownych oddaleń w głąb i na bok, bez dokładnie określonego punktu optycznego głównego, co się nie zgadza ze współczesném pojęciem o obrazie na podstawie optyki i zależnéj od jednego głównego punktu optycznego perspektywy tonów. Całość, z powodu wielu dobrych bardzo szegółów robi korzystne wrażenie.—Akwarele Fałata są bardzo dobre, o dobrym dzielnym rysunku i wytworném traktowaniu, kolor ich zyskał téż niemało z powodu pozbycia się charakterystycznych dawniéj tonów sinofioletowych. Po pozbyciu się téj maniery, prace jego nabrały więcéj blasku i jędrności płynącéj z natury.

Piechowski, po zeszłorocznéj „Golgocie“, obrazie o potężnéj dramatyczności i dziwnéj naiwności form pierwotnych, powraca do wsi, atmosfery dlań najwłaściwszéj, i daje nam parę obrazków zimowych. W jednym z nich szczególniéj, malowniczy, niezmiernie trudny w prostocie swojéj efekt śniegu, widzianego pod światło, pochwycony został niezmiernie szczęśliwie z wielką prostotą środków, dochodzącą do naiwności, a jednak wywołującą znamienne wrażenie. Wybitną tych obrazów antytezą, jest „Dyabeł zakochany“ w wierzbie, malowany przez wysoce utalentowanego artystę Pruszkowskiego, jako ilustracya fantastyczna do jednego z utworów Szopena. Tutaj zaopatrzone we wszystkie możliwe przybory przemalowań, lazerunków i t. p. środków, technika pragnie wedrzéć się w niedostępny dla niéj, a przynajmniéj częściowo zaledwie dostępny świat muzyki. Obraz posiada odcień wysoce indywidualny.

O pracach innych artystów powtarzam wyżéj przytoczone zdanie. Oprócz wybornych górskich krajobrazów Gersona, przypomnieli się oni dziełami nie przerastającemi ich dotychczasowéj reputacyi: Horowitz, Czachórski, Pochwalski, kilkoma wytrawnemi portretami, Rosen „Przeglądem kawaleryi“, dużym obrazem, słabszym od jego prac mniejszych, Wolski kilkoma dzielnie szkicowanemi obrazkami olejnemi i akwarelami, Maszyński „Zmarnowanym skarbem“, Ryszkiewicz, Owidzki, Okniński, Szyndler, Badowski i wielu innych obrazami we właściwym sobie charakterze. Przypomniał się nam wreszcie po długiéj nieobecności drobnemi pracami i jedną większą zaczętą Piątkowski, znany już dawniéj z bardzo rzadkiéj w malarstwie naszém zalety: dzielnego malowania ciał.

Z obrazów obcych malarzy, sprowadzanych z zagranicy wyróżnić należy „Katastrofę na morzu“ Dawanta, wielki obraz, malowany dzielnie, ze świetną perspektywą, nie wywierający jednak zamierzo-

nego wrażenia z powodu pewnego braku temperamentu i cokolwiek zamałéj do jego rozmiarów sali. Inne obrazy zagraniczne pomimo, iż znajdowały się pomiędzy niemi i podpisane nazwiskami tak cenionemi i głośnemi jak G. Max, lub tak popularnemi w Niemczech jak Hans Dahl, nie zasługują na bliższą uwagę i niczém zamiaru sprowadzenia ich specyalnego nie usprawiedliwiają.

* * *

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych ustanowiło doroczne konkursy, które od dwóch lat zreformowano w ten sposób, że zamiast trzech współczesnych, obecnie na każdy rok wypada z kolei jeden konkurs specyalny: jednego roku malarski, drugiego rzeźbiarski, trzeciego architektoniczny. W bieżącym roku w styczniu, rozstrzygnięty został konkurs rzeźbiarski, który wywołał niemały ruch w prasie i zacięte spory polemiczne. Jest to właśnie dobrą stroną konkursów, że pobudzają do szerokiéj dyskusyi i przyczyniają się w ten sposób do rozpowszechnienia wpośród ogółu różnych kryteryów artystycznych, wpływając bezwarunkowo na ogólny poziom jego artystycznego wykształcenia; szczególniéj zaś wtedy, gdy treść dzieł konkursowych nie jest narzuconą, jak to bywa w programach wielu konkursów na dzieła pomnikowe, lecz pozostawione zupełnie własnéj koncepcyi artystów. Oddziaływa to niezmiernie korzystnie na całość konkursu, w którym spotykamy dzieła samodzielne, różnorodne i budzące wskutek tego wielostronne zajęcie.

Dziełem wyróżniającém się wybitnie z pośród wszystkich nadesłanych był projekt pomnika dla Mickiewicza modelowany przez Kurzawę. Dzieło to nosi na sobie cechę tak rzadkiéj dziś bezpośredniéj inspiracyi, tego szczęśliwego błysku wyobraźni artystycznéj, któréj najwyższe wyrobienie techniczne i najinteligentniejsza praca myśli nie w stanie zastąpić. Grupa składa się z dwóch figur. Mickiewicz, podtrzymując lewą ręką wpół ciała młodego skrzydlatego geniusza, którego tylko co obudził, prawą, olśnionemu wyrazem jego postaci młodzieńcowi ukazuje szerokie horyzonty. Pomysł nowy, nadający się dobrze do artystycznego wyrażenia, i co ważniejsza, w głównych zarysach uwydatniony niepospolicie. Powtarzam w zarysach głównych, wyraz bowiem obu postaci jest szczery, pełen podniosłego nastroju i wybornie poczutego ruchu; wyraz ten jednolicie przebija się wszędzie, w głowie mistrza (najlepszéj części grupy, modelowanéj dzielnie, chociaż szkicowo tylko i miejscami błędnie w rysunku) i w postaciach, w rękach ożywionych nagłym i charakterystycznym ruchem. Formy jednak szwankują i to właśnie obniża wartość tego dzieła, po-

myślanego, odczutego i odtworzonego w głównych rysach artystycznie. Nie doszło ono jednak do zamierzonych wyżyn artystycznych z powodu niedostatecznego wogóle technicznego przygotowania autora.

Biust młodego rzeźbiarza Madejskiego, który pozyskał na konkursie najzaszczytniejsze odznaczenie, jest dziełem zupełnie dobrém, posiadającém oprócz technicznego skończenia, pewną wybitną subtelność w odczuwaniu kształtów. Dzieło to w niektórych namiętnych polemikach dziennikarskich, wyrosłych niezwłocznie po rozstrzygnięciu konkursu, niesłusznie zostało poniżone, jest to bowiem portret dobry w całém znaczeniu tego słowa.

Do bardziéj interesujących rzeźb konkursowych należał „Anioł Śmierci“ Wojdygi, pomnik grobowy, skomponowany z wielkiém poczuciem i zrozumieniem linii i z dobrym wyrazem, w formach jednak jeszcze niezupełnie skończony. Nosi on na sobie cechę wybitną rzeźby francuskiéj tego rodzaju, chociaż nie można mu zarzucić prostego naśladownictwa. Energia w traktowaniu ruchów, form i biegu draperyi, korzystnie świadczy o temperamencie Wojdygi i każe go zaciągnąć do szerego naszych rzeźbiarzów, na których liczyć można.

Dobrym, choć przesadnym nieco i z gruba traktowanym jest Marcinkowskiego biust Zagłoby, o dosyć trafnéj charakterystyce, trącącéj jednak manierą, a „Łakomy Bekas“ Wiśniewskiego, pomimo niewysokiego jeszcze wyrobienia technicznego, wskazuje talent prawdziwy. Dobrze téż jest modelowana główka Łopieńskiego, traktowana jako płaskorzeźba o niewielkiéj wypukłości i subtelnym rysunku, więc w najwykwintniejszym stylu medalierskim. Inne rzeźby na konkurs nadesłane, nie przerastają granicy dobrych usiłowań, lub téż pewnéj rutyny technicznéj.

Tegoroczny konkurs rzeźbiarski nie dostarczył wprawdzie dzieł pierwszorzędnéj wartości, kraj nasz bowiem za ubogi jest, ażeby sztuka tak kosztowna mogła w nim należycie zakwitnąć, a zdolności pojedyńcze rozwijać się w ciągłéj artystycznéj pracy. Jednakże, nie brak i tutaj było aspiracyi dzielniejszych, a co głównie, dodatnie wrażenie sprawiło obfitość cech indywidualnych nawet w dziełach mniéj wybitnych: jest to znak bardzo dobry, gdyż tylko w samodzielnych dążeniach leży prawdziwy zasiew na dobre plony przyszłości.

Ołówek.

Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

III.

Granice widzialności przedmiotów w mikroskopie.—Bakterye purpurowe.—Bakterye świecące.—Badania Engelmanna, Duboisa i Beyerincka.—Życie i rozwój chorobotwórczych bakteryi w gruncie.—Bakteryofobia.—Działanie krwi na bakterye. Zmęczenie fizyczne i odporność organizmu na choroby zakaźne.

Gdy przed więcéj niż 200 laty, wynałazca mikroskopu, Leuwenhouck odkrył bakterye w osadzie swych zębów i zdumiewał nad têm, „że w jego jamie ustnéj zapewne więcéj znajduje się podobnych drobnych zwierzątek, aniżeli ludzi we wszystkich prowincyach holenderskich,“ wówczas nie przeczuwał on w najsłabszym nawet stopniu, jak zasadniczą ważność to odkrycie jego posiada. Upłynęły od owego czasu dwa stulecia, a potężne ulepszenia w metodyce nauk przyrodniczych uczyniły z bakteryologii jedną z najważniejszych gałęzi wiedzy, jedną z najczynniejszych pomocnic sztuki lekarskiéj. Olbrzymie te postępy na niwie bakteryologii mamy do zawdzięczenia metodzie barwienia preparatów mikroskopowych, ulepszeniom w budowie mikroskopów, oraz sposobom dozwalającym hodować i oddzielać od siebie rozmaite gatunki mikroorganizmów. Przy pomocy dzisiejszych mikroskopów jesteśmy w stanie rozglądać przedmioty tak drobne, że o rzeczywistych ich wymiarach trudno nawet w przybliżeniu zdać sobie sprawę. A pomimo to najprawdopodobniéj istnieje bardzo ściśle określona i nie dająca się przebyć granica, po za którą najdokładniejsze nasze instrumenty nie pozwolą nam dojrzéć niezmiernie drobnych przedmiotów.

Widzialność przedmiotu, rozglądanego bądź gołém okiem, bądź

przez mikroskop, zależy oczywiście od zakłócenia, jakie jego obecność sprowadza w biegu fal światła. Ani oko, ani mikroskop zakłócenia tego nie wytwarzają i nie mogą go także osłabić ani wzmocnić, lecz przejmują je od samego przedmiotu. Otóż zrozumiałém jest, że to zakłócenie w przebiegu fal świetlnych wówczas tylko daje się zauważyć przez wzrok na pewném od przedmiotu oddaleniu, jeżeli sam przedmiot nie jest zbyt mały w porównaniu z długością fali świetlnéj. Drobny jakiś przedmiot pływający na poruszającéj się powierzchni wody zaledwie zdoła zmienić ruch fal wodnych, okręt natomiast wzdłuż drogi swéj pozostawia na dalekiéj odległości widziane ślady. Zupełnie tak samo dzieje się z falami światła. Jeżeli przedmioty są zbyt małe w stosunku do długości fal przechodzącego światła, natenczas pozostają niewidzialnemi nawet przy najsilniejszych powiększeniach. Ponieważ długość fali w najjaśniejszéj części widma słonecznego wynosi tylko około $1/_{2000}$ milimetra, przeto przedmioty, których dostrzegać możemy przy pomocy najlepszych naszych dzisiejszych soczewek, nie mogą wychodzić po za powyższą granicę i przy obecnéj budowie mikroskopów nie możemy się spodziewać zobaczyć wiele więcéj, niż widzimy dotychczas. Czulszą, niż oko nasze, jest fotografia. Promienie bowiem chemiczne, dzięki którym otrzymujemy obrazy fotograficzne, wywołane zostają przez fale o mniéj więcéj trzy razy mniejszéj długości fal, aniżeli te promienie, które widzialne są dla naszego oka. Oto dlaczego fotografia pozwala nam uwidocznić szczegóły znacznie drobniejsze, aniżeli obserwacya bezpośrednia. Jak wiadomo, z udogodnienia tego od pewnego czasu już korzystają ze znakomitym skutkiem astronomowie, a i w bakteryologii przed niedawnym czasem wprowadzona fotografia dobre oddaje usługi i niejedno zapewne odkrycie do nauki wniesie.

Gołém okiem w większych skupieniach najlepiéj dostrzegać się dają takie mikroorganizmy, które pewnemi specyalnemi własnościami optycznie od innych się różnią. Tutaj należą bakterye wytwarzające pewne barwniki i bakterye samoświécące.

W miarę postępów bakteryologii poznajemy coraz większą liczbę gatunków barwnych i świécących bakteryi. Do niezmiernie interesujących należą t. zw. bakterye purpurowe, bliżéj w czasach ostatnich zbadane przez Engelmanna. W protoplazmie swéj zawierają one w stanie delikatnie rozproszonym purpurowo-czerwony barwnik, nazwany bakteryo-purpuryną. Osobliwe ich zachowanie się wobec światła zawdzięczają one właśnie zawartości tego barwnika. Przeważna liczba gatunków tych bakteryi wykonywa żwawe ruchy miejscowe, są jednak pomiędzy niemi i takie, które roją się w wodzie przy

pomocy biczyków. Na tych ostatnich wpływ światła jest najwidoczniejszy. Przy stałém oświetleniu ruch w ogóle tém jest szybszy, im większe jest natężenie światła. W zupełnéj ciemności ruch całkowicie ustaje. Gdy powstrzymanie ruchów wywołane przez zaciemnienie nie trwa zbyt długo, to znosi się ono przez ponowny przystęp światła. Przy powtórném zaciemnieniu ruchy przez pewien czas jeszcze trwają (t. zw. fotocynetyczne działanie następcze). To działanie następcze trwa, ogólnie biorąc, tém dłużéj, im dłużéj trwało i im silniejsze było przejściowe oświetlenie. Zdaje się, jak gdyby światło wytworzyło pewien zapas substancyi, potrzebny do wykonywania ruchów i zapas ten stopniowo w ciemności był zużywany. Przy nagłém zmniejszeniu natężenia światła swobodnie pływające gatunki, wykonywając obroty w kierunku przeciwnym niż podczas oświetlenia, cofają się wstecz, często na odległość dziesięć do dwudziestu razy przenoszącą ich własną długość. Późniéj dopiéro w dalszym ciągu wykonywają zwykłe ruchy postępowe. W ten sposób silnie oświetlone miejsce o wyraźnych konturach, znajdujące się w zupełnie ciemnéj kropli, działa jak pułapka na bakterye purpurowe. Albowiem wskutek dużéj różnicy pomiędzy stopniem oświetlenia zewnętrznéj ciemnéj obwódki, a wewnętrznym jasnym krążkiem, bakterye wchodzą łatwo do wnętrza, lecz wyjść stąd nie mogą, gdyż przy przejściu granicy nazewnątrz natychmiast następują ruchy wsteczne, które je znów do oświetlonego pola wpędzają. Po pewnym czasie następuje spokój i w oświetloném miejscu bakterye te mogą być utrwalone. Podobnie jak różnice i zmiany w natężeniu światła, tak też działają i różnice w długościach fal świetlnych. Bakterye purpurowe odróżniają nawet pewne niewidoczne dla naszego oka fale pozaczerwone. W widmie (mikrospectrum) światła słonecznego, gazowego lub żarowego elektrycznego skupiają się te bakterye przeważnie w części ultraczerwonéj. Prócz tego gromadzą się w wąskim pasie w części pomarańczowéj, w znacznie mniejszéj ilości w części zielonéj, niebieskiéj i fioletowéj, a najmniéj w czerwonéj i ultrafioletowéj. Gdy w ten sposób zebrane bakterye purpurowe zostają na swych miejscach utrwalone, otrzymujemy t. zw. „spektogram z bakteryi,“ czyli obraz widma absorpcyjnego nakreślony przez bakterye. W widocznéj dla naszego oka części widma obraz ten najzupełniéj się zgadza z obrazem widma absorpcyjnego, jakie daje wspomniana bakteryopurpuryna. *Maxima* i *minima* skupień bakteryi najwidoczniéj przypadają razem z maximami i minimami pochłaniania promieni świetlnych przez bakteryopurpurynę. Łatwo więc pojąć, dlaczego w czerwonéj części widma najmniéj zbiéra się bakteryi: promienie czerwone najmniéj zostają przez bakteryopurpurynę zatrzymy-

wane, one właśnie zostają przez ten barwnik odbite i powodują w znacznéj części charakterystyczną jego barwę.

Prawie wszystkie śnięte ryby, pozostawione na powietrzu, po krótkim już stosunkowo czasie zaczynają świecić światłem fosforycznem. Światło to pojawia się na nich przed rozpoczęciem właściwego gnicia, i spostrzedz je można najłatwiéj w ciemności, zwykłe bowiem światło dzienne zbyt silnym swym blaskiem przytłumia owę fosforescencyą. Z właściwą wszakże fosforescencyą, t. j. świeceniem w ciemności fosforu i innych ciał martwych, to świecenie ryb nie wiele ma wspólnego. Pochodzi ono stąd, że na rybach w olbrzymiéj ilości gnieżdżą się świecące bakterye, opadające zresztą i inne martwe szczątki organizmów, jak np. wiele zwierząt morskich, również mięso zwierząt ssących. Już w r. 1592 w Padwie Fabrycyusz spostrzegł podobne świecenie mięsa w jatce rzeźniczéj. Właściwą przyczynę tego świecenia podał dopiéro w 1875 r. słynny współczesny fizyolog, Pflüger, a w ostatnich latach kilku badaczy usilnie zajęło się zbadaniem samych bakteryi świécących. Najdokładniejsze wiadomości o tych mikroorganizmach czerpiemy z niedawno ogłoszonych prac francuskiego uczonego R. Dubois'a i holenderskiego W. Beyerincka, profesora w Delfcie.

Znanych jest obecnie kilka gatunków bakteryi świécących pod ogólną nazwą *Photobacterium*. Z tych niektóre właściwe są wodzie morskiéj i powodują znane, piękne zjwisko fosforescencyi morza. Prof. Beyerinck zbadał bliżéj kilka gatunków następujących: *Photobacterium phosphorescens*, zwykłą bakteryą ryb fosforyzujących, daléj *Photob. indicum*, świécącą bakteryą morza zachodnio-indyjskiego, opisaną już dawniéj pod nazwą fosforyzującego lasecznika, *Photob. Fischeri*, właściwą morzu północnemu niemieckiemu, *Photob. luminosum*, odkrytą po raz pierwszy przez Beyerincka i jeszcze dwa gatunki znajdowane w morzu.

Najciekawszém pytaniem, jakie się przy badaniu tych świécących bakteryi nasuwa, jest to, czemu właściwie one świecenie zawdzięczają. Pan R. Dubois z badań swoich dochodzi do wniosku, że mikroby te wydzielają pewne ciało, rodzaj fermentu, który wywołuje zjawisko świecenia, gdy zostaje zetknięty z substancyami fosforowemi zawartemi w ośrodku, w którym mikroby żyją. Ściślejszéj analizie naukowéj poddał prof. Beyerinck własności fizyologiczne świécących bakteryi. Pozostawiając je w ośrodku takim, do którego dodał substancyi chemicznych silnie pochłaniających tlen z powietrza, przekonał się on, że bakterye świécące znacznie chciwiéj, niż owe substancye, tlen pochłaniają i właśnie wówczas tylko świecą; świecenie zaś ustaje, gdy są

pozbawione tlenu. W téj przeto fizyologicznéj konieczności zdobywania sobie tlenu, bez którego w ogóle protoplazma żyć nie jest w stanie, należy widziéć właściwą przyczynę świecenia omawianych bakteryi. Intensywność, z jaką tlen zostaje tu pochłaniany, dostatecznie została w doświadczeniach wykazaną.

Mamy tu doskonały przykład tego, jak życie normalne danego organizmu ściśle jest zależne od warunków otoczenia jego, zwłaszcza od owego materyalnego substratu, który bakteryologowie podłożem nazywają. Wiadomo zaś dobrze, jak dalece wpływ tu swój wywierają i takie czynniki fizyczne, jak: temperatura, światło, ciśnienie, wilgotność, napięcie elektryczne i t. d. Owo silne absorbowanie tlenu przez pewne bakterye może nawet służyć za doskonały odczynnik, który wskazuje nam, czy w danym ośrodku jest tlen, czy téż go nie ma. Bakterye takie już w bardzo małéj ilości tlenu świecą, nie wydają zaś światła w braku tlenu.

Świecące bakterye morskie, najprzyjaźniejsze warunki istnienia, znajdują właśnie w wodzie morskiéj. Do życia koniecznie potrzeba im podłoża z pewną zawartością soli morskiéj. Inne bakterye giną w wodzie morskiéj, jak dowodzą tego badania p. Giaxa. Mikroby cholery, karbunkułu i gorączki tyfusowéj już po 2—3 dniach umiérają w zwykłéj wodzie morskiéj, dłużéj znacznie utrzymują się w niéj bakterye wywołujące ropienie ran. Nie zdaje się to jednak być zależném jedynie od samych soli mineralnych, w wodzie morskiéj zawartych, ponieważ doświadczenia p. Giaxa przekonały jednocześnie, że wymienione mikroby żyją przez długi dość czas w takiéj wodzie morskiéj, która została uprzednio dobrze przegotowaną, t. j. wyjałowioną (sterylizowaną). Przegotowanie to zabija te bakterye, które normalnie w wodzie morskiéj są zawarte i które, nie będąc z niéj wydalone, najprawdopodobniéj zwyciężają owe bakterye chorobotwórcze, które p. Giaxa w doświadczenia swych do wody wprowadzał. I w tym bowiem drobnym, a tak gęsto zaludnionym światku niewidzialnych dla nas istot bezustannie stacza się zabójcza walka, a zwyciężają w niéj te osobniki, które bardziéj od innych są przystosowane do warunków fizycznych i chemicznych swego otoczenia. Jakkolwiek przeto normalnie w wodzie morskiéj bakteryi chorobotwórczych nie ma (dowodzą tego także badania p. Sanfelice'a dokonane z wodą zatoki neapolitańskiéj), jednakże w pewnych szczególnych warunkach należałoby przypuszczać, że i taka woda stać się może przenosicielem zakaźnéj jakiéj choroby.

W obecnych czasach niepomiernego rozwoju bakteryologii, bardzo rozległe prowadzone są też prace, mające na celu zbadać warunki

istnienia drobnostrojów w gruncie. O ile chodzi o mikroorganizmy chorobotwórcze, sprawa ta niezmiernie jest ważną kwestyą hygieniczną. Wogóle najrozmaitszemi drogami bakterye takie i ich zarodniki przybywać mogą do gruntu i gromadzić się w nim. Plwocina, kał, mocz, zwłoki ludzkie i zwierzęce przenoszą je bezustannie z ognisk zakażonych do gruntu. Otóż, pytanie, czy zarodniki te mogą żyć w ziemi, rozmnażać się lub przynajmniéj przechowywać, ażeby następnie przy zetknięciu z człowiekiem lub zwierzęciem znów wywołać zakażenie? Niestety, o losie zarodników chorobotwórczych w gruncie wiemy dotąd jeszcze bardzo mało, lecz jednak pewna liczba dobrze poznanych faktów już istnieje; pokrótce je przeto tu przytoczę, korzystając z odnośnego sprawozdania złożonego przez pp. prof. Granchera i Richarda kongresowi hygienicznemu, który niedawno odbył się w Paryżu.

O obecności chorobotwórczych mikrobów w gruncie przekonywały niejednokrotnie doświadczenia, dokonywane na myszach, świnkach morskich i królikach, w których zwierzętom tym szczepiono ziemię z ulic lub ogrodów. Najbardziéj w gruncie rozpowszechnione są: wibryon zakaźny i lasecznik wywołujący tężec. Oprócz tych wszakże mikrobów, prawie wszędzie dotychczas znajdowanych, oczywiście miéjscowe warunki w niektórych okolicach powodują zjawianie się innych bakteryi, tak np. bakterye wąglikowe znajdują się wszędzie, gdzie w ziemi chowają trupy zwierząt padłych na karbunkuł. Lasecznik cholery, według Kocha, wegetuje doskonale na ziemi wilgotnéj. Wiemy również, że istnieją choroby, jak np. malarya, mające charakter specyalnie „telluryczny“, przywiązane do pewnego gruntu i na nim tylko objawiające się. Choroby te są też chorobami zakaźnemi, wywoływanemi przez pewne określone mikroby, których obecność w gruncie nie ulega wątpliwości.

Fizyczne własności ziemi pozwalają przypuszczać, że rozsiedlenie bakteryi w gruncie musi być bardzo nierównomierne, że nadewszystko obfitować w nie muszą warstwy najwyższe, jako nabliższe ognisk zarazy. W saméj rzeczy Koch dowiódł, że już poczynając od głębokości 1 metra bakterye rzadko w gruncie bywają napotykane. Fraenkel, który bardzo szczegółowo prowadził odnośne badania, dochodzi do wniosku, że 1) warstwy powierzchowne ziemi są nader bogate w zarodniki i 2) na pewnéj głębokości znajduje się granica, od któréj poczynając liczba zarodników nagle opada i statecznie zmniejszając się, dochodzi do zera. W ziemi ogrodowéj w Berlinie na powierzchni Fraenkel znajduje 45,000 zarodników w 1 centym. sześć., w głębokości 0,25 metra 35,000 zarodników, w głębokości 0,75 metra 28,000, w głębokości 1 metra 200, wreszcie przy 1,5 metra zgoła żadnych.

Jak długo zarazki, znajdujące się w gruncie, mogą zachować swą żywotność? Oczywiście, na pytanie to ogólnéj odpowiedzi oczekiwać nie można. Każdy gatunek posiada specyalne warunki istnienia i rozwoju. Odnośne badania bardzo niewiele jeszcze naprzód postąpiły. Zresztą, przedewszystkiém rozróżniać w tym względzie należy rozwinięte bakterye od ich zarodników. Co się tyczy laseczników, wiemy z badań Grancher'a i Deschamps'a, że na głębokości 20—50 centymetrów mogą one pozostawać przez 5 ½ miesięcy. Jednakże bardzo jest prawdopodobném, że własności zakaźne ziemia zawdzięcza przeważnie zarodnikom, które zachowują swą żywotność w warunkach bardzo nawet napozór nieprzyjaznych. Można ziemię w stanie suchym zachowywać przez tygodnie całe, nie szkodząc tém zarodnikom. Opiérają się one skutecznie wszelkim czynnikom niszczącym, zarówno wysokiéj i niskiéj temperaturze, jak i brakowi tlenu. Mogą przez długie lata pozostawać w gruncie, nie tracąc własności żywotnych. Dowiedziono tego z całą stanowczością co do zarodników laseczników wąglikowego i tężcowego.

W pewnych nawet warunkach, bynajmniéj nie rzadko w gruncie napotykanych, zarodniki mogą rozwijać się i zamieniać w bakterye, a bakterye w dalszym ciągu wydawać zarodniki. Co do wilgotności, Fodor utrzymuje, że dla rozwinięcia się zarodników ziemia co najmniéj powinna zawiérać 2% wody. Soyka przekonał się, że w ziemi bardzo często bakterye znajdują wszystkie te niezbędne warunki do wydawania zarodników, jakie posiadają hodowane w ośrodkach sztucznych: na kartoflu lub żelatynie. Nie zapominajmy, że i materyi organicznéj potrzebnéj do odżywiania mają poddostatkiém.

Lecz obok tych warunków przyjaznych, ziemia obficie dostarcza także czynników, które powodują zgubę bakteryi. Grunt jest wielkiém ogniskiem, które, podobnie jak pochłania materyą organiczną, tak téż niszczy mikroby chorobotwórcze. Przyjrzyjmy się bliżéj przyczynom, które wywołują to niszczenie.

Na powierzchni ziemi w pewne gorące dni letnie, suchość dochodzi do bardzo wysokiego stopnia. Koch i Duclaux dowiedli, że z tego powodu cierpią zwłaszcza mikroorganizmy kuliste, często paciorkowato z sobą spojone, t. zw. k o k k i. Wiadomo również, że brak wody zgubnie wpływa na lasecznika cholery. Niezależnie od tego i temperatura powierzchni ziemi w wielu razach niszcząco wpływać może na bakterye. Daléj, warstwy najwyższe ziemi obfitują w tlen, lecz na nieznacznéj już głębokości zabójczy dwutlenek węgla w dużéj znajduje się ilości. Bezpowietrzne przeto mikroby, jak wibryon septyczny, nie mogą się rozwijać na powierzchni, gdy tymczasem dla

powietrznych, jak np. dla lasecznika wąglikowego, nieprzyjazne są warunki panujące w pewnéj głębokości.

Bardziéj jeszcze okrutną jest walka, jaką rozmaite gatunki bakteryi, zarówno nieszkodliwe, jak i szkodliwe dla zdrowia, staczać muszą pomiędzy sobą i ze światłem słonecznem. W walce z saprofitami czyli takiemi istotkami roślinnemi, jak grzyby i pleśnie, bakterye prawie zawsze bywają pokonywane. Co się tyczy działania światła, to najogólniejsze w tym względzie wnioski, zaczerpnięte ze spostrzeżeń Gaillarda, dadzą się w następujący sposób streścić: 1) Wielka liczba zarazków, bądź zarodników, bądź téż rozwiniętych już mikrobów, szybko traci żywotność pod wpływem promieni słonecznych; najczulszemi pod tym względem są mikrokokki. 2) Szybkość, z jaką mikroby bywają niszczone, zależną jest od ośrodka, w którym przebywają. 3) Insolacya, trwająca czas pewien, może o tyle osłabić jadowitość mikrobów, że stają się one odpowiedniemi do szczepień ochronnych, odnosi się to przedewszystkiém do lasecznika wąglikowego. 4) Obecność powietrza wzmaga, brak zaś powietrza osłabia działanie światła. 5) Każda z barw widma słonecznego wywołuje specyficzne działanie, które wszakże słabszém jest, aniżeli działanie światła białego. 6) Działanie światła białego jest wprost proporcyonalne do jego natężenia. Z całą przeto słusznością światło słoneczne, wraz z Duclaux'em, poczytywać należy za najogólniéjszy, najbardziéj ekonomiczny i najsilniéj działający środek dezinfekcyjny, o którym nie godzi się zapominać w hygienie prywatnéj i publicznéj.

Z kolei zadajmy sobie pytanie: jakiemi drogami chorobotwórcze zarodki mogą opuszczać grunt i zakażać człowieka i zwierzęta? Drogi te są bardzo liczne. Ziemia, przylegająca do ciała, ubrania i obuwia, zawiéra zawsze bakterye, które wnosimy do mieszkań. Owady, robaki ziemne i t. p. również bardzo czynny biorą udział w dziele rozsiewania bakteryi. Znaną jest dobrze rola, przypadająca robakom ziemnym, połykającym ziemię, w rozsiewaniu zarodników wąglikowych. Zarodniki chorobotwórcze mogą także przylegać do płodów, których nam ziemia dostarcza; wydobywamy je wraz z sianem, rozmaitemi korzeniami, jarzynami i t. p. Tak np. wywoływano tężec u zwierząt, którym wprowadzano pod skórę cząstki ziemi przylegającéj do kartofli. Nigdy zarodki te nie znajdują się we wnętrzu tkanek roślinnych.

Trudno z całą dokładnością osądzić obecnie, jaki udział brać mogą wiatry i pył powietrzny w rozsiewaniu zarazków z gruntu. Lecz nie ulega wątpliwości, że woda z powierzchni ziemi dużo w tym kierunku zdziałać może. Okazało się, że warstwa ziemi grubości 2—3

metrów wogóle wystarcza do ochronienia wód podziemnych od zarazków pochodzących z powierzchni, co zresztą i z innych jeszcze względów doniosłe posiada znaczenie dla hygieny.

Oto mniéj więcéj wszystko, co z pewną dokładnością da się obecnie wypowiedziéć w kwestyi działania gruntu na zarodki chorobotwórcze. Widzimy, jak wiele pozostaje jeszcze do zbadania, zanim sprawę tę z dziedziny naukowéj przenieść będzie można na grunt praktyczny i sformułować wnioski, które zawierać będą przepisy profilaktyczne.

Odkrycia lat ostatnich na polu bakteryologii tak się mnożą, a współczesnéj nauce patologii tak jawną jest tendencya do sprowadzenia przyczyn znacznéj liczby chorób do działania bakteryi, że stan ten wyradza pewnego rodzaju „bakteryofobię“ w tych, którzy dokładniéj z naukową stroną saméj sprawy nie są obeznani. Otóż, nie należy bynajmniéj przypuszczać, że dość jest obecności danego gatunku bakteryi w najbliższém naszém otoczeniu i przeniesienia ich jakąkolwiek drogą do organizmu, ażeby dana choroba z niechybną pewnością wystąpiła. Bakterye chorobotwórcze należą, że tak powiem, do najwybredniejszych istot żyjących: nie na każdym gruncie żyć i rozmnażać się mogą, nie każde „podłoże“ jest dla nich odpowiednie. Normalny, zdrowy organizm wogóle nie jest podatném siedliskiem dla gospodarki życiowéj tych najdrobniejszych istotek. Trzeba specyalnie zmienionych tkanek danego organu, by w nim pewien określony gatunek bakteryi mógł się zagnieździć, trzeba na to „usposobienia“ organizmu, usposobienia często odziedziczonego, często nabytego. A pomijając w téj chwili zupełnie tę ważną okoliczność, że organizm każdego zdrowego człowieka bezustannie mieści w sobie duże ilości bakteryi najzupełniéj dla zdrowia nieszkodliwych, nie powinniśmy przedewszystkiém zapominać, że przyroda zaopatrzyła nas w broń, która pozwala nam odpiérać ataki najzaciętszych nawet wrogów. Każda niemal komórka naszego organizmu potrafi mniéj lub więcéj skutecznie walczyć z chorobotwórczemi mikrobami. Ciało nasze bezustannie wykonywa przytém nader czynną rolę, która dopiéro w najnowszych badaniach wykrywać się daje. W pierwszéj zapewne linii śród tych obrońców organizmu krew postawić należy. Pouczają o tém w sposób przekonywający badania p. H. Buchnera.

Świéża krew, która nie straciła jeszcze swych żywotnych własności, zabija nawet zarodniki chorobotwórczych mikrobów. Dzieje się to bezwątpienia i w naczyniach krwionośnych, jak dowodzą doświadczenia, w których odcinek naczynia podwiązywano i badano zmiany, jakie zachodzą w nim z bakteryami. Oczywiście, ważném niezmiernie

pytanie, jakiéj to właściwie części krwi: ciałkom krwi, czy osoczu lub surowicy, przypada w udziale to zabójcze działanie na bakterye. Surowica, otrzymana po skrzepnięciu krwi (przyczém w skrzepie pozostają ciałka krwi) końskiéj i psiéj w wysokim stopniu okazała się zabójczą dla laseczników tyfusowych, w mniejszym stopniu dla laseczników wąglikowych. To działanie surowicy zanika po półgodzinném ogrzéwaniu jéj przy 55° Cels., a tak samo dzieje się téż z całkowitą krwią. Natomiast po zamarznięciu i następném odtajaniu surowica nie traci swych zdolności zabójczych, kiedy tymczasem całkowita krew po zamarznięciu przestaje niszczyć bakterye. Na czém, zapytajmy przeto, polega, to odmienne w tym względzie zachowanie się krwi i surowicy? Otóż, jak pozwalają przypuszczać omawiane doświadczenia, w krwi ciałka białe i czerwone przy powyższym procesie oziębiania i następnego ogrzewania przechodzą do roztworu, w surowicy zaś, ciałek nie zawierającéj, zmiana taka nie zachodzi. A przy owém rozpuszczaniu się ciałek krwi należy przypuścić, albo wytwarzanie się takich materyi, które zobojętniają, neutralizują owę substancyą dla bakteryi szkodliwą, albo téż wydzielanie się takich ciał, które stanowią niezwykle dogodny materyał do ich odżywiania. Ta druga hypoteza bardzo jest prawdopodobną, gdyż w rzeczy saméj udało się dowieść, że po dodaniu odżywczych ciał do zabójczéj surowicy bakterye w téj ostatniéj najzupełniéj bez szkody dla siebie pozostawać mogą. Surowica taka zachowuje się względem bakteryi tak, jak surowica ogrzana do 55°, lub jak krew pozbawiona przez zamrożenie swéj własności zabijania bakteryi. Wpływ materyi odżywczych działa więc w tym razie silniéj niż wpływ materyi szkodliwych dla bakteryi i ostateczny rezultat przyjaźnie dla tych istotek wypada. Fakt ten niezmiernie jest ważny dla teoryi chorób zakaźnych i występuje jeszcze może wyraźniéj w doświadczeniu, w którém surowicę zastępujemy jakim środkiem antyseptycznym, jak np. salicylanem sodu. Roztwór (0,75%-wy) tego ostatniego, niszczący laseczniki tyfusowe wobec skąpéj ilości materyi odżywczych, staje się doskonałém podłożem, gdy dodać doń obfitych ilości odpowiednich dla bakteryi pokarmów. W tém jednocześnie znajdujemy objaśnienie téj pozornéj sprzeczności, że wprawdzie krew, lecz nie surowica, traci swe zabójcze na bakterye działanie wskutek zamrożenia i odtajenia. Należy przypuszczać, że materye pokarmowe zawarte są przeważnie w komórkach, czyli ciałkach krwi, i że korzystać z nich bakterye mogą wówczas dopiéro, gdy komórki się rozpadły, rozpuściły lub przynajmniéj w części wydzieliły swą zawartość.

Wszelkie przeto zanikanie komórek krwi w obecności bakteryi

powinniśmy uważać za objaw dla organizmu szkodliwy, wówczas bowiem krew nabywa własności dobrego gruntu odżywczego dla bakteryi i bezkarnie rozwijać się one w niéj mogą. Jeden jeszcze punkt uwzględnia w swéj pracy p. Buchner; mianowicie rozwiązuje do pewnego stopnia sprawę, wnosząc ze swoich doświadczeń, że właściwą bakteryobójczą materyą jest pewne ciało rozpuszczone w surowicy krwi. Dalsze badania w obranym tu kierunku powinny przynieść rezultaty jeszcze bardziéj dla całéj bakteryologii interesujące.

Pomiędzy drugorzędnemi przyczynami, sprzyjającemi rozwojowi chorób zakaźnych, niejednokrotnie już zwracano uwagę na wyczerpanie, zmęczenie organizmu, jako na czynnik ważną odgrywający rolę. Niedawno zaś złożyli w tym względzie dowody doświadczalne pp. Charrin i Roger. Zmuszali oni szczury do przebywania dość długiéj drogi (około 15 kilometrów), poczém szczepili im osłabione laseczniki wąglikowe. Z ośmiu takich szczurów siedm umarło, kiedy cztery inne szczury nieznużone bieganiem i temi samemi lasecznikami szczepione pozostały przy życiu. Podobny rezultat otrzymano i z bakteryami innemi i nie należy wobec tego wątpić, że stan organizmu stały lub chwilowy, to, co właśnie wyżéj ogólnie „usposobieniem“ nazwaliśmy, bardzo znaczny ma wpływ na mniejszą lub większą jego odporność względem chorobotwórczych mikrobów. Śród wojska w epidemiach gorączki tyfusowéj zmęczenie fizyczne uważane bywa oddawna za bardzo ważny czynnik etyologiczny.

Gdy mowa o odporności organizmu względem bakteryi, mimowoli nasuwa się sprawa szczepień ochronnych. Omówienie jéj wszakże pozostawić muszę innéj sposobności.

Maksymilian Flaum.

Pierwsze piętnastolecie Akademii.

Pamiętnik piętnastoletniéj działalności Akademii umiejętności w Krakowie 1873—1888. Kraków. 1889. XVI+209+200 str.

W dniu 7 maja 1888 upłynęło lat 15 od chwili, gdy powołana do życia Akademia umiejętności w Krakowie, uroczystym aktem inauguracyjnym, święciła rozpoczęcie swych czynności.

Okres lat piętnastu w dziejach rozwoju i postępu nauki, stanowi peryod ważny i znaczny; godziło się też trwaléj zaznaczyć go w bieżących rocznikach instytucyi dźwigającéj na swych barkach doniosłe zadanie przodowania ruchowi naukowemu w kraju i reprezentowania go wobec zagranicy. W poczuciu obowiązku tego a zarazem dla upamiętnienia téj tyle doniosłéj w swych dziejach rocznicy, zarząd Akademii ogłosił większych rozmiarów publikacyą p. t. „Pamiętnik piętnastoletniéj działalności Akademii umiejętności w Krakowie, 1873—1888.

Różnéj natury względy i okoliczności złożyły się na to, że ogół czytającéj publiczności, zbyt niedokładne o działalności Akademii i jéj ruchu naukowym posiadał wiadomości. Ogłaszano corocznie przez zarząd Akademii na publicznych posiedzeniach sprawozdania dostępne szczuplejszemu tylko kołu publiczności, obejmowały zbyt krótkie okresy czasu, iżby sobie z nich wobec szeroko zakreślonego programu Akademii wytworzyć można dokładny obraz jéj działania. W nadmiernie szczupłéj ilości rozchodzące się publikacye naukowe nie wiele przyczyniały się również do obudzenia zainteresowania u ogółu sprawami i postępem ruchu naukowego w Akademii. Wobec takiego stanu rzeczy, wydanie Pamiętnika uważać należy za krok ze strony Akademii ze wszech miar na uznanie zasługujący, świadczący o odczuciu potrzeby łączności najwyższéj naukowéj instytucyi z szerszemi kołami wykształconego ogółu.

Redakcyą księgi pamiętniczéj zajmował się komitet, złożony z sekretarzy wydziałów i komisyi akademickich, a okoliczność ta jest gwarancyą, że sprawozdania z czynności każdego z poszczególnych wydziałów, spisane przez ludzi do tego powołanych, skreślone są z wymaganą ścisłością i sumiennością naukową. Podzielony na kilka działów pamiętnik, zawiéra w pierwszéj części ogólny obraz ruchu naukowego w poszczególnych wydziałach i komisyach Akademii, w drugiéj bibliografię wydawnictw, w trzeciéj dzisiejszy skład Akademii, oraz wykaz stanu majątkowego i powierzonych funduszów, w ostaniéj wreszcie akta urzędowe, odnoszące się do jéj założenia i urządzenia.

Na wstępie Pamiętnika znajduje się opis procesu przeobrażenia Towarzystwa naukowego krakow. na Akademią umiejętności, pióra prezesa dra Józefa Mayera. W pracy téj sięga autor pierwszych zawiązków Tow. naukowego krak., które odnosi się do r. 1809. Nie będziemy powtarzali tu znanych zkądinąd szczegółów powstania i zorganizowania się téj dawnéj naszéj instytucyi naukowéj, która różnorodną losu koleją rzucona, w wirze kataklizmów przetrwać i utrzymać się zdołała, aż do czasów najnowszych t. j. do r. 1872, w którym aktem monarszym zamienioną została na Akademią umiejętności. W szczęśliwéj chwili (w r. 1870) przez ś. p. Alfreda hr. Potockiego, ówczesnego prezesa ministrów, w sferach rządowych podniesiona myśl przeobrażenia Tow. naukowego krak. na Akademią umiejętności w nadspodziewanie krótkim czasie doczekała się urzeczywistnienia. Rok tylko niespełna od dnia zatwierdzenia statutu Akademii trwał ten proces przemiany, tak, że już w dniu 7 maja 1873, mogło nastąpić uroczyste zagajenie czynności nowo do życia powołanéj i w pełni już ukonstytuowanéj Akademii. Ukonstytuowanie to składu nowéj Akademii nie było bynajmniéj rzeczą łatwą w ówczesnych stosunkach. Trudność owa polegała na têm, że każdy czynny członek Towarzystwa naukowego, mając w niém równe prawa z innymi, mógł téż niewątpliwie rościć sobie prawo równego stanowiska w składzie przyszłéj Akademii, czemu oczywiście, pomijając inne względy, sprzeciwiała się już sama ilość członków Towarzystwa, przechodząca o wiele liczbę pomieścić się mogących w Akademii. Jeżeli tedy rzeczywiście ukonstytuowanie nowéj Akademii załatwioném być mogło w tak krótkim czasie, to zawdzięczać należało rzadkiéj jednomyślności poglądów ówczesnych członków Tow. nauk. krak., którzy w poczuciu doniosłości sprawy, umieli złożyć na ołtarzu dobra powszechnego prywatne swe ambicye, byle tylko nie opóźniać dojścia do skutku tak żywotnéj dla społeczeństwa sprawy. Ten fakt abnegacyi i zgodności w łonie członków Tow.

naukowego, podczas całéj akcyi przeobrażania pierwotnéj instytucyi, pozostanie jedną z najpiękniejszych kart w jéj rocznikach.

Wobec tego zgodnego usposobienia członków, po krótkich naradach uchwalono przyjąć za zasadę przeobrażeń jednolitą Akademią z zarzuceniem proponowanego pierwotnie dwurodzajowego jéj charakteru. W dniu 10 czerwca 1872 zatwierdzone zostały wybory pierwszych członków Akademii, do których wybrani zostali przez połączone oddziały b. Towarzystwa naukowego: Prof. Józef Kremer, Wincenty Pol, Józef Szujski, Antoni Walewski, Julian Dunajewski, Lucyan Siemieński, Karol Mecherzyński, Karol Estreicher, Józef Majer, Ludwik Teichmann, Fryderyk Skobel i Stefan Kuczyński. Wymienieni członkowie podzieleni odtąd na 3 wydziały akademickie, wybrali w myśl dalszych przepisów statutu dla każdego z nich po 8 kandydatów z całego kraju. Z mocy wyborów tych powiększyli grono pierwszych akademików: Aleks. hr. Fredro, Antoni Małecki, Teofil Żebrawski, Julian Klaczko, August Bielowski, Józef Supiński, ks. kan. Fr. Pawłowski, Izydor Szaraniewicz, Józef Dietl, Alfred Biesiadecki, Ignacy Czerwiakowski i Wawrzyniec Żmurko. Oto skład Akademii w pierwszym roku jéj istnienia. Postanowieniem cesarskiém zamianowany został dotychczasowy prezes Tow. naukowego dr. Józef Majer pierwszym prezesem, zaś prof. Józef Szujski pierwszym sekretarzem generalnym Akademii. Członkom czynnym b. Tow. naukowego, którzy nie weszli do grona czynnych członków Akademii, przyznano charakter nadzwyczajnych członków Akademii z prawém otrzymywania publikacyi i brania udziału w obradach.

Podwaliną przyszłych funduszów Akademii był szczodry dar cesarski w kwocie 20,000 złr., za którym posypały się dary inne a mianowicie arc. Karola Ludwika w kwocie 5,000 złr., Alfreda hr. Potockiego w wysokości 5,000 złr., oraz Adama hr. Potockiego, również w wysokości 5,000 złr. Sumy powyższe wraz z wielu innemi, które zewsząd na wieść o założeniu Akademii płynąć poczęły, wcielone zostały do funduszu żelaznego, bieżące zaś wydatki pokrywanemi być miały z subwencyi i zasiłków stałych, z któremi pośpieszył bezzwłocznie sejm, ministeryum oświaty, oraz miasto Kraków.

Rzut oka na cały piętnastoletni okres istnienia i działalności krakowskiéj Akademii, na jéj prace i wyniki naukowe za jéj pośrednictwem osiągnięte, stwierdza wymownie, że nadzieje, jakie od chwili założenia, społeczeństwo w młodéj instytucyi pokładało, bynajmniéj zawiedzionemi nie zostały. Zacieśniona zbytnio w sferze stosunków galicyjskich w ogóle, a uniwersyteckich krakowskich w szczególności, nie stanęła może Akademia krakowska w zupełności na wyżynie współcze-

snéj wszechświatowéj nauki, w miarę sił jednak i środków swoich, przyczyniła się w wysokim stopniu do podniesienia u nas zamiłowania do nauki ścisłéj, do rozwoju umiejętności i dała silny popęd do prac naukowych w najróżnorodniejszych kierunkach.

Cyfra 1,361 publikacyj i rozpraw, wydanych w przeciągu lat 15, sama przez się najwymowniejszym jest dowodem skrzętnéj zabiegliwości Akademii w gromadzeniu materyału naukowego. W szczupłym sprawozdawczym artykule brak nam miejsca na szczegółowe scharakteryzowanie ruchu naukowego w każdym z poszczególnych Akademii wydziałów, oraz osiągniętych wyników. Ciekawszych odsyłamy do samego „Pamiętnika“, poprzestając tylko na najogólniejszych konturach sprawozdania.

Jak już wspomnieliśmy, Akademia Umiejętności w dzisiejszym swym składzie dzieli się na trzy główne wydziały: filologiczny, historyczno-filozoficzny i matematyczno-przyrodniczy. Ponieważ wydziały w pełnym komplecie nie mogłyby rozwijać skutecznéj działalności w poszczególnych gałęziach nauk ścisłych, przeto zaprowadzono podział na komisye, którym dodano pewne działy specyalne. I tak wydział filologiczny rozpada się na 4 komisye: bibliograficzną, językową, komisyę dla badań w zakresie historyi literatury i oświaty i komisyę historyi sztuki. Wydział historyczno-filozoficzny podzielił się na trzy komisye: prawniczą, historyczną i archeologiczną; matematyczno-przyrodniczy wreszcie wyłonił z siebie komisye antropologiczną i fizyograficzną.

Sprawozdania poszczególnych wydziałów, a następnie poszczególnych komisyj wydziałowych mieszczą szczegółowy obraz ruchu naukowego w każdéj z dziedzin.

Filologiczny wydział wziął sobie za główne zadanie: 1) gromadzenie materyałów do wielkiego słownika języka polskiego; 2) ustalenie pisowni polskiéj; 3) pogłębienie badań źródłowych nad historyą literatury i oświaty w Polsce, wreszcie 4) ogłaszanie prac z dziedziny filologii klasycznéj. Każdy z wytycznych punktów powyższych znalazł rozwinięcie w szeregu prac i rozpraw, a z pomnikowych wydawnictw wydziału zasługują przedewszystkiém na wymienienie: Bibliografia Estrejchera, pięciotomowe wydawnictwo „Archiwum do historyi literatury i oświaty w Polsce“, 11 tomów sprawozdań komisyi, oraz najnowsze wydawnictwo „Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum usque ad Joh. Cochanovium“ tomów 2.

Historyczno-filozoficzny wydział najgorliwszą i najskuteczniejszą rozwinął działalność na polu badań dziejowych. Komisya historyczna rzeczonego wydziału najhojniéj stosunkowo ze wszystkich komisyj aka-

demickich uposażona, więcéj od innych ogłaszać mogła wydawnictw i popierać badania naukowe za granicą. „Pamiętnik“ podnosi w tym względzie najwyżéj zasługi ś. p. Szujskiego, który od chwili założenia Akademii nietylko wszelkie potrzeby historycznych studyów w zarządzie Akademii popierał i największe dla nich fundusze wywalczał, ale pierwszy poruszył myśl utworzenia funduszów na cele popierania wypraw naukowych za granicą, które niebawem tak obfity plon wydać miały.

W piętnastoletnim okresie swego istnienia, komisya historyczna wydała przeszło 40 tomów wydawnictw, z których pierwszorzędne dla nauki znaczenie miały „Monumenta Poloniae historica“, „Starodawne prawa polskiego pomniki“, wydawane początkowo przez Helcla, a w dalszym ciągu podjęte przez komisyę historyczną, daléj „Monumenta medii aevi“, „Acta historica“, „Scriptores rerum polonicarum“, wreszcie t. z. „Archiwum komisyi historycznéj“. Z dzieł osobno po za publikacyami wydziałowemi wydanych, należą tu: Kolberga „Lud“ tomów 16. Korzona „Dzieje wewnętrzne Polski“, Tarnowskiego St. „Pisarze polityczni XVI wieku“, Krasińskiego „Słownik synonimów“, Żebrawskiego „Słownik matematyczny“, Piekosińskiego „O dynastycznem pochodzeniu szlachty polskiéj“ i wiele innych.

Z dziedziny umiejętności prawnych i politycznych, które należą do zakresu działania komisyi prawniczéj, najtroskliwiéj uprawianą była dziedzina dawnego prawa polskiego. Pierwszorzędnego znaczenia materyały dla tego działu wydano w kilkunastotomowym zbiorze p. t. „Starodawne prawa polskiego pomniki“. Zebraniem i wydaniem tych materyałów zajmowali się przeważnie Bobrzyński, Heyzmann i Ulanowski, a dzięki podjętym przez tych uczonych usiłowaniom, nagromadzone zasoby źródłowe na długo starczą dla pokaźnego dziś zastępu badaczy tego przedmiotu. Również dziedziny prawa rzymskiego, kościelnego, filozofii prawa, oraz obowiązującego dziś prawa sądowego i politycznego zostały dotknięte każda w kilku lub kilkunastu rozprawach i pracach. Obfity szereg publikacyj wydziału historyczno-filozoficznego zamykają wydawnictwa komisyi archeologicznéj, mianowicie: „Zabytki przedhistoryczne ziem polskich“, „Monumenta epigraphica cracoviensia medii aevi“ oraz „Wykaz zabytków przedhistorycznych“.

Matematyczno-przyrodniczy wydział, jednoczący wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych i matematycznych, odbył w ciągu całego okresu 143 posiedzeń. Sprawozdania z rzeczonych posiedzeń dają zaledwie częściowy a najogólniejszy obraz pracy i wyników wydziału i jego komisyj. Ruchu naukowego nie można tu ująć w jednolity obraz

ze względu na dorywczość i przypadkowość podejmowanych lub wnoszonych prac, pochodzących z dowolnéj indywidualnéj inicyatywy poszczególnych pracowników. W licznych publikacyach zbiorowych i rozprawach wydziału reprezentowane są wszystkie działy nauk ścisłych. Specyalnemi badaniami nad meteorologią, fauną i florą krajową zajmowała się komisya fizyograficzna, antropologią zaś i etnografią komisya antropologiczna. Obie komisye rozporządzały znacznemi funduszami na cele wycieczek naukowych, z których plon nader obfity złożono częścią w rozlicznych publikacyach, częścią w zbiorach muzealnych obu komisyj. Komisya antropologiczna nie pominęła także międzynarodowych zgromadzeń i czynności naukowych, odnoszących się do jéj zakresu i wzięła udział w zjeździe archeologiczno-antropologicznym w Peszcie 1876 r. oraz w antropologicznym dziale wystawy powszechnéj w Paryżu 1878 r. Na pierwszym reprezentował ją czynnie sekretarz komisyi prof. Kopernicki, na ostatnią zaś komisya antropologiczna wspólnie z archeologiczną przygotowały i wysłały ciekawsze okazy archeologiczne i etnograficzne ze zbiorów Akademii, które tam powszechną na siebie uwagę znawców ściągały.

Według wykazu „Pamiętnika“, liczy Akademia w dzisiejszym swym składzie 83 członków czynnych i korespondentów krajowych i zagranicznych oraz 30 członków nadzwyczajnych, t. j. b. członków Tow. Naukowego krak., którzy nie weszli w poczet czynych członków Akademii. Stale w Warszawie zamieszkałych posiada Akademia członków 11, a szereg ich składają: Brodowski Włodzimierz, Hoyer Henryk, Hube Romuald, Karłowicz Jan, Kaszewski Kazimierz, ks. Lubomirski Tadeusz, Pawiński Adolf, Przyborowski Józef, Stawiski Edmund, Struve Henryk, Szokalski Wiktor. Świat artystyczny jedynie w osobie Juliusza Kossaka ma przedstawiciela w Akademii.

Z mocy przepisów statutu, wybory do Akademii odbywają się corocznie przed walnem posiedzeniem. Kandydatów na członków wszelkich kategoryj wybierają odpowiednie wydziały, na piśmienne przedstawienie dwóch członków czynnych. O ważności wyboru rozstrzyga większość $^3/_4$ głosów tajnych. Wyboru stanowczego dokonywa cała Akademia, do czego potrzeba obecności przynajmniéj 24 członków czynnych i większości $^2/_3$ głosów tajnych.

Przechodząc do sprawozdania ze stanu majątkowego Akademii, nadmienić wypada, że skromne zrazu fundusze i zasiłki, jakiemi rozporządzała, w krótkim stosunkowo czasie, dzięki ofiarności instytucyi publicznych i osób prywatnych, wzmogły się tak znacznie, iż dzisiaj Akademia skutecznie popierać może w najróżnorodniejszych kierunkach ruch naukowy. Dalekim jest jeszcze wprawdzie stan funduszów

krakowskiéj Akademii od tego, jaki mają do rozporządzenia Akademie zagraniczne, jest jednakże uzasadniona nadzieja, że po zrealizowaniu licznych zapisów i fundacyi, które nie weszły jeszcze w życie i spłaceniu niektórych, dotkliwie jeszcze na budżecie ciążących wierzytelności, co w niezbyt długim stosunkowo czasie nastąpić będzie mogło, stan ogólny tychże przedstawi się zadawalająco.

Majątek dzisiejszy Akademii składa się 1) z dwu realności położonych przy ulicy Sławkowskiéj w Krakowie, przedstawiających wartość 100,000 złr.; 2) z zakładu zdrojowego w Szczawnicy zapisanego Akademii przez ś. p. Józefa Szalaja; 3) z biblioteki i zbiorów naukowych; 4) z funduszu żelaznego, wynoszącego dziś 47,000 złr.; 5) z darów i zapisów; 6) z subwencyi rządowych, krajowych i miejskich; 7) z funduszu nagród, 8) z funduszów stypendyjnych.

Pozycye powyższe reprezentują ogółem cyfrę majątkową bardzo znaczną, bieżące wszelako dochody Akademii nie odpowiadają rzeczywistemu stanowi majątkowemu ze względu, iż znaczna liczba zapisów i funduszów wymaga prawnéj windykacyi, która postępuje bardzo powoli, a nadto na kilku znacznych zapisach, ciążą jeszcze dożywocia testatorów.

Najważniejsza pozycya majątkowa t. j. zakłady zdrojowe szczawnickie, nie przyniosła dotąd Akademii żadnych dochodów na cele naukowe, ze względu iż jedna połowa czystego dochodu, stosownie do woli testatora, obracaną być ma na podnoszenie zdrojowiska, druga zaś użytą być musi na spłacanie długu hipotecznego, zaciągniętego przez Akademię na Szczawnicę celem spłacenia legatów zastrzeżonych synom testatora.

Dochód na cele naukowe i na pokrycie bieżących wydatków czerpie Akademia z dwu źródeł. Z procentu od funduszu żelaznego, który przynosi 4,600 złr. rocznie oraz ze subwencyi. Państwowa subwencya wynosi obecnie 12,000 złr. rocznie, krajowa stale rokrocznie podwyższana 25,000 złr., miejska wreszcie 500 złr. rocznie. Nieznaczny nadto dochód czerpie jeszcze Akademia ze sprzedaży swych publikacyi.

Normalny budżet roczny Akademii przedstawia obecnie w dochodach sumę około 40,000 złr. Z dochodów tych przypada na wydatki administracyjne kwota 8000 złr., pozostała zaś reszta złr. 32,000 dzieli się na dwie równe połowy, z których jedna stanowi wspólną dotacyą pierwszych dwóch wydziałów, t. j. filologicznego i historyczno-filozoficznego, druga zaś przypada w całości wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu. W zarządzie Akademii pozostają nadto jeszcze dwa fundusze, które żadnéj zgoła nie przynoszą Akademii korzyści, a są jedynie dowodem pokładanego w Akademii zaufania ze strony

ofiarodawców. Są to fundusze nagród i fundusze stypendyjne. Fundusz nagród rozpada się na 7 fundacyi, mianowicie: Probusa Barszczewskiego (2 po 1,250 złr. rocznie), ks. Lubomirskiego (1,000 złr. rocznie), Imienia Lindego (675 rs. co 3 lata), Kopernika (500 złr. co 5 lat), Radwańskiego (131 złr. co lat 10), ks. Ad. Jakubowskiego (400 i 200 złr. co lat 2), Bieleckiego (3 po 130, 85 i 45 złr.), wreszcie 5 jednorazowych. Funduszów stypendyjnych pozostających pod zarządem Akademii jest ośm, z tych 3 większe (5,000 i 800 złr.) przeznaczone na kształcenie się za granicą kandydatów na profesorów uniwersytetu.

Biblioteka Akademii, odziedziczona po b. Tow. naukowém krak. obejmowała 10,364 dzieł: dzisiaj liczy ona ogółem 34,600 tomów, oraz 800 fascykułów rękopiśmiennych. Dział numizmatyczny, liczy ogółem medali i monet polskich sztuk 3136, zaś monet i medali obcych sztuk 1944. Najnowsze publikacye naukowe z literatury obcéj otrzymuje Akademia w drodze wymiany swych własnych publikacyi z publikacyami instytucyi naukowych zagranicznych. Obfitém nadto źródłem pomnażania biblioteki są liczne dary osób prywatnych Akademii składane, z pomiędzy których zaznacza Pamiętnik ofiarowywane rokrocznie Akademii najnowsze publikacye ruskie, przez p. Włodzimierza Spasowicza korespondenta wydziału filozoficznego. Brak funduszów na dostateczne uposażenie posady bibliotekarza nie dozwolił dotąd na przeprowadzenie dokładnego skatalogowania biblioteki i jéj zbiorów.

Tak się przedstawia wedle sprawozdania Pamiętnika stan własnych i poruczonych funduszów Akademii umiejętności z r. 1888. Wzrastają one i wzrastać będą w dalszym ciągu nieustannie, ale wraz z niemi i obowiązek coraz gorliwszego i skuteczniejszego a bezstronnego popierania celów naukowych, przez najwyższą w kraju instytucyę naukową, która ma obowiązek przedewszystkiém pamiętać o tém, że społeczeństwo domaga się od niéj eksploatowania celów nauki a nie interesów stronnictw lub jednostek. W działalności i gospodarce zarządu Akademii wiele rzeczy należałoby poddać krytyce; wstrzymujemy się od tego, przekonani, że nie zła wola, ale przesadna gorliwość z jednéj a brak inicyatywy z drugiéj strony, towarzyszący nieodłącznie każdemu cięższemu i skomplikowanemu ciału naukowemu, jest przyczyną tych wadliwości, z których niejednokrotnie publicystyka nasza zarzut jéj czyniła.

W. P.

O RUBLU.

Zygmunt Heryng, „Rubel.“ Historya, przyczyny wahań i środki ustalenia papierowego rubla. Warszawa, 1890.

Przy każdém przyjęciu, lub wydawaniu rubla papierowego, każdy z nas dokonywa operacyi finansowéj, ze znaczenia któréj sprawy sobie nie zdaje. Bezwiednie i mimowolnie każdy z nas codziennie w większéj lub mniejszéj mierze spekuluje, rubel bowiem, którym płaci, lub bywa zapłaconym, z każdym nieomal dniem wartość swoją zmienia: dziś kurs jego się podnosi, jutro spada lub naodwrót. Każdego poranku posiadacz rubla budzi się bogatszym, lub uboższym, pomimo to że całą noc jak najspokojniéj przespał i niczém do zmiany swego położenia się nie przyczynił.

Przedmiot zatém, o którym traktuje p. Heryng w książce swojéj o rublu, interesuje nietylko samych finansistów i bankierów, ale żywo obchodzi społeczeństwo całe. Obojętność ogółu dla téj sprawy, na którą autor się żali, tém tylko tłómaczyć się daje, że przy przymusowym kursie rubla, wola nasza nie ma żadnego udziału w dokonywających się bezustannie operacyach obiegu pieniężnego, a gdzie brak wolnéj woli, tam i refleksya do niczego nie prowadzi. Jeżeli jednak p. Heryng w książce swojéj nietylko wyjaśnia położenie, ale jeszcze podaje środki wyjścia z niego, to już tém samém żywsze zainteresowanie obudzić powinien.

W pierwszych rozdziałach swéj pracy autor podaje krótką historyą powstania i rozmnożenia się rubla papierowego, tudzież rosyjskich pożyczek państwowych, przyczém wykazuje, że nie względy ekonomiczne, nie rozwój handlu i przemysłu, lecz potrzeby państwowe, względy utrzymania i rozszerzenia bezpieczeństwa i potęgi państwa

wywołały niepomierne rozmnożenie się rubla papierowego. Bogaty nader materyał do historyi rubla, tudzież znakomite jego obrobienie, znajdujemy w dziele p. Jana Blocha p. t.: „Finanse Rosyi,“ z niego też głównie autor czerpał przy przedstawieniu kolei, jakie rubel przechodził.

W rozdziale pod napisem: „na czém się opiéra papierowy rubel i dlaczego kurs jego się chwieje,“ autor rozbiéra kilka nader ważnych i ciekawych kwestyi teoretycznych, a mianowicie zastanawia się nad rękojmiami tak pieniędzy kruszcowych, jak banknotów oraz pieniędzy papierowych. Słusznie też podnosi wysokie znaczenie rękojmi moralnéj, zapasy bowiem złota i srebra, które się znajdują w piwnicach banków, jako materyalne zabezpieczenie emitowanych przez nie banknotów, o tyle tylko stanowią rękojmią, o ile istnieje zaufanie, że one i w wypadkach nadzwyczajnych, podczas wojen lub rewolucyi, nie będą stamtąd wycofane na zaspokojenie nieprzewidzianych potrzeb państwowych. W dalszym ciągu zastanawia się autor nad pytaniem, czy ceny towarów podnoszą się lub spadają w miarę tego, jak ilość kruszcowéj monety zwiększa się lub maleje, czy też naodwrót, potrzebna ilość monety zależy od ilości, ceny i szybkości krążących w danéj chwili towarów, i dochodzi do wniosku, że obfity przypływ lub odpływ monety może wywołać tylko chwilowe podrożenie, lub stanienie towarów, trwałego zaś wpływu ilość monety wywierać nie może, gdyż w miarę zwiększającéj się potrzeby pieniędzy, przeznacza się na jéj wybicie większa ilość kruszcu, w miarę zaś zmniejszenia się potrzeby, pieniądz zamienia się w sztaby lub wyroby srebra i złota. Wywód ten autora podkreślamy, gdyż w dalszym ciągu niniejszego rozbioru na niego się powołamy.

Z kolei autor rozbiéra kwestyą banknotów i dowodzi, że i one, o ile emitujące je banki prawidłowo funkcyonują, na ceny towarów wpływu nie wywierają, a przechodząc do znaczenia niewymienialnych banknotów czyli pieniędzy papierowych, twierdzi, że one nietylko mogą być równouprawnione z monetą kruszcową, ale co ważniejsze, bynajmniéj nie są przeszkodą do ekonomicznego rozwoju krajów monetą papierową się posługujących, na dowód czego służyć właśnie ma Rosya, w któréj w ciągu lat stu obiega niewymienialny bilet kredytowy.

Przykład przez p. Herynga przytoczony służyć tylko może za dowód niesłychanéj siły żywotnéj państwa, niewyczerpanych jego bogactw przyrodzonych, skoro pomimo tak wadliwego ustroju cyrkulacyi pieniężnéj, pomimo takich faktów, jak płacenie przez skarb w r. 1839 za rubla asygnacyjnego 29 kop., lub spadek kursu biletu kredytowego z roku 1888 do kop. 48½, stan ekonomiczny jeszcze jako tako rozwijać się

zdołał, ale bynajmniéj nie dowodzi, iż moneta papierowa prawidłowego rozwoju ekonomicznego nie tamowała i nie paraliżowała.

W tymże rozdziale znajdujemy rozbiór czynników, oddziaływających na różnicę oceny pieniędzy papierowych przez krajowych i zagranicznych ich posiadaczy, tudzież wpływ międzynarodowego bilansu handlowego na kurs waluty. Opiérając się na badaniach nowszych pisarzy ekonomicznych, p. Heryng prostuje błędne pojęcia o znaczeniu bilansu międzynarodowego i słusznie twierdzi, iż przewaga przywozu towarowego nad wywozem nie jest bynajmniéj dowodem niepomyślnego położenia ekonomicznego kraju więcéj przywożącego, aniżeli wywożącego, że bilans międzynarodowy może miéć wpływ tylko w danéj chwili na kurs waluty, kiedy np. w porze ożywionego eksportu zbożowego z Rosyi, jest wielkie zapotrzebowanie weksli rosyjskich na giełdach zagranicznych, stanowczy zaś wpływ na kurs rubla zależy od oceny politycznego, ekonomicznego i finansowego położenia Rosyi.

W rozdziale noszącym nadpis: na czém polega zło papierowego rubla i jakie są zła tego rozmiary, autor podejmuje trudną i niewdzięczną pracę dowiedzenia, że istnienie w kraju papierowéj, niewymienialnéj monety nie stanowi bynajmniéj klęski narodowéj. Drogą sofistycznego rozumowania dochodzi p. Heryng do wniosku, że krytykowani przez niego ekonomiści, potępiający monetę papierową, upatrują całe złe w nieuniknionym nadmiarze papierowéj waluty, że gdyby zatém państwa zachowywały właściwą miarę przy emisyach, pieniądze papierowe powinnyby stać *al pari*, chociażby państwa te pod żadnym względem na kredyt nie zasługiwały.

P. Heryng pomięszał tu widocznie pojęcia. Surogat pieniężny, który nie przekracza potrzeb obiegu, który znika z chwilą, kiedy się okazuje zbytecznym, który jedném słowem, nie jest emitowany nadmiernie, nie może być nazwany pieniądzem papierowym. Państwo znowu, które w takiéj tylko mierze emituje banknoty, że dla puszczenia ich w obieg nie potrzebuje uciekać się do kursu przymusowego, nie może być nazwaném nie zasługującém na kredyt. Nauka nie wymaga bynajmniéj, aby wszystkie będące w obiegu banknoty były w każdym czasie na kruszec wymienialne, żąda tylko, aby ilość niewymienialnych biletów bankowych nie przekroczyła pewnéj, przez praktykę ustalonéj normy, aby surogat pieniężny wychodził z instytucyi bankowéj, kiedy potrzeba rynku stamtąd go wywołuje, a wracał, kiedy potrzeba ta ustaje. W Anglii banknoty na sumę 14,000,000 funtów szt. nie mają pokrycia kruszczowego, dopiéro każda przewyżka ponad tę sumę, wywołana zwiększonym ruchem handlowo-przemysłowym, winna posiadać ekwiwalent kruszcowy; w chwili zmniejszenia się tego ruchu, banknot,

przewyższający sumę 14,000,000 funtów szt., wraca do banku wzamian za kruszec.

Rozumowanie p. Herynga, że nie ma żadnéj podstawy do wnioskowania, czy dana ilość pieniędzy papierowych odpowiada rzeczywistéj potrzebie, czy téż ją przeważa, upada wobec istnienia różnicy kursu,—w chwili powstania *agia* dla pieniędzy kruszcowych w stosunku do monety papierowéj, ta ostatnia okazuje się nadmierną, potrzebę przewyższającą,—teoretyczne twierdzenie, iż nie wiadomo, czy ta różnica jest stała, czy tylko chwilowa nie ma znaczenia wobec faktu, że posiadacz pieniędzy papierowych w danéj chwili ponosi na nich stratę, a straty téj nie miałby, gdyby mógł zanieść papierek do banku, który go na świat wydał, i otrzymać za niego ekwiwalent kruszcowy.

Dziwna rzecz, że dla monety kruszcowéj p. Heryng znalazł miaroskaz jéj potrzeby, lub nadmiaru, a dla monety papierowéj odnaleźć go nie może. Jakeśmy wyżéj wspomnieli, p. Heryng uważa, że moneta kruszcowa na ceny towarów trwałego wpływu wywierać nie może, gdyż w jéj braku moneta z kruszcu się wybija, przy nadmiarze zaś moneta przekształca się w sztaby, lub wyroby kruszcowe. Ponieważ moneta papierowa w razie przekroczenia potrzeb wymiennych, na sztaby ani wyroby zamienioną być nie może, przeto naturalném tego następstwem musi być spadek jéj wartości, przy jednoczesném podrożeniu wszystkich towarów, które w zamian za zdeprecyowaną monetę wymienione bywają. Powstanie różnicy kursu jest objawem, albo nadmiaru monety papierowéj, albo osłabienia do niéj zaufania,—w jednym i drugim wypadku należy wycofać część biletów do czasu wyrównania się kursu.

Wpływu monety papierowéj na ceny towarów, a w szczególności na ich podrożenie stara się p. Heryng zaprzeczyć, przytaczając w obronie swéj tezy rozmaite fakty, z których stosownie do potrzeby znaczenie jednych sprowadza do zera, natomiast drugich podnosi do potęgi. I tak, znane fakty historyczne o niesłychaném podrożeniu wszystkich towarów w epoce wielkiéj rewolucyi francuskiéj z powodu upadku ówczesnych asygnat nazywa anegdotami. Czy rzeczywiście za filiżankę czekolady płacono 30,000 franków asygnacyjnych, trudno sprawdzić, ale że ona musiała kosztować bardzo drogo, to zaprzeczeniu uledz nie może, skoro sam rząd francuski płacił za swoje asygnaty zaledwie $^1/_{1000}$ części nominalnéj ich wartości. Z drugiéj strony, zbyt wysokie znaczenie przywiązuje p. Heryng do faktu, iż pomimo spadku wartości rubla papierowego, cena wywożonego z Rosyi zboża nietylko się nie podniosła, ale przeciwnie spadła, — powszechnie bowiem wiadomo, co zresztą i sam autor przyznaje, że na spadek cen zboża wpłynęły inne

zupełnie przyczyny, z walutą związku żadnego niemające, a mianowicie konkurencya zboża amerykańskiego. Gdyby spadkowi kursu rubla papierowego nie towarzyszyła jednocześnie konkurencya zboża zaatlantyckiego, ceny zboża krajowego prawdopodobnie inaczéjby się ukształtowały, i dlatego nie można zestawiać dwóch faktów, spadku wartości rubla i spadku cen zboża, z których każdy innemi wywołany był przyczynami, na dowód że spadek rubla nie ma wpływu na drożyznę zboża i innych towarów.

Natomiast godzimy się w zupełności z p. Heryngiem na to, iż moneta papierowa i połączone z nią fluktuacye kursowe nie w jednakowym stopniu oddziaływają na wszystkie towary: na jedne wpływ ten jest stanowczy i każda zmiana wartości rubla wywołuje odpowiednią zmianę w cenie towaru, na inne wpływ ten jest mniejszy, na inne nakoniec wpływ prawie żaden i przyjmujemy pod tym względem klasyfikacyą p. Herynga, wedle którego zmiany, zachodzące w wartości rubla, w mniejszym stopniu oddziaływają na każdą następną z wyliczonych poniżéj kategoryi towarów:

1. towary przywożone z zagranicy;
2. towary wyrabiane w kraju, lecz które przy wyższym kursie mogłyby być sprowadzane z zagranicy;
3. materyały wywożone za granicę;
4. produkty, przy wyrobie których zużywają się cząstkowo materyały, lub maszyny zagranicznego pochodzenia;
5. materyały surowe nie wywożone zagranicę, oraz wyroby wytwarzane z materyałów wyłącznie krajowych i przy pomocy krajowych maszyn.

Jeżeli w pierwszéj z wyliczonych kategoryi każda zmiana rubla w równym stopniu oddziaływa na cenę towaru, to nie można powiedzieć, aby na ostatnią kategoryą spadek wartości rubla wcale nie oddziaływał, bo jeżeli wszystko, a głównie zboże w kraju drożeje, to musi podnieść się płaca robotnika, a za nią i cena towarów w kraju wyprodukowanych; można przeto przyjąć za pewnik, że, o ile inne czynniki temu nie przeciwdziałają, spadek wartości rubla podnosi w kraju cenę wszystkich towarów, różnica zachodzi tylko co do stopnia.

W rozdziale pod napisem: „Co uczyniono dla podniesienia rubla i co czynić usiłowano,“ p. Heryng zastanawia się nad reformami finansowemi, jakie w ciągu bieżącego stulecia dokonywane były w Rosyi, tudzież nad projektami reform, i sprowadza wszystkie dotychczasowe reformy finansowe do czterech następujących typów: zmniejszenie ilości biletów kredytowych przez ministrów Guriewa, Grejga i Abazę, wzmocnienie funduszu wymiennego przez ministra Rejterna, dewalwacya

przez ministra Kankryna, wznowienie wymiany bez dewalwacyi przez ministra Rejterna i dyrektora Banku państwa Łamańskiego. W dalszym ciągu znajdujemy rozbiór projektów Łamańskiego, Goldmana, Wagnera, Kaufmana i ministra Bungego.

P. Heryng krytykuje wszystkie te systemy finansowe, wykazuje ich niepraktyczność, tudzież ogrom ciężarów, jaki one za sobą pociągają, a który spadłby głównie na barki pracującego ludu. „Czy pojawiłoby się po przywróceniu wymiany złoto w obiegu, konkluduje p. Heryng, rzecz to wątpliwa, to zaś jest pewném, iż częściéj, aniżeli dziś, głód i zaraza zaglądałyby wówczas do chat wieśniaczych i izb robotniczych.“

Krytyka dotychczasowych systemów i projektów finansowych, dążących do podniesienia wartości rubla, służy autorowi nietylko do wykazania ich stron ujemnych, ale głównie do uwydatnienia dodatnich stron własnego jego projektu, któremu poświęcony jest ostatni rozdział książki, noszący napis: „Dlaczego należy dążyć nie ku podniesieniu, lecz ku ustaleniu rubla,“—cząstkowa wymiana, jako najwłaściwszy po temu środek.

P. Heryng postawił sobie tedy skromniejsze od swoich poprzedników zadanie, nie dąży do podniesienia wartości rubla do *al pari*, ale tylko do ustalenia jego kursu, — godzi się on z istnieniem waluty papierowéj i nie jest stanowczym jéj przeciwnikiem, uważa daléj, że jakkolwiek taka waluta wyrządza pewne szkody, i to nie wszystkim, ale tylko pewnym warstwom społeczeństwa, nie jest ona jednak tak wielkie zło, aby dla usunięcia go warto było nadmierne czynić poświęcenia; p. Heryng chce tedy usunąć tylko niedogodności, wynikające z fluktuacyi kursowych rubla papierowego.

Z założenia tego okazuje się, że autor dąży tylko do usunięcia symptomów choroby, ale nie leczy jéj saméj, ani jéj źródła. Fluktuacye kursowe są tylko jednym z objawów niezdrowego obiegu pieniężnego w społeczeństwie, który porównywany bywa do cyrkulacyi krwi w organizmie ludzkim,—przeciwdziałanie chwiejności kursu rubla nie jest to jeszcze uzdrowotnienie samego rubla.

Tę swoją metodę przeciwdziałania samym tylko fluktuacyom kursowym, p. Heryng przeprowadzić zamierza przy pomocy następujących środków:

1. Wycofać znajdujący się w obiegu miliard rubli biletów kredytowych i zastąpić je innemi, z podziałem na 4,000 seryi po 250,000 rubli każda.

2. Co rok wymieniać na złoto $1/20$ część obiegających biletów, czyli 50 milionów rubli.

3. Wymiana dokonywać się będzie drogą losowań, odbywających się 200 razy do roku, — przy każdém ciągnieniu wylosowaną będzie do wymiany jedna serya.

4. Wylosowane bilety bankowe nie ulegają zniszczeniu, lecz po ich wymianie na złoto, zostają ostemplowane i na nowo w obieg puszczone.

5. Cząstkowa wymiana dokonywa się z procentu od funduszu wymiennego, znajdującego się obecnie w Banku Państwa, a o ileby fundusz ten nie wystarczył, z innych dochodów państwowych.

6. Niezależnie od cząstkowéj wymiany na *złoto*, skarb pozostawia sobie nadal prawo nieograniczonéj wymiany biletów kredytowych na *srebro* i dopełniania téj wymiany, ilekroć to uzna za pożądane.

7. Na wypadek potrzeby powiększenia ilości będących obecnie w obiegu biletów kredytowych, skarb może to dopełnić, z tém wszakże zastrzeżeniem, aby w tym samym stosunku powiększył i ilość wylosowanych do cząstkowéj wymiany biletów, tak aby corocznie $^1/_{20}$ część będących w obiegu biletów kredytowych ulegała wymianie na złoto.

Przy tych środkach projektodawca przewiduje, iż zbyt gwałtowny spadek rubli stanie się niemożliwym, gdyby bowiem kurs rubli spadł chwilowo do 50 kop. w złocie, to posiadacz 100,000 rubli, miałby od swego kapitału 5%, bo przy wylosowaniu $^1/_{20}$ części otrzymałby w zamian za 5,000 rubli papierowych takąż sumę w złocie, która reprezentuje 10,000 rubli w papierze,—z tych 5,000 stanowiłyby zwrot jego kapitału, a pozostałe 5,000 procent w stosunku 5%. Te właśnie widoki zysku byłyby hamulcem na pozbywanie się rubli papierowych na giełdach zagranicznych, a tém samém i na gwałtowne zniżanie ich kursu.

Ponieważ p. Heryngowi nie idzie o podniesienie kursu rubla do nominalnéj jego ceny, ale jedynie o zapobieżenie zbytnim wahaniom kursu, przeto musiał pomyśléć o tém, aby kurs ten nietylko zbyt nisko nie spadł, ale żeby i zbyt wysoko się nie podniósł. W tym celu proponuje on, aby skarb zastrzegł sobie możność nieograniczonéj wymiany rubli na *srebro*, do czego wedle osnowy biletu kredytowego i dziś ma prawo, a ponieważ wartość rubla srebrnego wynosi tylko około 73 kopiejek w złocie, przeto kurs papierowego rubla, ulegającego wymianie na srebro, wiele wyżéj ponad tę cyfrę wznieśćby się nie mógł.

P. Heryng przewiduje tedy, iż przy jego systemie ostatecznemi krańcami, pomiędzy którémi kurs rubla papierowego oscylować może, będzie z jednéj strony 57 kop., z drugiéj 80 kop., normalnym wszakże kursem będzie 67—68 kop. w złocie.

Jako jedną z głównych zalet proponowanego przez siebie syste-

mu cząstkowéj wymiany, podaje p. Heryng nieznaczne koszty, które wedle jego obliczenia wyniosą wszystkiego 6 milionów rubli rocznie, a zatém nierównie mniéj, aniżeli procent od kolosalnych pożyczek, które, wedle wszystkich innych projektów, musiałyby być zaciągane dla uregulowania waluty.

Zwrócić jednak winniśmy uwagę, że jeżeli skromne są koszty reformy p. Herynga, to i skromne jest założenie projektu,—wedle stawu grobla. Inni reformatorowie postawili sobie za cel stanowcze uporządkowanie waluty, wprowadzenie do państwa środka obiegowego, przyjmowanego *al pari*, p. Heryng natomiast dotyka tylko jednéj strony kwestyi, chwiejności waluty, jéj tylko chce zapobiedz, a wszystkie inne niedomagania rubla papierowego pozostawia nietknięte. Obszerniejszy plan musi z natury rzeczy większe za sobą pociągnąć koszty, i nie jest to bynajmniéj zasługą projektu p. Herynga, że przy drobniejszym zakresie reformy i mniejszych do jéj przeprowadzenia żąda ofiar, chociaż można tę rzecz i inaczéj tłómaczyć, a mianowicie, że p. Heryng właśnie dlatego tak skromne projektowi zakreślił rozmiary, ażeby nie przeciążyć zbytecznie budżetu państwowego i nie nakładać na społeczeństwo nowego dotkliwego ciężaru podatkowego.

Co się tyczy istoty projektu p. Herynga, to wedle naszego zdania, zaciéra ona w rublu cechy papieru obiegowego, i czyni zeń coś pośredniego pomiędzy papierem lokacyjnym a loteryjnym, — lokacyjnym nazwany być nie może dlatego, że procent nie jest pewny, ale zależny od losu,— loteryjnym znowu nie jest dlatego, że wygrana jest zbyt mała, wyrównywa zaledwie skromnemu procentowi od kapitału. Przez cząstkową wymianę spodziewa się p. Heryng wstrzymać zagranicznych posiadaczy rubli od natarczywego ich pozbywania się i gwałtownego skutkiem tego spychania kursu, — wątpliwém jednak jest bardzo, aby w chwilach, kiedy wewnętrzne lub zewnętrzne wypadki wywołają zachwianie zaufania do kredytu państwowego, lub nawet w chwilach rozpasanéj spekulacyi, niepewny procent, lub szansa drobnéj wygranéj, były dostatecznemi hamulcami do wstrzymania niedowierzającego posiadacza rubla od rzucenia go na rynek i deprecyonowania jego wartości. Kto będzie szukał lokacyi, ten przed rublem, dającym ewentualny tylko procent, da pierwszeństwo jakiemukolwiek z licznych papierów lokacyjnych, przynoszących procent pewny i z góry co do stopy określony,—kto będzie szukał wygranéj, ten również nad rubel, mogący dać jako wygranę zaledwie odsetek, przekładać będzie jakikolwiek papier premiowy, dający wygranę w stosunku tysiąckrotnie przewyższającym kapitał; — rubel zaś, który obok czynników, jakie dzisiaj utrudniają swobodny jego obieg, podlegać jeszcze będzie szansom, że w części będzie mógł być

wymieniony na złoto, w całości znowu na srebro, który obiegać będzie jako wylosowany i niewylosowany, jako papierowy i metaliczny, jako stemplowany i niestemplowany, który dwieście razy do roku będzie musiał być sprawdzany, czy z koła nie wyszedł,—rubel ten będzie bezwątpienia papierem mniéj, lub więcéj cennym i poszukiwanym, ale w żadnym razie nie będzie dogodnym papierem obiegowym, kwalifikującym się do codziennéj i bezustannéj, drobnéj i wielkiéj wymiany we wszystkich zakątkach rozległego państwa i pomiędzy wszystkiemi warstwami stumilionowego społeczeństwa.

Wprowadzenie w czyn myśli p. Herynga nie od nas zależy, głos prasy naszéj w sprawach tego rodzaju wpływu żadnego nie ma, i dlatego nie będziemy się zastanawiać nad zarzutami, które głównie ze stanowiska praktycznego stawiane były projektowi p. Herynga podczas polemiki, jaka się nad nim toczyła w Oddziale Warszawskim Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, — jeden tylko z zarzutów, z którym w zupełności się solidaryzujemy, w tém miejscu powtórzymy, a mianowicie, że środki proponowane przez p. Herynga, są sztuczne i paliatywne, radykalna zaś poprawa kursu rubla, może nastąpić tylko z podniesieniem ogólnego stanu kredytu państwa, uwarunkowanego jego położeniem politycznėm, ekonomicznėm i finansowém. P. Heryng sam to uznaje, uważa wszakże, że projekt jego może z korzyścią współdziałać przy funkcyonowaniu wszystkich innych czynników, na podniesienie kredytu państwa wpływać mogących.

Z naszego stanowiska traktować możemy pracę p. Herynga nie jako projekt finansowy, ale jako utwór literacko-naukowy, i z tego punktu widzenia oceniając rozbiéraną książkę, uznać winniśmy, iż autor złożył w niéj dowody rozległéj wiedzy ekonomicznéj, oryginalności i śmiałości poglądów, tudzież umiejętności jasnego i zrozumiałego wykładu, wiedzę wszakże swoją i zdolności spożytkował w książce o rublu jednostronnie i tendencyjnie, wedle z góry powziętéj myśli, w celu usprawiedliwienia i udowodnienia naczelnéj swojéj tezy.

J. Kirszrot-Prawnicki.

ŚWIEŻO ODKRYTY ZABYTEK STAREGO JĘZYKA POLSKIEGO

KAZANIA ŚWIĘTOKRZYSKIE.

Liczba zachowanych zabytków języka polskiego z XIV wieku jest dotychczas bardzo nieznaczna: oprócz rot sądowych z ostatnich dwóch dziesięcioleci tego wieku i kilku glos, posiadamy tylko tłómaczenia trzech głównych modlitw i psałterza, tudzież pieśni „Bogurodzica“, zabytki, które bądź tylko w zachowanéj redakcyi bądź jak „Bogurodzica“ nawet swoim początkiem dopiéro do drugiéj połowy XIV stulecia odnieść wypada. Niespodziewane odkrycie wzbogaciło niepokaźny ten szereg.

Przeglądając dnia 25 marca r. b. w Bibliotece publicznéj w Petersburgu łaciński teologiczny rękopis papierowy z początku XV w., formatu ćwiartkowego, pochodzący ze starożytnéj a bogatéj biblioteki świętokrzyskiéj, dostrzegłem na wąskich paskach pergaminowych (jakie wówczas przy zeszywaniu rękopisów papierowych w środku pojedyńczych zeszytów podkładano by przetarciu od sznurka zapobiedz), wyrazy polskie w starożytnéj pisowni; na moję prośbę wyjęto te paski z oprawy, było ich ośmnaście. Po odczytaniu i złożeniu, okazało się, że trzynaście z nich tworzy podwójną kartę (A, B), pierwszą i ostatnią, zeszytu pergaminowego w małéj ósemce, a pięć innych dolną połowę odpowiednich kart (C i D) drugiego takiegoż zeszytu, przyczém pierwotnie karta C następowała bezpośrednio po karcie B. Paski jednak, które introligator wycinał, były dla owego ćwiartkowego rękopisu, nieco za długie, tak, że je wszystkie na dwa lub trzy cale poobrzynał; inne drobne uszkodzenia pasków pochodzą od igły lub od skurczenia pod sznurkami.

Karty te zawierają kazania na dni świętych (św. Katarzyny i św. Mikołaja) i świąteczne (na dzień Trzech króli i na Gromniczną),

o piątém i ostatniém kazaniu o aniołach, nie wiem chwilowo, do jakiegoby dnia odnieść je wypadało. Układ tych kazań wcale prosty, ich rozmiar niewielki, autor ich ucieka się zawsze do jakichś wyliczań i kategoryi, mówi tak np. o rozmaitych stopniach ludzi grzesznych, o przykładach i posługach, dla których dani nam są aniołowie, o pięciokrotném widzeniu Boga, wzmiankowaném w Piśmie Świętém, o królestwie zbawiciela, o znaczeniu darów trzech króli i t. d., przyczém po ogólném wyliczeniu każdą kategoryą krótko omawia. Cytaty z Pisma Świętego, z legendy, przytaczane są najpierw w języku łacińskim, potém dopiéro w tłómaczeniu. Są to prawdopodobnie kazania mnicha dla braci zakonnéj.

Zabytek ten pisany był w XIV wieku, prawdopodobnie w trzeciéj tegoż ćwierci; nie jest to przecież oryginał, tylko odpis jakiegoś starszego tekstu, pochodzącego z pierwszéj połowy tego stulecia. Dowodzą tego omyłki w pisaniu, np. powtarzanie słów; daléj niejednostajność ortografii a nawet języka, obok starszych spotykamy nowsze pisownią i formy; nakoniec cały wygląd zabytku. Zyskujemy tym sposobem resztki kazań polskich z pierwszéj połowy XIV stulecia; nazywamy je zaś, odpowiednio do kazań gnieźnieńskich XV stulecia, świętokrzyskiemi, bo może je tam, na Łyséj górze pisano, a pewnie, co najmniéj od XV stulecia tam je przechowywano.

Jak przy każdym innym zabytku średniowiecznym języka polskiego, nasuwa się i przy tym pomniku pytanie o zależności, a mianowicie o wpływie czeszczyzny. Nie myślę by go można zaprzeczyć; są pojedyńcze formy, które stanowczo za pierwowzorem czeskim przemawiają; w takim razie nasuną się niejakie wątpliwości co do prawdziwéj polskości niejednéj formy, chociaż ogółem język bardzo poprawny i czysty, zwłaszcza szata jego głosowa zupełnie polska. Na dowód przytoczymy jeden ustęp:

Rosmagite uidene nalazimy vsuǫtem pis(a)ny boga use(chmogące)go. Oua gi piruey uidal Habraham pod obrazem tri mǫzy po drode ydǫcego. A u(to)re gy uidal Moyses ue kru polaiǫcego. A trece gy uidal uidal (tak!) Ezechiel na uisokem stolcy sedǫcego. A ctuarte gy uidal s(wię)ti jan pod obrazem barancha smirnego. A pǫte gy uidal tento oc(ie)c s(wię)ti Symeon pod oblcenim clouech...

Zachowaliśmy niemal pisownię oryginału, tylko w nawiasach pododawaliśmy litery, których pisarz skąpiący niezmiernie pergaminu, domyślać się kazał. Charakterystycznym bowiem rysem tego zabytku, wyróżniającym go stanowczo od wszystkich innych zabytków polskiego lub czeskiego języka, jest używanie skróceń, jakie zresztą w tekstach łacińskich, a nie *linguae vulgaris*, regułę stanowią. Pisarz ską-

pił tak dalece pergaminu, że nawet między końcem jednego a początkiem drugiego kazania żadnego nie ma przestanku; pisał bardzo ściśle, zostawiał wąskie brzegi, tak, że mimo małego formatu, na każdéj stronicy wcale sporo tekstu umieścić potrafił; pismo jego okazuje rękę wprawną, choć, może tylko dla pióra, zmieniać się zdaje. Nakoniec brak wszelkich ozdób, a choćby jakiegoś użycia cynobru, świadczy wymownie o ekonomii pisarza, o nie świetném przeznaczeniu rękopisu. Nie mógł to téż być obszerny rękopis, składał się pewnie pierwotnie z trzech a może czterech poszytów o niewielu kartach.

Przy końcu XIV stulecia, gdy znajomość łaciny coraz się rozszerzała a zmniejszała potrzeba polskich kazań pisanych, bo mówiono je zawsze po polsku, ale pisano np. w XV wieku prawie wyłącznie po łacinie, wtedy to zaczęto pewnie zaniedbywać nasz i tak nader niepokaźny rękopis, którego także prostota wysłowienia i układu nie zadawalniała już wymagań modnego kaznodziejstwa. Rozluźniono więc kajety i karty; kilka z nich powędrowało nakoniec do pracowni mnicha-introligatora, który je nam choć w skrawkach, w oprawie przechował, za co mu się wdzięczność należy.

Wstrzymuję się na razie od wysnuwania dalszych wniosków, z pisowni, która na jakąś szkołę i tradycyą wskazuje, z treści, która również na myśl naprowadza, że to nie odosobniony pomnik, że uchwyciliśmy raczéj ogniwo jakieś łańcucha, sięgającego może w dalszą przeszłość — pomówię o tém, kiedy pomnik w warszawskich „Pracach filologicznych“ w całości przedrukuję.

A. Brückner.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Nasze czasy.“ opowieść przez Ludwika Straszewicza. Petersburg, nakładem „Kraju.“ 1890, str. 99.

Jestto historya dzieciństwa i pierwszéj (szkolnéj) młodości Dyoskora Baćkiela, syna chłopa, opowiedziana przez niego samego. Jak z natury obranéj przez autora formy artystycznéj wynikało, nie znajdziemy tu charakterystyki duchowéj opowiadacza w jego określeniach, lecz tylko w faktach przezeń przywiedzionych. Z faktów tych wynika, że była to natura raczéj refleksyjna niż entuzyastyczna, o charakterze wytrwałym i upartym, lecz biernym, wchłaniającym różnorodne wpływy, ulegającym popędom naturalnym, prawie bez zastanowienia, na czyn samodzielny zdobywającym się z trudnością. Stanowi on krańcowe przeciwieństwo z temi bohaterami sielskimi Kraszewskiego, w których serca kładł wielki powieściopisarz skarby bezwiednéj, samorodnéj poezyi, wielkiego, chorobliwego niemal przywiązania do rodziny, do wioski, do natury ojczystéj. Dla Dyoskora, przez długie, bardzo długie lata wszystko jest obojętném; siedzi bezmyślnie i niemal bezwładnie godzin kilka w dniach zimowych u starego Szymona, uczącego trudnéj sztuki poznawania liter, zapomina o wszystkiém w ciągu lata, i na drugą zimę rozpoczyna naukę od początku. Oddany do księdza wikarego w miasteczku, czyści buty, posługuje, uczy się na pamięć ministrantury, konjugacyi i deklinacyi łacińskich, nie rozumiejąc ani słowa, jest przedmiotem szykan i bolesnych figlów ze strony starszych od siebie wyrostków, znosi w milczeniu skutki ciężkich obrażeń na ciele zadanych mu przez żyda rozjuszonego tém, że Dyoskor rachował jego współwyznawców na furze jadących, a robił to nie w przekornym jakimś celu, lecz podmówiony przez chytrego koleżkę. Oddany do szkół w Łomży, trafiwszy na jakąś zgraję bezmyślnych pedagogów, kuje na pamięć zadane lekcye, nie wchodząc zgoła w ich znaczenie, a chcąc otrzymać tylko dobry stopień. Do domu, do rodziców nie tę-

skni wcale, nie myśli nawet pewnie o nich; na święta i wakacye jedzie tylko z konieczności i z pewnym wstrętem, a gdy już może się uwolnić od téj konieczności, gdy zaczyna zarabiać na siebie, nie jedzie wcale. „Oschłe życie w ciasnéj i brudnéj chałupie—powiada Dyoskor—wcale nie sprzyja rozwojowi uczuć. Szorstkie od ciężkiéj pracy ręce, nie są zdolne do pieszczot. Nikt sam miłości swojéj nie okazuje, nikt téż jéj wywołać nie może“ (str. 32). Dyoskor niesłusznie uogólnił tu swoje i sobie podobnych usposobienie i rozciągnął je do wszystkich serc wieśniaczych. Jak wszędzie, tak i w brudnéj chałupie może wykwitnąć uczucie; w inszych się ono objawi formach aniżeli tam, gdzie wszystko rozwinięciu jego sprzyja, lecz zawsze istniéć będzie i działać potężnie. Toż i matka Baćkiela nie w innéj zapewne wychowała się atmosferze, jak syn jéj w początkach, a przecież posiadała tak wielkie, tak serdeczne, tak delikatne nawet uczucie, chociaż go nazewnątrz nie okazywała. A i rozpacz męża po jéj utracie świadczy również przeciwko spostrzeżeniu syna. Że Dyoskor na wiadomość o śmierci matki nie doznał na razie żadnego wrażenia, i że dopiéro refleksya o niegodziwości takiego zachowania się, nasunięta wspomnieniem wielkich przykładów czułości synowskiéj, wyczytanych w książkach, pobudziła go do płaczu; temu wierzy się chętnie, poznawszy w nim brak entuzyastycznego nastroju; ale to nie znaczy bynajmniéj, żeby każdy syn chłopski miał w ten sam sposób czuć i przyjmować wrażenia. Dosyć miejsca w opowiadaniu Baćkiela zajmuje zarys rozbudzenia się umysłów uczniowskich w Łomży, pod wpływem artykułów „młodéj prasy“ i propagandy radykalnéj. Zapewne w tym zarysie jest dużo szczegółów wziętych wprost z życia; a co najmniéj, są one bardzo prawdopodobne; zdaje mi się tylko, że autor zanadto zbliżył do siebie dwa odmienne prądy, że taki radykalizm, jaki odmalował w osobach Tatusia, Ancypy, Machczyńskiego, jest objawem późniejszym od r. 1873, do którego odniósł go opowiadający. Powrót do domu po skończeniu klas siedmiu, zastanie ojca w stanie rozpacznéj nieruchomości, śmierć tegoż, są przedstawione z większém ciepłem, niż wszystkie szczegóły poprzednie i jednają trochę serca dla Dyoskora, który wogóle mało mógł obudzać zajęcia sympatycznego, a co najwyżéj psychologiczną ciekawość. Nieumiejętność zżycia się z wieśniakami i porzucenie wsi, któréj oświecić nie potrafił, może stanowić jedynie dowód, że Dyoskor nie posiadał zdolności pedagogicznych i nie znał się na propagandzie. Nic dziwnego; ku temu potrzeba choć trochę entuzyazmu. Rzecz cała wykazuje pióro raczéj zdolnego publicysty, niż rozmiłowanego w obrazach i uczuciach powieściopisarza.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **O Mickiewiczowskiej Odzie do młodości...** przez *Maryą Konopnicką* (Kraków, 1890, str. 32). Ponowny zwrot do zastanawiania się nad pięknym, pełnym entuzyazmu utworem Mickiewicza, jaki widzimy nie tylko w badaniach specyalnych, którym wyraz daje „Pamiętnik“ przez Towarzystwo Mickiewiczowskie wydawany, ale także w utworach publicystycznych, daje pewną wskazówkę zmiany zaszłéj w usposobieniu sfer inteligentnych, zajmujących się literaturą. Zarzuty robione dawniéj temu utworowi z punktu widzenia rozumowego i społecznego, widocznie tracą grunt w umysłach ukształconych, a uznanie dodatniego wpływu zyskuje na znaczeniu i pogłębieniu. Znakomita nasza poetka z właściwym sobie talentem rzuciła w swéj pracy kilka o nim uwag, które warto zaznaczyć. Zdaniem jéj, „Oda“ jest pieśnią zapału, ale zarazem i pieśnią pogody, bo się zrodziła w duszy pogodnéj; dźwięczy pożądaniem nieokreślonéj doskonałości i doskonalenia się w nieskończoność, ale takiego doskonalenia się, które nie znosi burzy, lecz spokój lubi i jasne słońce na niebie. Zdanie uważające „Odę“ za protest przeciwko zimnemu racyonalizmowi uważa w zasadzie za zupełnie słuszne. „Zaakcentowane są w niéj, powiada autorka — uczucie i fantazya, wszakże nie dla walki z kimkolwiek, ale na znak tryumfu. Odbiło się w niéj — nie to, co młodzi poeci sądzili o uczuciach, lecz uczucie samo, i sama treść tego, co czuli“. Zbija poetka zarzuty, wyciągnięte z pojedyńczych wyrażeń i powiada, że myśli zawarte w wierszu, pożyteczne dla wszystkich, pożyteczne są także i dla społeczeństwa, wpośród którego powstały; „albowiem niéma społeczeństwa, dla którego szkodliwém byłoby twierdzenie, że należy dążyć do szczęścia wszystkich przez zespolenie usiłowań, myśli, pragnień i przez poświęcenie osobistego interesu na ołtarza spraw publicznych.“ Ślad przejściowych wyobrażeń, nie mających już dziś obiegu w społeczeństwie, widzi poetka w wyrażeniu: „rozumni szałem“; przypisywany zaś „Odzie“ błąd powierzenia losów społeczeństwa młodzieży, poczytuje za nieporozumienie, gdyż Mickiewicz pisał Odę do „młodości“ a nie do „młodzieży“. Nie chodziło poecie o wiek niedojrzały, ale wogóle „o czerstwość sił duchowych i fizycznych, o owę krzepkość i zapał, które zwykle towarzyszą zdrowiu i sile moralnéj“. Jeżeli świat wejdzie kiedykolwiek na nowe tory „będzie to owocem pracy tego ducha, który wiekuiście jest młodym, bo się nigdy nie starzeje, a nie starzeje się nigdy, bo nigdy nie traci sił swoich i swojéj energii; ducha, który posiadając całą pełnię rozwoju, nie wyzuł się z miłości dla ludzi i z wiary w szczęście wszystkich—ducha prawdziwéj młodości“ (str. 30). Pracy

p. Konopnickiéj nie można nazwać nie tylko studyum, ale nawet szkicem krytycznym; o estetyczne kwestye nie chodziło jéj zdaje się wcale; pragnęła jedynie ponownie zwrócić uwagę na ten utwór, w którym jak „w kropelce“ dostrzedz można, całą tęczę załamanego promienia gieniuszu“. Na tle téj poezyi rozwinęła autorka w krótkim zarysie spostrzeżenia co do potrzeby ideału w życiu, by apatyczne, zobojętniałe duchy nie pogrążały się całe w prozie i powszedniości.

— *Marya Konopnicka* **Wybór poezyi** (Kraków, Gebethner i Spółka, 1890, str. 262). W prześliczném miniaturowém wydaniu, w jakiém przed dwoma laty ukazał się „Pan Tadeusz“, mamy tu zebrane najcelniejsze, najbardziéj ulubione i rozpowszechnione utwory poetki, która z mroków zwątpienia i pesymizmu wyszedłszy, pieśniami wlewającemi w serca otuchę, zyskała nie tylko podziw dla talentu słowa, ale też uznanie serdeczne. Po wstępie, w którym ponowne pojawienie się poezyi wśród gromów na nią ciskanych, na tle rozmyślań Platona przedstawiła, idą grupy utworów pod ogólnemi tytulikami: „Noce letnie“, „Obrazki“, „Freski“, „Z ksiąg prorockich“, „Fragmenty“, „Wieczorne pieśni“, „Do kobiéty“, „Z słowiczych pieśni“, „Z daleka“, „Z łąk i pól“, „Piosenki i pieśni“, „Na fujarce“, „W górach“, „Do granicy“, — i tworzą wdzięczną równiankę różnorodnych, ale w części przynajmniéj zharmonizowanych motywów i nastrojów. Bardzo trafnie postąpiono, wybierając najwięcéj z III seryi „Poezyi“ Konopnickiéj, gdyż tu najwięcéj jest pięknych myślą i ślicznie wykonanych utworów, bez trzasku retoryki i niejasności dawniejszych. Szczerze zbiorek ten polecić możemy wszystkim, co lubią piękno.

— P. *Gustaw Karpeles*, o którego pracy „Goethe w Polsce“ niedawno podało „Ateneum“ notatkę, przystąpił obecnie do ogłoszenia dzieła p. n. **Allgemeine Geschichte der Literatur von ihren Anfängen bis auf die Gegenwart mit Illustrationen und Porträts** (nakład księgarni G. Grote w Berlinie). Całość ma się zawrzéć w 12 bogato ilustrowanych częściach po 2 marki za każdą. Obecnie mamy przed sobą część pierwszą, w któréj na 128 stronicach, mieści się zarys literatur Wschodu, jako to Chin, Japonii, Indyj, Egiptu, Babilonii i Asyryi, Fenicyi, Palestyny, Arabii i Persyi. Z samego wyliczenia tego widzimy w porównaniu z liczbą stronic, że nie może tu być mowy o wyczerpującym sposobie przedstawienia rzeczy, prawie każda bowiem z wymienionych literatur wymagałaby takiéj przestrzeni, jaka tu jest im wszystkim udzielona. Jest to zatém wydawnictwo podjęte na mniejszą skalę, aniżeli „Dzieje literatury powszechnéj“ z ilustracyami, opracowane zbiorowo i wydawane w Warszawie. Autor zamierzył

tedy sobie wystawić obraz literatury wszechświatowéj w rozmiarze niewielki, a więc dostępny jak najliczniejszym czytelnikom, starając się o to, ażeby znamienne cechy cywilizacyjne dobitnie w nim wystąpiły. „Historya literatury — powiada on — jest historyą idei i dzieł, które pochodzą od przewodnich duchów, poetów, historyków, filozofów i opanowują duchowe życie świata cywilizowanego. Tę wędrówkę idei, główne ich prądy we wszystkich czasach i wielkie umysły wszystkich narodów w ich twórczości przedstawić, jest zadaniem naszego dzieła. Nie ma to więc być książka do zaglądania tylko w razie potrzeby, nie ma to być suchy spis nazwisk, ale żywe raczéj malowidło rozwoju całéj treści literackiéj w wielkich rysach. Jasno i zwięźle będzie skréślona literatura każdego narodu; prądy główne obszernie, poboczne — krótko. Wszędzie wyłożony będzie pochód wewnętrznego rozwoju, scharakteryzowane okresy literackie, omówiona idea przewodnia każdoczesnego prądu, na plan pierwszy wyprowadzeni naczelni poeci i prozaicy wraz z wyjątkami z ich dzieł wybieranemi starannie.“ Zadanie to p. Karpeles starał się spełnić, o ile mu z góry nakreślone ramy dozwalały; istotnie o rzeczach głównych dowiedzieć się tu można w sposób zajmujący, a podane bardzo liczne ilustracye zarówno w tekscie, jak i na osobnych tablicach, jako wziętych z pomników autentycznych, mogą uzmysłowić wybornie opowiadanie i przenieść nas w te odległy strony i czasy, o których mówi historyk literatury. Samych tablic oddzielnych jest jedenaście, a przedstawiają one takie np. rzeczy, jak podobizny rękopismów indyjskich, hebrajskich, arabskich, perskich. Styl autora jest żywy, charakterystyki dobitne i zwięzłe.

= *Aleksander Czołowski.* **Z przeszłości Jezupola i okolicy.** *We Lwowie 1890.* (*Odbitka z „Przewodnika Naukowego i Literackiego“*). Literatura historyczna w Galicyi wzbogacona została w ostatnich kilku latach kilkoma cennemi monografiami miasteczek, jak np. d-ra Prochaski—„Z przeszłości Brzozowa“, d-ra Papée—monografia miasteczka Skole we wschodnim Beskidzie i t. p.; do szeregu tego rodzaju prac dziejopisarskich, przybyła niedawno rozprawa p. Aleksandra Czołowskiego, opisująca historyę Jezupola, miasteczka w pobliżu Halicza—miasteczka, wchodzącego obecnie w skład dóbr hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. W pierwszéj połowie XV w. wychyla się z pomroki dziejowéj miejscowość Czesybiesy, która dzięki staraniom swych możnych właścicieli, jako to: Buczackich, Kamienieckich i Potockich, szybko stosunkowo wzrosła i przemieniła się w miasteczko wcale zamożne i handlowe, tudzież obdarzone (nie wiemy przez kogo) samorządem na

podstawie prawa magdeburskiego. Kresowe położenie Czesybies spowodowało właścicieli do zamienienia ich w miejsce obronne; powstały mury i zamek, siedziba „panów na Czybiesach", pomiędzy którymi widzimy cały szereg dzelnych, t. z. kresowych rotmistrzów, niemniej jednak dumnego i przewrotnego magnata-banitę, Krzysztofa Zborowskiego, brata Samuela.

Po wygnaniu Zborowskiego przeszły Czesybiesy mocą nadania królewskiego w dom Potockich, którzy uczynili z nich jednę z licznych strażnic granicznych przeciw częstym napadom Tatarów. „Rotmistrz kresowy" Jakób Potocki, pan na Czesybiesach, bronił w r. 1594 siedziby swej z całą energią i męstwem przeciw Tatarom; niestety musiał uledz przemocy—Czesybiesy wraz z zamkiem legły w gruzach, ocalał tylko cudem prawie sam p. rotmistrz z kilku towarzyszami, przebiwszy się przez szeregi nieprzyjacielskie. Na podziękowanie Panu Bogu za ocalenie, ślubował Potocki wznieść w Czesybiesach klasztor Dominikanów, czego dopełnił ostatecznie w r. 1600, odbudowawszy przedtém spalone miasteczko wraz z zamkiem. Zarazem znikła „pogańska, starożytna nazwa Czesybiesy" i zamieniona została około r. 1597 na nazwę grodu Jezusa—„Jezupol". Wkrótce odnowiona siedziba Potockich znowu wzrastać poczęła i doczekała się świetnego stosunkowo rozkwitu pod hetmanem w. kor. Mikołajem Potockim, tudzież synem jego—tego samego imienia, generałem ziem podolskich; w latach 1625 do 1675. Hetman uporządkował sprawy samorządu miejskiego, zorganizował trzy cechy: szewcki, tkacki i krawiecki, wzniósł kościół N. P. Maryi, wreszcie otoczył całe miasteczko murami i wałami. Syn jego prowadził daléj dzieło ojca—wzmagała się ludność, handel i przemysł; określono ściśle stosunek gminy miejskiéj do właściciela, w ogóle był już Jezupol na najlepszéj drodze do wielkiego nawet rozkwitu, gdy nagle napad Turków, zdobycie Kamieńca, ciągłe napady ordy, położyły kres najszczęśliwszéj dobie w dziejach tego miasteczka. Potocki, którego jako generała ziem podolskich pomawiano o lekkomyślne oddanie Kamieńca Turkom—usunął się do dóbr swych na Wołyniu, gdzie umarł w r. 1676, a wkrótce późniéj, tegoż roku zniszczyli Jezupol Turcy pod dowództwem znanego hospodara wołoskiego Duki. Wdowa po zmarłym generale podolskim—Świętosława, 2° *v.* Prażmowska, objęła zniszczony Jezupol w posiadanie prawem dożywocia, ale zajęta spłatą licznych długów męża, nie miała ani czasu, ani sposobności do podniesienia zrujnowanego miasteczka, które téż nigdy już nie podniosło się do dawnego stanu, obecnie zaś stoi w rzędzie zwykłych, małych miasteczek galicyjskich. Kościół i klasztor Dominikanów—to jedyne zabytki lepszéj przeszłości.

Oto krótka treść rozprawy p. Czołowskiego—rzecz napisana jasno i zajmująco, jakkolwiek sam temat nie nadawał się bardzo do opowiadania barwnego; szczegółów nagromadzonych dość, ale zestawienie wcale udatne, nie nuży czytelnika; wartość historyczna niemała także, jeżeli zważymy, że podobne monografie miast i miasteczek wprowadzają nas wprost w życie społeczne przeszłości i pozwalają nam badać je z możliwą dokładnością dlatego, że obracają się w ciasnym zakresie, iż się tak wyrazimy, życia prowincyonalnego, łatwiejsze są więc do podpatrzenia, niżeli wówczas, jeżeli opisywać mamy zdarzenia wielkiéj wagi, lub dzieje całych narodów i krajów. Tak, sądzimy, należy pojmować historyczną wartość monografii miasteczek; jakoż nie inaczéj pojmuje ją autor dziejów Jezupola, szkoda tylko, że więcéj zajmuje się życiem właścicieli miasteczka, ich czynami i dążeniami, które o tyle tylko interesować nas mogą, o ile odnoszą się bezpośrednio do historyi Jezupola; mniéj zaś stosunkowo życiem społeczném mieszkańców—mieszczan, ich prawami i urządzeniami, ich stosunkiem do dziedzica i t. p. rzeczami, które już z samego pojęcia historycznéj wartości monografii miasteczek, główną, pierwszorzędną mają dla nas wagę i znaczenie. *Kazimierz I. Gorzycki.*

— **Die alten Zunft-und Verkehrs-Ordnungen der Stadt Krakau.** *Nach Balthasar Behems Codex picturatus in der K. K. Jagellonischen Bibliothek, herausgegeben von Bruno Bucher. Wien 1889.* „Codex picturatus“, podarowany przez senat krakowski w r. 1825 bibliotece Jagiellońskiéj, powstał w r. 1505 jako dzieło Behem'a, a następnie przez innych uzupełniany i ozdobiony wspaniałemi miniaturami, należy do cenniejszych zabytków téjże biblioteki. „Codex picturatus“ zawiera zbiór królewskich przywilejów dla miasta Krakowa, a druga jego część nosi tytuł: *„jura municipalia— Willkür der Stadt“*. Dla historyi samorządu municypalnego w Polsce wydanie owego kodeksu jest bardzo ważne, objaśnienia zaś, jakiemi p. Bucher zaopatrzył swe kosztowne wydawnictwo, rzucają pewne światło na stan ekonomiczny Krakowa w XV i XVI wieku. Ważną jest uwaga p. Buchera, że już w XV w. rękodzielnicy niemieccy w Krakowie nie traktują wyniośle swych polskich towarzyszów i cechy przyjmują uczniów polskiego zarówno, jak i niemieckiego pochodzenia. Tylko w 1501 r. zaszły pewne nieporozumienia na tle narodowościowém, lecz te przeminęły szybko, nie pozostawiając żadnego trwalszego rozdraźnienia. Wydawnictwo zostało opatrzone 27 światłodrukami, wyobrażającemi miniatury, zdobiące rękopism, przez co „Codex picturatus“ przedstawia się w wiedeńskiéj edycyi wspaniale. *A. R.*

= *St. Botwiński.* **Bibliografia prawnicza,** obejmująca dzieła z dziedziny prawa, ekonomii, statystyki i nauk społecznych z ostatnich lat dwunastu (1878 — 1889). Lwów, 1890, str. 58. W przedmowie autor zawiadamia, że pierwotnie zamierzał objąć przeciąg czasu od roku 1860 i podać w spisie bibliograficznym nietylko dzieła i broszury prawnicze, lecz także i artykuły po pismach rozrzucone. Gdy jednak czas i okoliczności nie pozwoliły p. Botwińskiemu na wykończenie podobnéj pracy, ograniczył się chwilowo na wydaniu bibliografii dzieł z ostatnich lat dwunastu, nie wyrzekając się wszakże dawnych rozleglejszych zamiarów. P. Botwiński oddałby rzetelną przysługę naszym prawnikom, gdyby uzupełnił zczasem dzisiejszą bibliograficzną publikacyę. Wypadałoby się jednak cofnąć do r. 1800, albowiem w czasopismach z pierwszéj połowy XIX-go wieku znajduje się dużo cennych rozpraw prawniczych, które są zapomniane dlatego jedynie, że nikt z uczonych nie przypuszcza, aby się tam z niemi mógł spotkać. Najtrudniéj téż uczonemu prawnikowi uwzględnić literaturę specyalną polską. Przegląd bibliograficzny zapobiegłby niewątpliwie zapomnieniu i dlatego téż należy się p. Botwińskiemu nietylko słowo uznania, lecz i słowo zachęty do dalszych i szerszych publikacyi w dziedzinie bibliografii prawniczéj. *A. R.*

= *Charles Lamenie.* **Mirabeau.** Paris, 1889. Pod tym tytułem ukazała się niedawno w wydawnictwach firmy Dentu znakomita monografia, poświęcona słynnemu mówcy i bohaterowi rewolucyi. Poprzedziła ją książka *Les Mirabeau*, obejmująca biografie przodków Gabryela i jego rodziny, pióra ojca autora wyżéj wymienionéj książki. Autor doprowadził życiorys Mirabeau do wyjazdu do Anglii, kończy więc słynnym procesem z żoną i romansem z p. Nehrą. P. Lamenie miał całą korespondencyą hrabiego; nic dziwnego, że niektóre ustępy z życia tegoż występują przed czytelnikiem w innem oświetleniu. Np. stosunek hrabiego do markizy Monnier był znany z listów z Vincennes; p. Lamenie miał autentyczną korespondencyą kochanków, listy z Vincennes tak odbijają od niéj, jak dyalektyka zręcznego mówcy od potocznéj rozmowy. Charakter p. Monnier występuje w innem świetle, a bohater romansu z moralnéj strony przedstawia się nader niesympatycznie. Powtarzam, że książka p. Lamenie jest najlepszą biografią Gabryela Mirabeau. *L. Sz.*

SPROSTOWANIA.

Na stronie	wiersz		zamiast		winno być:
279	4-ty od góry	—	zachwalstwo	—	zuchwalstwo.
290	14-y od góry	—	Armidy	—	Kloryndy.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.*—Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено цензурою. Варшава, 26 Апрѣля 1890 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale I-szym 1890 r.

1. **Ogólna geografia handlowa** przez D-ra *Franciszka Czernego* prof. uniw. Jagiell. Kraków, skł. gł. w księg. G. Gebethnera i S-ki, 1889, 8-o, str. VII i 520.
2. **Tablice graficzne** do dziejów Europy, *Emiliana Broniewskiego.* Wieki XIII i XIV. Arkusz 5-ty. (Cena całego wydawnictwa: w Warszawie rs. 6, z przesyłką rs. 7). Warszawa, 1890, skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa oraz u autora w gmachu Kantoru Banku Państwa.
3. *Lucyan z Samosaty.* **Rybak** czyli zmartwychwstali filozofowie z oryginału greckiego przełożył *Emil Weidel.* Warszawa, nakł. tłómacza, 1890, 8-o, str. 50.
4. *Nagoda.* **Własnymi oczyma.** Nowele. Lwów, nakł. księg. Gubrynowicza i Schmidta, 1890, 8-o, str. 294.
5. **Szczątki dawnéj Polszczyzny.** Zebrał i wydał D-r *Bolesław Erzepki.* I. Poznań, 1890, 8-o, str. 19.
6. *Zygmunt Heryng.* **Rubel.** Historya, przyczyny wahań i środki ustalenia papierowego rubla. Studyum ekonomiczne. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890, 8-o, str. VIII i 142.
7. *Antoni Józef Sęk (Antoni Mieszkowski).* **Nowele.** Serya druga. Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1890, 8-o, str. 235.
8. **Katalog rękopisów** biblioteki Zakładu nar. im. Ossolińskich wydał D-r *Wojciech Kętrzyński*, dyrektor tegoż Zakładu. Tom III. (Zeszyt I). Lwów, 1890, 8-o, str. 320.
9. *M. Rodoć.* **Satyry.** III. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890, 8-o, str. 102.
10. **Historya rewolucyi francuskiej.** Ark. 10—15. (Dodatek do „Prawdy". Kwartał I—1890 r.).
11. **O pierwszéj konstytucyi** austryackiéj. Jej geneza i ocena. Przez D-ra *Stanisława Starzyńskiego.* Kraków, 1890, 8-o, str. 36.
12. **Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniéj** do połowy XIII w. przez *W. Bogusławskiego.* Dzieło uwieńczone na konkursie Towarzystwa przyj. nauk w Poznaniu. Poznań, nakł. autora, 1887 i 1889, 8-o, tom I, str. XII i 288, tom II, str. XVIII i 997 z dwoma mapami.
13. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego.* Zeszyt 120 (zamykający tom X). Warszawa, 1889, 8-o, (str. 881—960).
14. *M. Henryk Beyle (de Stendhal).* **Wybór powieści** w przekładzie *Józefy Sawickiej (Ostoi).* Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1889, 8-o. Część I: Czerwone i czarne (str. 1—372). Część II: Klasztor Kartuzów w Parmie (str. 373—712).
15. **Czego nas Kopernik o obrotach ziemi nauczył.** Pierwsze początki astronomii w sposób dla każdego zrozumiały wyłożył *S. K.* (Książeczki dziesięciogroszowe). Warszawa, 1890, 8-o, str. 62, z portretem Kopernika i 6-ciu rysunkami.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one donioslością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.